

MARIA  
RODZIEWICZÓWNA

*Klasyka Literatury Kobiecej tom 8*

A woman with dark hair and a yellow dress is shown from the chest up, looking upwards and to the right. The background is a soft, out-of-focus green. In the foreground, a white scroll of paper is partially unrolled, resting on a dark red surface. The title 'KĄDZIEL' is printed in white serif font on the red surface.

KĄDZIEL

MARIA  
RODZIEWICZÓWNA

*Klasyka Literatury Kobięcej tom 8*



KADZIEL

**1**

**Maria Rodziewiczówna**

**Kądział**

## Słowniczek

admiratorka (z łac.) - wielbicielka

admonicja (z łac.) - upomnienie, nagana, pouczenie Almae Matris (z łac.) - dopełniacz od Alma Mater, uroczystej nazwy nadawanej od średniowiecza szkołom wyższym, zwłaszcza uniwersytetom, dosłownie znaczącej Matka Żywicielka (tak starożytni Rzymianie nazywali wiele bogiń, szczególnie Ceres i Kybele). Tutaj znaczenie dosłowne jest też brane pod uwagę w następnych zdaniach, w których przy pomocy tzw. mowy ezopowej bohaterowie mówią o matce-ojczyźnie w niewoli.

alterować (z łac.) - przejmować się, niepokoić, trapić anachronizm (z gr.) - tu: przestarzałe poglądy lub zwyczaje, przeżytek nie wiążący się ze współczesnymi warunkami życia

anewryzm (z gr.) - miejscowe rozszerzenie tętnicy wywołane zmianami lub uszkodzeniem jej ścianki; tętniak antrakt (z gr.) - tu: przerwa w podróży

Augustyn Aureli, św. (354-430) - Ojciec Kościoła, filozof; najważniejsze dzieła to: "Wyznania", "O Trójcy Świętej", "O państwie Bożym", listy oraz kazania auskultacja (z łac.) - metoda badania lekarskiego polegająca na słuchowej ocenie szmerów oddechowych płuc, tonów i szmerów serca itp.

Bank Wzajemnego Kredytu - Towarzystwo Kredytowe ziemskie, stowarzyszenie właścicieli ziemskich Królestwa Polskiego z siedzibą w Warszawie, założone w 1825 r. z inicjatywy F. Lubeckiego-Druckiego w celu udzielania kredytu długoterminowego posiadaczom dużej własności rolnej, a od końca XIX w. także drobnym gospodarstwom

benedyktynka, benedyktyn - najstarszy likier, wyrabiany pierwotnie, od XVI w., przez benedyktynów w Fecamp (Francja), na nalewkach i destylatach z około czterdziestu ziół i korzeni.

bezik (z fr.) - gra w karty z początku XIX w. na dwie, trzy lub cztery osoby dwiema, trzema albo czterema taliami kart

biuro - tu: biurko, stół, stolik do pisania bróg - pomieszczenie na siano lub zboże, składające się z czterech słupków i ruchomego dachu; stóg siana lub zboża przykryty daszkiem

cenzura - tu: świadectwo sprawowania się i postępów ucznia wydawane przez szkołę periodycznie  
 Chełmoński Józef (1849-1914) - polski malarz krajobrazów i scen rodzajowych, uczeń W. Gersona

chruściel - *crex pratensis*, derkacz, kiecak, kaspar, mały ptak zamieszkujący trawy i zboża

ciąg - tu: lot, przelot dzikich kaczek

cum laude (łac.) - z pochwałą; dawna forma oceny wyróżniającej na dyplomach

czworaki - budynek o czterech mieszkaniach przeznaczony dla służby folwarcznej

Darwin Charles Robert (1809-1882) - przyrodnik angielski, twórca teorii ewolucyjnego powstawania gatunków zwierzęcych i roślinnych w drodze doboru naturalnego; główne prace to "O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego", "O zmienności roślin i zwierząt w stanie udomowienia", "O pochodzeniu człowieka", "O

doborze płciowym". Dzieła Darwina uchodziły za niemoralne, pannom w XIX w. "nie wypadało" ich czytać.

Das ewig weibliche (niem.) - pogardliwie: wiecznie kobiece

de iure (łac.) - według prawa; prawnie; formalnie; zgodnie z prawem

dezenwoltura, dezyzwoltura (z fr.) - zbyt swobodne zachowanie się

“Die Braut von Messina” (niem.) - “Oblubienica z Messyny” (1803, wyd. pol. 1843), tytuł dramatu fatalistycznego F. Schillera (1759-1805)

drapacz - narzędzie do kruszenia brył i spulchniania ziemi

ekspens (z łac.) - wydatek, koszt

ekstyrpator (z łac.) - graczownik, narzędzie rolnicze służące do wrywania chwastów z korzeniami

ekwipować (z fr.) - wyposażać, zaopatrywać elegia (z łac.) - tu: żale, smutne wyznania elegijna (z łac.) - tu: smutna

eskulap (łac. Aesculapius, gr. Asklepios) - lekarz; w mitologii greckiej Eskulap był bogiem sztuki lekarskiej; tu: żartobliwie.

Eupatoria - miasto na zachodnim wybrzeżu Półwyspu Krymskiego założone przez Mitrydatesa IV, było siedzibą chanów tatarskich, od 1783 r. należy do Rosji faryzeusz - przenośnie: człowiek fałszywy, obłudny; udający pobożność, świętoszek, hipokryta (w starożytnej Judei członek sekty religijno-politycznej odznaczającej się ścisłym przestrzeganiem zewnętrznych

przepisów

religijnych)

faska - miara zboża odpowiadająca pojemności fasy, czyli stągwi, kadzi - dużego naczynia z klepek służącego do przechowywania produktów

fąfel (z fr.) - smarkacz, dzieciuch

fiksotka - przenośnie: dziwaczka, maniaczka flinta (z niem.) - fuzja myśliwska, strzelba 5

fornalka - tu: typ gospodarstwa rolno-hodowlanego funt - jednostka miary, od około 400 do 560 g garniec - dawna polska miara pojemności cieczy i ciał sypkich dzieląca się na cztery kwarty i szesnaście kwaterek, licząca od 3,5 do 4 l

Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus! (łac.) -

weselmy się więc, pókiśmy młodzi; międzynarodowa pieśń studencka; tekst wędrownego poety niemieckiego C. W.

Kinderlebena (1781) oparty jest na hymnie pokutnym z XIII w., melodia J. G. G~unthera.

“Gazeta Warszawska” - najstarszy dziennik warszawski, założony w 1774 r. przez księdza S. Łuskię jako pismo informacyjne zamieszczające przekłady artykułów zagranicznych. W 1794 r. “Gazeta Warszawska” przeszła na własność Lesznowskich, zmieniając okresowo nazwę na “Gazetę Krajową”, następnie na “Gazetę Wolną Warszawską”, w tym samym roku wróciła do starej nazwy; w latach 1841-1859 pod redakcją A. Lesznowskiego syna

“Gazeta” podniosła swój poziom drukując w odcinkach m.in. powieści J. Korzeniowskiego, J. I. Kraszewskiego, T.

T. Jeża i in., korespondencyjne J. I. Kraszewskiego, felietony A. Niewiarowskiego. W latach 1859-1889

redaktorem był J. Kenig, potem S. Lesznowski, który w 1906 r. przekazał prawa wydawnicze M. Zamoyskiemu, program “Gazety” poszedł w kierunku Narodowej Demokracji; po 1910 r. redagował ją nowy zespół z R.

Dmowskim. Zlikwidowano ją w 1935 r.

gratis (łac.) - darmo, bezpłatnie

gumno - 1. stodoła; 2. plac w stodole z twardo ubitej ziemi, na którym młóci się zboże cepami; klepisko, boisko, tok; 3. podwórze gospodarskie wraz z budynkami gospodarskimi

homo sum (łac.) - człowiekiem jestem; właśc. homo sum, humani nihil a me alienum puto - człowiekiem jestem; nic, co ludzkie, nie jest mi obce; z Terencjusza (Heautontimorumenos, 1, 1, 25).

Jeśli pierś z lodu, namiętność ją spali,

A jeśli z głazu - roztrzaska!

- właśc. Jeśli pierś z drewna..., z W. Gomułickiego (Musisz kochać, w. 25-28).

jurysta (łac.) - znawca prawa; prawnik

kaleta (z tur.) - woreczek skórzany na pieniądze i drobiazgi, noszony przy pasie

kałamaszka (z białorus.) - wózek jednokonny, wybity łubem, bez budki i resorów, używany w XVII-XIX

w. głównie na Litwie, Białorusi i Ukrainie kaput (z niem.) - żartobliwie: koniec, po wszystkim, wszystko przepadło

karbol (z łac.) - roztwór fenolu używany do dezynfekcji

karbowy - nadzorca chłopów prowadzący rejestr ich pracy

kop., kopiejka (z ros.) - setna część rubla korzec - słowiańska miara ciał sypkich; używano różnych korcy lokalnych, wg konstytucji z 1764 r.

warszawski korzec skarbowy zawierał około 120 litrów, a korzec nowopolski około 128 litrów; korzec dzielono na 32

garncze.

Kosiński Julian (1833-1914) - profesor chirurgii w warszawskiej Szkole Głównej, potem na uniwersytecie

“Kraj” - tygodnik polityczno-społeczny ukazujący się w Petersburgu w latach 1882-1909, współzałożycielem (razem z W. Spasowiczem) i redaktorem był E. Piltz, od roku 1906 B. Kutyłowski. “Kraj” reprezentował ugodowe 7

tendencje polityczne, głosił konieczność zbliżenia się do liberałów rosyjskich, popierał ruch pansławistyczny; w dziedzinie gospodarki opowiadał się za programem pozytywistycznym. Głównymi publicystami byli m.in. E.

Piltz, W. Spasowicz, J. Tokarzewicz, współpracownikami E. Orzeszkowa i B. Prus.

krup (z ang.) - dławiec, błonica krtani



Księstwo - Księstwo Warszawskie utworzone przez Napoleona I w 1807 r. jako państwo niepodległe, w sojuszu z Francją, utworzone z ziem II i III zaboru pruskiego (bez Gdańska), po wojnie 1809 r. poszerzone o odebrany Austrii Kraków, Kieleckie i Lubelskie; w 1813 r. zajęte przez wojska rosyjskie, w 1815 r. zlikwidował je kongres wiedeński.

kuplet (z fr.) - zwrotka dowcipnej piosenki na tematy aktualne, zazwyczaj z refrenem

kursy - tu: wykłady, studia

lafirynda - tu: lekceważąco o przesadnej elegantce, strojnisi, kokietce, kobiecie modnej, niepraktycznej  
legat (z łac.) - przeznaczenie przez spadkodawcę w testamencie określonego świadczenia majątkowego dla osoby nie będącej spadkobiercą; zapis

lejcowa kasztanka - chodząca w lejcach, przed dyszlowym albo obok dyszłowego konia

lik; nie w liku - nie liczy się

luminarz (łac. luminar - pochodnia) - człowiek wybitny, przodujący w jakiejś dziedzinie,  
znakomitość marka (z niem.) - tu: znaczek pocztowy

marszałkowskie zjazdy - zjazdy samorządu szlacheckiego pod przewodnictwem marszałka, od 1772 r.

w zaborze rosyjskim marszałek obierany był na sejmikach powiatowych, od 1863 r. z nominacji

- mentor (z gr.) - tu: nauczyciel, wychowawca; w mitologii greckiej imię wychowawcy Telemacha, syna Odyseusza
- merynosy (z hiszp.) - owca pochodzenia hiszpańskiego o cienkiej wełnie, najbardziej przydatnej do przerobu przemysłowego
- mir - tu: uznanie, poważanie, szacunek ogółu mitygować (z łac.) - łagodzić, uspokajać, powstrzymywać
- oficyna - skrzydło pałacowe lub budynek wolno stojący w pobliżu pałacu lub domu, zawierający kuchnię, piekarnię, mieszkania służby, czasem pokoje gościnne ospa - tu: otręby ze zbóż, owies bardzo grubo mielony
- ostracyzm (z gr.) - tu: bojkot towarzyski; w starożytnych Atenach sąd skorupkowy, czyli głosowanie zgromadzenia ludowego za pomocą skorupki. Każdy z członków zgromadzenia wypisywał na skorupce imię obywatela, którego działalność uważał za szkodliwą dla równości demokratycznej, ten, na którego padło co najmniej sześć tysięcy głosów, zostawał wygnany z kraju na lat dziesięć, nie tracąc majątku ani praw obywatelskich partykularz (z łac.) - miejscowość odcięta od środków życia umysłowego; zapadły kąt, głucha prowincja patent - tu: świadectwo ukończenia szkoły, uzyskania tytułu naukowego lub zawodowego; dyplom patriarchowie - w Starym Testamencie wylicza się dziesięciu praojców rodu ludzkiego od Adama do Noego; w ścisłym znaczeniu patriarchami są Abraham, Izaak i Jakub jako praojcowie narodu wybranego oraz synowie Jakuba jako praojcowie dwunastu pokoleń izraelskich perorować (z łac.) - rozprawiać o czym, rozwódzić 9
- się nad czym; przemawiać
- postponować (z łac.) - lekceważyć kogo, traktować z góry, ze wzgardą, pogardzać kim
- prerogatywa (z łac.) - wyłączne prawo, przywilej, pierwszeństwo
- prowent (z łac.) - dochód, zysk, przychód, urodzaj pud - dawna miara wagi równa czterdziestu funtom (16,38 kg) używana w Rosji i Królestwie Polskim reparować, reperować (z łac.) - naprawiać rezonować (z fr.) - dowodzić, mówić z dużą pewnością siebie; rozprawiać, pouczać, mędrkować rozchód - tu: spożycie, wydatek
- roztargniona czupryna - tu: rozczochrana, potargana sacki - prawdopodobnie chodzi o holenderską miarę zboża, zwaną po niemiecku Sack, równą 83,442 litrów sankcja - tu: potwierdzenie, akceptacja
- sensualny (z łac.) - tu: zmysłowy
- sie sind doch Mensch (niem.) - pani jest przecież człowiekiem
- simmentalery, bydło simentalerskie - rasa bydła pochodząca ze Szwajcarii, o sierści płowozółtej lub jasnoczerwonej w białe plamy. Odznacza się masywną budową ciała, hodowana ze względu na dużą

mleczność i dobre mięso (Simmental - dolina rzeki Simme w Szwajcarii).

skandynawskie braterstwo - tzw. braterstwo krwi w mitologii skandynawskiej polegało na tym, że mężczyźni w trakcie składania przysięgi nacinali sobie żyły i mieszały krew w wglębieniu śladów swych stóp. Obowiązywała ich wzajemna lojalność i służenie sobie w każdej potrzebie, tak jakby byli braćmi.

soliter - tu: diament większy oddzielnie oprawny 10

sowizdrzał - narwaniec, lekkoduch, trzpiot, postrzeleniec; od polskiej wersji imienia niemieckiego wieśniaka, który stał się najgłośniejszym w Europie wesołkiem, błaznem, uosobieniem mądrości i humoru ludowego, dzięki jego biografii, której pierwsza wersja ukazała się w 1515 r. w Strasburgu, najbardziej znane polskie tłumaczenie ukazało się w 1540 r. pt. "Sowiźrzał

krotofilny i śmieszny".

spektatorka (z łac.) - osoba oglądająca co, przyglądająca się czemu; widz

spencerek (z ang.) - tu: kaftanik lub kurteczka dla dziecka

stancja - tu: izba mieszkalna, pokój

"Stracone zachody miłosne" - tytuł komedii W.

Szekspira (1564-1616)

szafarka (z niem.) - osoba zarządzająca spiżarnią, dozorująca gospodarstwa, mająca w swoim zarządzie klucze

sześć złotych - w zaborze rosyjskim złoty równał się piętnastu kopiejkom, rubel więc miał sześć złotych i dziesięć kopiejek Szyller zob. "Die Braut von Messina" taratajka (ros.) - lekka bryczka, zwykle dwukołowa, bez resorów (pol. taradajka, taradejka)

Tebaida - jeden z trzech regionów starożytnego Egiptu, zwany także Górnym Egiptem, ze stolicą w Tebach; osiedlili się tam pierwsi pustelnicy chrześcijańscy turbacja (z łac.) - trud, fatyga, kłopot

turbować (z łac.) - martwić, niepokoić

victoria! (łac.) - zwycięstwo

wasąg (z niem.) - w Polsce do pocz. X w. kosz pleciony wyściełający wewnątrz czterokołowego wozu bezresorowego; wóz, bryka wysłane półkoszkami, używane 11

jako pojazd gospodarski, podróźny i bagażowy wibrujący - tu: podekscytowany, wzburzony wint - gra w karty, prototyp brydża

zakarbowana grzywka - przenośnie: ufryzowana, ułożona, zakręcona

zbyć wiek - tu: przeżyć wiele lat

zerwane nerwy - tu: nadwyrężone, osłabione zmyślała - tu: wyczerpywała się, suszyła, łamała sobie głowę

“Zem nie jest jako ów celnik” - słowa faryzeusza z przypowieści o tym, że kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony, według Ewangelii św. Łukasza (18, 9-14)

Pani Taidy Skarszewskiej nikt nie lubił w okolicy, ale każdy musiał ją szanować, liczyć się z nią i przyciśnięty do muru - przyznać, że była wiele warta.

Była to kobieta, którą bieda i praca wychowała, bieda i praca nauczyła, bieda i praca towarzyszyła wiodąc przez życie. W tej kompanii stwardniało jej serce, wyrobił

się despotyczny charakter - nawet zgrubiały rysy, głos, wyrażenia. Była bezwzględna dla słabości, wymagająca cnoty jako obowiązku, pracy jako jedynej dźwigni i celu życia, pogardzająca próżniakiem jak przestępcą, prawiąca prawdę ostrą twardo, bez żadnych ogródek! Nie wierzyła w słabe zdrowie, w przeciwnie okoliczności, w pokusy i upadki - nawet w wadliwe wychowanie i dziedziczne wady. Dla niej świat nie dzielił się na stany, klasy, płcie.

Nie. Był to człowiek pracujący - do niego należała ziemia; był próżniak - dla niego był Sybir, więzienie, ba!

gdyby była prawodawcą, dodałaby bez wahania szubienicę.

Razu jednego krewniak jej i chrzestny syn zarazem zgrał się i przyciśnięty koniecznością przyjechał błagać o ratunek. Wtedy już pani Taida miała srebrne włosy, ale się pozbyła towarzyszkę biedy, więc mogła go poratować.

Przyjęła go w stodole, gdzie dozorowała zdawanie partii pszenicy, i zaraz ofuknęła, że w roboczy dzień nie pójdzie go bawić do salonu. Nieśmiało opowiedział swe nieszczęście.

Skoczyła jak furia:

- Nieszczęście! Jak śmiesz to tak nazywać!

Nieszczęście święta rzecz. Bóg je zsyła. To Jezusowe cierpienie! A twoje nieszczęście czego warte?  
- stryczka.

Sznurek ci dam, ot masz, powieś się, ty łotrze!

- Ależ ciociu, ja się do winy przyznaję, ale ja się poprawię, nie wezmę kart do ręki! Ten jeden raz! Nie o mnie zresztą chodzi, ale o ziemię. Serce mi się krwawi nad dolą Zapola.

- Bądź spokojny. Ziemia bez szubrawca nie zginie, owszem odetchnie, gdy po niej chodzić przestaniesz.

Ładnie ty ją uprawiasz, ślicznie o nią dbasz! Owszem, owszem, żeby was nie stało co do jednego, hultajów, rozpustników, leniów, graczy, jarmarkowiczów, toby może ta nieszczęśliwa ziemia odetchnęła. Robactwem szkodliwym jesteście i chwastem! I ty śmiesz do mnie się zwracać o ratunek! Masz!

I rzuciła mu pod nogi kłębek szpagatu.

Tedy się krewniak bardzo obraził i bywać przestał.

Co prawda, mało kto odwiedzał Rudę, majątek pani Taidy, bo prawie każdy usłyszał tam kazanie i gorzką prawdę ciśniętą bez ogródki w oczy. Ona sama o gości mało dbała mawiając:

- Próbowałam tego za młodu, ale się nie opłaciło.

Gość zawsze oderwie od zajęcia, zajmie czas - i na co?

Tylko obmowa i plotki, bo tylko się sąsiadów sądzi, krytykuje lub wyśmiewa. O czym innym gadać na partykularzu? Potem pojedzie dalej i co sam mówił, włoży w twoje usta, jeszcze coś dokomponuje i ot, gotowa zwada ze sąsiadem. A służba gościnnie buntuje miejscową albo wprost odmawia. Nigdy po gościach nie zostanie nic dobrego, tylko irytacja i śmiecie w domu! Zresztą, nie ma czasu na wizyty.

Nie kryła się z tym zdaniem, więc ludzie ogłosili ją za jędzę i sknerę i trawą porósł podjazd do domu w Rudzie, bo i pani Taida niewiele zużywała koni na swoje przyjemności.

Kilka razy do roku jeździła do parafii na wielkie święta lub do spowiedzi, kilka razy za interesami do powiatu, parę razy do brata i siostry, i na tym się kończyły jej stosunki ze światem.

Przez całe swe życie wierna była “Gazecie Warszawskiej” i wierzyła w nią bezwarunkowo co do polityki i

korespondencyj rolniczych, potem

zaprenumerowała “Kraj”, ale co rychlej się wycofała.

Można dostać żółtaczki z irytacji czytając ich polemiki! I co z tego za korzyść! Ja wiem, że jest ciężko, źle, nieznośnie! Ale jak mi kto będzie bezustannie przypominał, to mnie cała moc odpadnie i robić nic nie zechcę! Człowiek dwa razy nie żyje ani doli sobie nie wybiera. Jaka mu wypadła, musi ją odbyć. Na tamym świecie będzie ład, a tutaj nigdy!

Dewotką nie była pani Taida. Pacierz ranny odmawiała o świcie idąc na gumno, wieczorny rozbierając się do spoczynku, w niedzielę odmawiała modlitwy ze starego “Ołtarzyka polskiego”, który odziedziczyła po matce, a gdy miała wolną chwilę lub dotknęła ją jaka klęska, otwierała na chybił trafił “Listy św. Pawła”, odczytywała stroniczkę i tyle. Ubierała się zawsze na czarno, bez pretensji, nie posiadając w swej garderobie nigdy więcej nad dwie suknie; jadła bardzo mało, sypiała sześć godzin na dobę. Od świtu do zmierzchu na nogach lub na wózku, nie powiedziała nikomu w życiu “nie mam czasu” lub “poczekaj”, czy z wrodzonych zdolności, czy długoletniej rutyny mając w głowie przedziwny ład.

Życie jej upłynęło w Rudzie, a dzieła i czyny nie wyszły poza zakres szarego tłumu ziemian. Gdyby była mężczyzną, stałaby się luminarzem powiatu, ale że była kobietą, więc nie miała głosu ni w radzie, ni w sądzie, ni na 15

zjazdach marszałkowskich - nigdzie. Nie mogła zaprotestować, gdy podwyższono podatki, ani obronić się, by jej nie wyznaczano reparacji dróg o siedem mil, ani wpłynąć na obniżenie procentów w Banku Wzajemnego Kredytu, którego była członkiem; miała tam głos, ale osobiście go używać nie miała prawa.

Miała wszystkie ciężary obywatela, bez żadnych prerogatyw.

Osiemnastoletnią dziewczyną wyszła za męża, gdy miała dwadzieścia dwa lata została wdową z dwoma synami i mnóstwem długów. Naznaczona opiekunką małoletnich, długie lata była pod kontrolą marszałkowskiej kancelarii, pilnowali ją ostro panowie sąsiedzi, wymagano szczegółowych rachunków, wtrącano się we wszystko. Ale długów nikt nie płacił - tylko ona, klęsk nikt nie wynagradzał - tylko ona, biedy nikt nie cierpiał - tylko ona, synów nikt nie uczył - tylko ona, i Rudy nikt nie kochał -

tylko ona.

A gdy starszy syn, Włodzimierz, doszedł do pełnoletności, na obiedzie u marszałka panowie mu rzekli:

- No, uchowaliśmy ci Rudę w porządku. Teraz o swój los i byt możesz być spokojny!

I byli rzetelnie rozrzewnieni swą obywatelską służbą.

W pracy swej i trudzie nie była jednak pani Taida sama. Mieszkała z nią siostra niezamężna, trochę ułomna, wskutek tego wykreślona z kandydatek do stanu małżeńskiego, panna Jadwiga, ciocia Dysia, jak ją nazywali chłopcy.

Kopciuszek rodziny, ciocia Dysia po owdowieniu siostry przyjechała na czas jakiś do Rudy i została na zawsze. Była cichutka, łagodna, każdemu z drogi 16

ustępująca, skrzętna i pracowita. Jest na świecie wiele panien brzydkich i kalek skazanych na samotną starość i wykolejenie, ale któraż w porę zrezygnuje z marzeń, która w porę dobrowolnie usuwa się od uczuć, pragnień i utartego celu, która potrafi wynaleźć sobie inny cel, a nie stać się pośmiewiskiem i nieszczęśliwą?

Otóż ciocia Dysia nie stała się pośmiewiskiem, nie poczuła się nigdy nieszczęśliwą i nawet mawiała, że innej doli nie pragnie. Stała do pomocy siostrze, jeszcze bardziej ukryta w szarej masie obywatelstwa okolicy. Pani Taida nie miała prawa korzystania ze swego głosu - ciocia Dysia nawet głosu nie miała. O pani Taidy czynach i dziełach nie wiedzano poza powiatem, o czynach cioci Dysi nie wiedział nikt i nikt o niej nawet nie mówił.

W Rudzie pani Taida, burcząc często, karcąc ostro, napominając co chwila, prowadziła męskie gospodarstwo; ciocia Dysia, drepcząc dużo, gderząc po trosze, zajmowała się kobiecym. Tak się to cichutko odbywało, że zdawało się, że ona nic nie robi. Nawet myślała to pani Taida i z roku na rok, w miarę rozwoju gospodarstwa, dodawała siostrze obowiązków.

I wreszcie po latach ciocia Dysia zajmowała się śpizarnią i kuchnią, drobiem i domem, ogrodem i nabiałem.

Nie bez tego, żeby nieraz wyręczyła siostrę w prowencie i doglądaniu inwentarza. Mieściło się to jakoś zgodnie w dwunastu godzinach dnia roboczego i nie zalegało nazajutrz.

Z zamięłowania, dogadzając sobie, ciocia Dysia leczyła chłopów i marzyła, jak by to pięknie było, żeby dwie stancje w czworakach zająć na szpitalik.

W niedzielę snuła sobie na ten temat plany.

Dwie stancyjki bielutkie, łóżka czyste, biała pościel, 17

apteczka, wanna. Bo to przychodzi chory - dasz lekarstwo, on pójdzie do chaty, zje co niezdrowego albo wyjdzie w nocy na mróz, albo zabrudzi ranę, i wszystko przepadło!

- Może ci jeszcze do tego szpitala parę szarytek się chce i Kosińskiego z Warszawy! - dogadywała



pani Taida.

- Pewnie, że szarytek mi się chce, ale jak nie wolno, to nie! Dozorczynię bym znalazła, a doktorem powinien Włodzio zostać!

I dalej roiła ciocia Dysia już w myśli.

Otóż nie roiła na próżno. Pewnego roku, gdy ogromnie obrodziła pszenica, a Włodzio świetnie skończył

gimnazjum, pani Taida kazała opróżnić dwie stancje w oficynie i na imieniny cioci Dysi położyła przed nią klucz i sto rubli:

- Oto masz na twój szpital.

- A ja jadę do Kijowa na medycynę! - rzekł

Włodzio.

A ciocia Dysia zaczęła z radości płakać.

Założono tedy szpitalik, a pakowne były te dwanaście godzin cioci Dysi, bo i to się w nich pomieściło.

Chłopców swoich wychowywała pani Taida surowo.

Malcy hartowali członki i zdrowie chodząc boso, jeżdżąc oklep konno, mało się ucząc do ośmiu lat. Potem przygotowywał ich do gimnazjum miejscowy nauczyciel wiejski i szli do szkół. Matka osobiście uczyła ich historii, ciocia Dysia religii i szli w świat.

Obydwaj mieli stancję u znajomego jurysty w gubernialnym mieście, gdzie pani Taida była o nich spokojna i nie widywała od wakacyj do wakacyj.

Ale po paru latach musiała pani Taida umieścić ich u profesora. Wtedy zaczęła ich odwiedzać co parę miesięcy, a pisywać co tydzień.

Gdy mieszkali jeszcze w domu, nad łóżkiem, pod świętym obrazkiem, miał każdy pęczek brzeziny. Nie był to pusty symbol. Matka miała gniew prędko, a rękę skorą - z brzezina tą bywali często w bliższych stosunkach. Gdy wyjechali do szkół i wrócili w mundurkach na wakacje, ujrzeli ze zgrozą, że brzezina była na dawnym miejscu.

Włodzio, starszy, śmielszy, zerwał swoją ze ściany i wyrzucił przez okno. Kazik, młodszy, tylko zębami zazgrzytał, ale nie tknął.

Nazajutrz, gdy pokazali cenzury i list Ozińskiego, przekonali się, że symbol zachował swą dawną siłę.

Włodzio dostał za zły stopień z arytmetyki, Kazio za skargę Ozińskiego, że we dwoje z jego córką wybrali się pewnego dnia niedaleko, bo do Ameryki. Złapano ich za rogatkami, gdyż mieli zamiar iść pieszo do Hamburga, a na przejazd okrętem posiadali całe trzy ruble.

Po odnowieniu stosunków z brzezina nastąpił morał

krótki, bo się pani Taida spieszyła w pole.

- Włodziu, kto nie umie rachować, ten robi długi, a zatem się hańbi. Rozumiesz! Zapamiętaj sobie - jeśli wydasz kiedy grosz pożyczony, wyprę się ciebie. A pamiętaj, że przez całe życie może nie doczekasz się grosza, który będziesz mógł nazwać własnym, tyle masz obowiązków! Wyrzuciłeś różgę, smarkaczu, a ja ci powiadam, żebyś swoje wady wyrzucił, wtedy ja sama ją sprzątnę. A tymczasem szanuj ją, boś do innego mentora jeszcze nie dorósł.

Włodzio, nadąsany, zbuntowany, wybuchnął:

- U nas, w klasie, nie biją, my nie wstępniaki!

- A to wielka szkoda, że nie biją, i tym bardziej ja będę biła. Zresztą masz różgi na czapce, żebyś o tym pamiętał.

- To nie różgi, to laur! - oburzył się Włodzio.

- Laur, laur, patrzajcie go! Ano, to się staraj, żebym ja w to uwierzyła. Dla mnie to różgi, wasze godło.

Tu się zwróciła do Kazia, który zaciąwszy usta coraz bardziej chciał uciec do Ameryki...

- A ty, fąflu jeden, próżniaku, uciekać chcesz? A wiesz ty, kto ucieka? Złodzieje, zabójcy i hultaje. Skądś wziął te trzy ruble? - gadaj zaraz. Możesz pożyczyć u kolegi?

- Nie - bąknął Kazio.

- Więc skąd je miałeś?

Kazio milczał. Wiedziała pani Taida, że gdy się zatnie, żadna siła i mus nie doprowadzi go do wyznania.

Dała tedy na ten raz za wygraną.

Takie zwierzenia otrzymywała ciocia Dysia.

Przepadali za nią chłopcy, była ich powiernicą, pocieszycielką, często orędowniczką u matki. Ciocia Dysia mitygowała ją, a im wmawiała kult dla matki, opowiadała jej troski i kłopoty, jej nadzieje, w nich pokładane, ich obowiązki względem niej.

Lata szły po latach, chłopcy uczyli się dobrze, coraz rzadziej spotykali się z brzezina, wreszcie przeszła w mit, jeszcze groźny, ale coraz niewyraźniejszy. Zarysowały się też coraz wyraźniej ich charaktery.

Na wakacje Włodzio przywoził książki i wiersze, był rozmowny, uprzejmy, wesół, figlarz i swawolnik.

Kazio rwał się do zajęcia w polu, lubił polowanie, konną jazdę, rybołówstwo, ale był co do swych myśli skryty, a przy ludziach dziki i nieufny.

Matka im wcześniej zapowiedziała, na co się mają kierować.

- Bo i po co to bałamuctwo - mówiła. - Niech od 20

razu każdy wie, co ma i co go czeka, to nie będą błędzić.

Rudy nie podzielimy, bo albo jeden weźmie las bez roli, albo drugi pole bez drzewa. W całości to coś warte, a w kawałkach obadwa poginą i naturalnie, czyja będzie wina -

matki! Jeśli Bóg życie mi przedłuży, a las się trochę przetnie, to na spłatę Włodzia się zbierze. Niech

sobie fach wybierze. A Kazio tu zostanie. Tylko ja cię tu, nieuka, nie wezmę, żebyś eksperymenty na Rudzie czynił, baki strzelał

i żeby ta kochana ziemia za ciebie pokutowała. Świat idzie naprzód, a rolnik musi więcej umieć niż kto inny. Pójdiesz tedy po teorię na akademię, a praktyki to już ja cię douczę!

Był to wyrok bez apelacji, a że ciocia Dysia po swojemu wyłożyła go chłopcom, więc przyjęli bez szemrania i żadnych warunków; ludzie zaś nie bywali w Rudzie, więc żaden przyjaciel nie zbuntował chłopców na

“baby, co ich za nos wodzą!”

Dzień powszedni w Rudzie rozpoczynał się słońcem i jeden do drugiego był tak podobny jak paciorki różańca.

Latem siostry prawie się nie widywały, zajęte każda w swoim zakresie, spotykając się na chwilę przy posiłku; jesienią i zimą spędzały razem wieczory w sypialni pani Taidy. Gwarzyły o robotach ukończonych, o zamierzonych; cioci Dysi pracowite ręce migały igłą, pani Taida pisała dzienne rachunki, a na zakończenie w wielkiej księdze notowała głównejsze dnia wypadki. Księga ta była historią jej życia, chciała ją synom zostawić na pamiątkę.

Gdy był dzień pocztowy, czytała głośno gazetę, a gdy otrzymała jakiś list, wnet nań odpisywała. Listy jednak były rzadkością; oprócz chłopców korespondowała tylko z siostrą, bratem i Ozierską.

Tej ostatniej listy były zawsze tematem do rozmów.

Ozierscy mieli trzy córki i była to zrazu zazdrość pani 21

Taidy.

- Szczęśliwa, ma córki! Co to syn! Albo się go ma dla siebie? Byle od ziemi odrósł, idzie do szkół, uczy się ze dwanaście lat, a potem rzuci matkę dla lada lafiryndy i Bóg wie, kogo może do gniazda sprowadzić. A żona odciągnie go do reszty od rodziny - i koniec! Córka to moje własne, pokieruję, jak zechcę, i wstydu nie zrobi, długów nie zaciągnie i zaraz jest z niej pomoc i wyręczenie. Szczęśliwa Ozierska, nie będzie nigdy samotna.

Okazało się jednak, że każde szczęście ma rysę, którą nieszczęście się sący dla równowagi.

Ozierskim córki stały się kłopotem i zgryzotą całego życia. Najstarsza wyszła za mąż i wegetowała gdzieś w głębi Wschodu, nie śmiejąc nawet skarżyć się rodzicom, którzy odradzali jej z całych sił to małżeństwo.

Druga poślubiła zdolnego technika, który w rok po ślubie został wysłany do Eupatorii i tam włócił smętny żywot jakby wygnańca.

Najmłodsza, podlotek, zapowiadała się jeszcze gorzej. Samowolna, nieokiełznana natura, głowa szalona, przy tym niesłuchanie zdolna i ambitna, wypowiadała posłuszeństwo wszelkim prawom,

zwyczajom, formom; trwała w nieustannym buncie z rodziną i społecznym porządkiem. Ona to z Kaziem uciekała do Ameryki, a potem rzuciła się do nauk, czytając najskrajniejsze dzieła, wygłaszając zasady rewolucyjne, emancypując się spod władzy rodzicielskiej, wypowiadając wojnę całemu ustrojowi świata.

Listy Ozińskiej pełne były rozpaczy i troski, żyła w ciągłej trwodze o skandal, ucieczkę, jawną kompromitację.

Włodzio, gdy przyjeżdżał na wakacje, opowiadał tysiące awantur “wariatki Stasi”.

Znała ją tedy dobrze z opinii pani Taida, zanim poznała osobiście.

Pewnego lata Ozierska przywiozła ją z sobą do Rudy na parę tygodni wakacyj.

Rachowała w duchu, że może wpływ pani Taidy czegoś dokaże, a wiejska samotność umityguje egzaltację dziewczyny.

Stało się jednak, że okrzyczana Stasia podobała się pani Taidzie - przynajmniej nie zrobiła na niej wrażenia takiego dziwoląga, jakiego sobie wyobrażała.

Była nieładna, ale uderzająca charakterem i inteligencją, przy tym zajęta żywo przedmiotem, czynna, ruchliwa, ciekawa nowego otoczenia i życia.

- Oczerniliście ją, moja droga! - rzekła do Ozierskiej. - Cóż tak straszego, kozak-dziewczyna, i tyle.

- Poczekaj! - westchnęła Ozierska.

Nazajutrz rano nie było w domu Stasi. O świcie, umówiwszy się zapewne z wieczora i wcale starszych nie uprzedzając, poszła z Kaziem na kaczki.

Wrócili około południa, oboje obłoceni po szyję.

Stasia niosła z kawalerską dezynwolturą kapelusz na tyle głowy, flintę na ramieniu, dwie kaczki u torby i gwizdała.

- Jezus, Maria! - jęknęła Ozierska. - Do czegoś ty podobna.

Włodzio, usłyszawszy, co Stasia gwizdzie, począł

chichotać i dogadywać, ciocia Dysia aż przestała drylować wiśnie. Pani Taida obejrzała ją od stóp do głowy, wstała i zawołała za sobą Kazia do domu.

- Będzie mu ciepło! - mruknął Włodzio.

- Moje dziecko! - rzekła przerażona ciocia Dysia. -

Samaś te kaczki zabiła?

- Sama, a jakże! Była i trzecia, ale upadła w taką 23

topiel, że gdym po nią poszła, o małym nie została na zawsze.

- Jakże ci na to Kazio pozwolił?

- Wcalem się go nie pytała. Nie jestem dama, żeby mi świadczył grzeczności.

- A co ty jesteś? - zagadnęła śmiejąc się ciocia Dysia.

- Jestem człowiek! - i położywszy kaczki na stopniach ganku dodała: - Zarobiłam na śniadanie.

Pani Taida wróciła i ozwała się:

- Zarobiłaś na coś jeszcze więcej. Powiem ci po śniadaniu.

- Idźże się przebierz! - zawołała oburzona matka - i zastanów się, czy to wypada tak się zachowywać!

- Mama się wiecznie turbuje, że nie wypada. Niech mama mocno kopnie, to wypadnie! - rzekła niefrasobliwie Stasia, niktąc w domu.

Ozierska spojrzała bez słów na panią Taide.

Ta ramionami ruszyła.

- Ano, dałabym jej radę ja - rzekła. - Kazio już drugi raz nie pójdzie, za to ci ręczę!

W jadalni dwoje winowajców zeszło się u stołu.

- Cóż dostałeś? - zagadnęła Stasia.

- Wiadomo! - mruknął Kazio.

- Bo ja ci mówię i powtarzam: idźmy w świat.

- Et! Matki nie porzucę.

- Głupiś!

- Samaś głupia!

Na tym się urwała rozmowa, bo byli oboje bardzo głodni, a więc kłócić się nie mieli czasu. Dopiero zjadłszy wszystko, co było na stole, Stasia spytała:

- Pójdziemy jutro?

- Ani myślę wodzić z sobą babę, o którą mnie potem łają jak smarkacza.

- Przypomnę ci to po wakacjach. Pamiętaj! - rzuciła oburzona, wychodząc.

Czekała na nią pani Taida i zagadnęła:

- Powiedz mi, Stasiu, jakie masz zamiary na przyszłość?

Dziewczyna była w najgorszym usposobieniu.

Siadła na schodkach, podparła brodę pięściami i żuła przekleństwa.

- Moich zamiarów pani nie zrozumie - odparła.

- Dlaczegoż to?

- Bo pani pochodzi z epoki niewoli i ciemnoty, a ja stoję u wrót swobody i oświaty.

- Stasiu - jęknęła matka.

- Daj pokój, moja droga! Przecie ona mnie nie może obrazić. Owszem, ciekawam tej nowej epoki. Dążysz tedy do swobody i oświaty. Jedno i drugie jest szanowne, ale to nic nowego ani dla mnie niezrozumiałego. Chcesz tedy nauki, a potem pracy! To bardzo dobrze. Tylko czy ty rozumiesz, czego chcesz - co to jest nauka i praca?

- No, to chyba elementarz! - zaśmiała się Stasia.

- Szkoda tedy, że tego elementarza nie umiesz. Bo dokuczać matce to nie oświata, ale dzikość, a błocić się na kaczkach to nie praca, ale swawola.

- Nie ja matce, ale matka mnie dokucza. Polowania nie zabrania mi żadne prawo, tylko głupi, nielogiczny obyczaj. Tego wypełniać nie myślę.

Starsze panie milczały, ale Stasia rozgrzała się i wybuchła:

- Żeby się kto chciał zastanowić, ile takich anachronizmów jak rak toczy ludzi. Żeby kobiety same się

zastanowiły, jaki dla nich jest wstyd i hańba w tych obyczajach niby opiekuńczych, w tym ohydnych "nie wypada"! Nie wypada się uczyć, bo to ujma kobiecości, nie wypada samej jeździć i chodzić; nie wypada pannie obrać sobie fachu i opuścić dom rodzicielski; nie wypada ostrzyć warkoczy, zarzucić gorset, ubierać się niemodnie; nie wypada nie być naiwną, palić tytoniu, śpiewać wesołych kupletów i gwizdać; nie wypada być człowiekiem, mieć indywidualność, charakter! No, a gdy przestrzega tych prawideł, jakaż nagroda? - dostanie męża. To ci dopiero szczyt wart takiego starania! Miałabym się za kretynekę, gdybym dla takiej nagrody spełniła choć jedno "wypada" i zatrula sobie jedną minutę



mojej złotej swobody.

- To są słowa, a gdzież twoje czyny? - spytała spokojnie pani Taida.

- Słów mi nikt nie hamuje, a czyn każdy muszę zdobywać. Mam lat siedemnaście i kończę gimnazjum.

Pani synowie tyleż uczynili z pomocą i zachętą całego świata, co ja z buntem, przeszkodami i oporem. I jeśli kto kogo się radzi w matematyce, to nie ja ich.

- A potem? - badała poważnie pani Taida.

- Jak zdam na patent, będę korepetycjami zbierała fundusz na uniwersytet, słuchając gniewów i rozpaczy rodziców, jak gdybym cześć swoją sprzedawała. Dobrego słowa nikt mi nie dał i nie da, a nawet go teraz już nie chcę.

Przebojem dojdę do celu! Za chłopami uciemiężonymi, spodlonymi niewolą gardłowali wszyscy szlachetni, za Murzynów lali krew bohaterowie, kobiety są także spodlone i uciemiężone, ale o nie nikt się nie upomni, a jeśli się kto odezwie, to tylko z szyderstwem! Toteż i my do społeczeństwa, co nas zakuło w niewolę, czujemy nienawiść!

Tu ciocia Dysia podniosła swój cichy głos:

- Ależ, Stasiu, na świecie nie brak pracy, ale rąk chętnych, nawet nie burząc podstaw społecznych. Nie ten wiele robi, kto wysoko stoi, ale ten, kto choć maluczki, spełnia powołanie.

- Ale jeden ma powołanie chować cielęta i dzieci, a drugi być astronomem lub chemikiem.

- A wiesz ty, że u nas w kraju dużo mniej jest poprawnych cieląt niż uczonych ludzi - zawołała pani Taida. - Mamy kraj rolniczy, a stoimy najniżej w kulturze rolnej, tracimy ziemię z powodu niezdarstwa jednych, a wielkich aspiracji drugich. Jak Żydów klątwa Boża, tak nas własna głupota wypędzi z ziemi. Żebyś ty była człowiekiem, tobyś nie powinna myśleć o swojej płci, ale o swojej narodowości, bo to jest kwestia, wobec której twoje szalone idee, chociaż mają rację, powinny siedzieć cicho.

Stasia umilkła, gorejącymi oczami patrząc na mówiącą. Pierwszy raz w życiu ktoś jej tak kwestię postawił i tak myśl skierował. A pani Taida mówiła dalej:

- Dlatego my powinniśmy być w zgodzie i jedności.

Pilnować zasad, obyczajów, milczeć na wszelkie osobiste uciski i utrapienia, sił nie marnować na nic innego.

Szanować starszych, bo to jedyna nasza własna władza; strzec się buntów i gwałtów, być wzorem, nie zgorszeniem.

Zazdrościsz laurów bohaterom, swobody chłopom i Murzynom. Wierz mi, tu jest sztandar, pod którym służyć warto, tylko na to trzeba być człowiekiem.

I to powiedziawszy, pani Taida wstała, a przechodząc przesunęła ręką po roztarganej czuprynie Stasi i poszła do swej roboty.

Ozierska i ciocia Dysia miały tyle taktu, że nie dodawały słowa więcej - żadnych morałów. I Stasia

pozostała na ganku sama, zadumana. Przesiedziała tak godzinę, a potem poszła przez ogród drogą polną, po której majestatycznie sunęły furgony naładowane zbożem.

Wokoło łany się ciągnęły, jak okiem zajrzeć, jedne już puste, najeżone ścierniskiem, inne jeszcze falujące owsem, inne pługami podarte, czarne. Ludzie się wszędzie uwijali, a wśród nich ukazywała się co chwila pani Taida na swym wózku, jak wódz wydając rozkazy, strofując, ucząc, bacząc na wszystko.

Stasia usiadła na wzgórk, pod krzyżem, i przypatrywała się uważnie kilka godzin. Zastał ją tam Kazio wracający od bydła z pastwiska.

- Co ty tu robisz? - zdziwił się.
- Co mam robić? Nic! - mruknęła.
- Może masz papierosa?
- Mam, ale nie dla ciebie. Baby nie powinny palić.
- Dajże pokój. Tak mi się wyrwało. Mam ciebie przecież za kolegę.
- Tak, gdy mnie potrzebujesz.
- Takeśmy przecie sobie zaprzysięgli. Zapomniałaś?

Pokaż rękę!

Odsunął swój rękaw i pokazał bliznę białą.

Podobną ona miała. Jeszcze w czasach niefortunnej wyprawy do Ameryki zawarli z sobą ślub na wzór skandynawskiego braterstwa i na pamiątkę tego nakapali sobie płonącego laku na rękę, chełpiąc się jedno przed drugim, że nie okażą bólu. Stasia na to przypomnienie dała mu papierosa, a on rzekł:

- To nie moja wina, że ty nigdy ode mnie nie żadasz pomocy.
- Nie żądam, bo nie potrzebuję, ale ty jak śmiesz mi urągać. Jesteś zdrajcą!

Chłopak skoczył jak oparzony.

- Coś ty powiedziała! Cofnij!

- Ubliżyłeś naszemu ślubowi! Nie brat mi jesteś, ale mężczyzna. Nie wolno ci nazywać mnie babą.

- To prawda, ale byłem zły, bo Włodzio ze mnie drwił. Jeśli chcesz, pójdę jutro z tobą znowu na kaczki. Co mi ostatecznie matka zrobi!

- Nie chcę. Twojej matce nie godzi się dokuczać.

Wiesz ty - ja starych nie cierpię, ale twoja matka podobała mi się.

- Bo ona także babą nie jest! - odparł z dumą. - A gdybyś ty przeczytała jej szarą książkę...

- Książki pisze?

- Ma taką jedną grubą, grubą - i tam dzień po dniu notuje swoje życie. Jakie tam dni są!

I zadumał się.

- Chciałabym ją przeczytać.

- Nie da. Chowa ją dla nas - po śmierci. Ja ukradkiem czytałem.

- Wykradnij ją dla mnie!

- Spróbuję, ale trudno.

- Oho, a ty się trudności boisz!

Kazio poczerwieniał i spojrzał na nią wściekle.

Roześmiała się drwiąco i puszczając kłęb dymu z papierosa rzekła:

- Ojciec lepiej chował Darwina, a jakeś go zechciał, tom ci go dostała. Mnie to tylko miłe, co trudne.

- Matka szarej książki nie chowa. Leży u niej na biurze. Ty tego nie rozumiesz! Przecież skarboney wiszącej przy drzwiach kościoła nie ściągniesz, choć nie przykuta!

- Głupiś! Żeby w skarbonie, zamiast pieniędzy, była wiedza i nauka, tobym ja ją wzięła nawet z ołtarza.

Cisnęła papierosa i poszła ku domowi gwizdząc.

Nazajutrz zagadnęła panią Taidę:

- Ja bym chciała przeczytać pani szarą książkę.

Zdumiała pani Taida, ale że się bardzo spieszyła w pole, więc nie badała, skąd wie o niej i skąd jej przyszła ciekawość.

- To za głupie dla ciebie albo za mądre, jak chcesz.

Jednym słowem, nie dla ciebie pisane! - odparła siadając na swój wózek i ruszając w pole.

Pozostała tedy Stasi tylko nielegalna droga.

Książkę wykraść było bardzo trudno. Leżała na widoku dzień cały - wieczorem pisała w niej pani Taida, potem zamykała drzwi sypialni i zabierała się do spoczynku.

Tedy Stasia wyczekiwała dni kilka do niedzieli.

Było to zarazem święto i wybierano się do kościoła.

W sobotę Stasia wróciła ze spaceru podrapana ohydnie. Całą twarz miała czerwono pokreśloną, jakby dzień cały przedzierała się przez głogi.

Musiano ją tedy w domu zostawić i postawiła na swoim. Ledwie odjechali, zabrała się do wertowania szarej księgi.

Wybieg jej zrozumiał przecie Kazio. Gdy wrócili, zagadnął ją po cichu:

- Czytałaś? Pewnie się zbeczała, bo oczy masz jak królik czerwone!

- Jeszcze co wymyślisz. Ja nie umiem beczeć! -

oburzyła się.

I więcej nic nie rzekła.

Zabawiły jeszcze kilka dni i przez cały czas Stasia zachowywała się przyzwoicie. Nie sprzeczała się z matką, nie perorowała krańcowo, nie gorszyła swą zuchwałą 30

mową nawet cioci Dysi.

Gdy wyjeżdżały, pani Taida pocałowała ją łaskawie w głowę, a dziewczyna schyliła się, by ją w rękę pocałować.

W szarej księdze tego dnia napisała pani Taida:

“Wyjechała dzisiaj Walerka Ozierska z córką.

Byłam bardzo do dziewczyny uprzedzoną i teraz nie wątpię, że będą z nią mieli dużo biedy, ale nie tyle z jej winy, co z winy ich systemu. To darmo - z dziewczyny tej nie zrobią salonowego sprzętu ani wychowają potulnej panią “do wydania”, ale mam nadzieję, że hańby też nie przyniesie. Jest bardzo zuchwała i harda, nie da się sponiewierać, jest bardzo ambitna, więc nie powinna upaść! Dawniej ukrywano przed dziewczętami wiedzę, żeby pozostały niewinne i czyste nieświadomością, dzisiaj wiedza stoi otworem - naiwnych nie ma, może świadomość brudu utrzyma w nich czystość. Boże, ustrzeż tę młodą duszę! Szkoda by mi jej było, żeby zmarniała. Rwie się do pracy i nauki. Albo to co złego? Za co ją karać?

Perswadowałam Ozierskiej, ale ona jest trochę jak kura, co wysiedziała kaczęta. Nie umie sobie z tym dać rady”.

W jakiś czas potem jeszcze raz znalazła się w szarej księdze wzmianka o Stasi:

“Miałam dziś list od Walerki. Biedna, ciężko odchorowała stratę córki. Stasia zaraz po powrocie z Rudy urządziła okropną scenę w domu, żądając pieniędzy na uniwersyteckie studia i paszportu za granicę. Na odmowę ojca zacięła się w ponurym milczeniu, po tygodniu uciekła z domu, wykradłszy u ojca z biurka swoją metrykę i sto rubli. Zostawiła list pełen wyrzutów i wyrzeczenie się

“wyrodnym rodziców”. Źle się stało i teraz poważnie się lękam, że dziewczyna się zmarnuje! A kto temu winien?

Druk i mania pisania! Żeby zamiast smarowania papieru kwestią emancypacji kobiet wzięły się naprawdę wszystkie do pracy, którą mają pod ręką, nie byłoby kwestyj i nie byłoby takich szalonych głów jak Stasia! Ano - łatwiej smarować piórem po papierze o uniwersytetach i równouprawnieniu, jak osiwieć w ciężkim trudzie bez sławy i mienia. Smarują tedy na nieszczęście ludzkości!

Biedne dziecko. Dysia postanowiła codzienny pacierz na intencję Stasi. Bodaj że do Boga doleciał, bo tu trzeba Jego cudu! Kazio dzisiaj wyjechał do Puław. Za trzy lata stanie mi do pomocy! Oj, czas mi już spocząć. Włodzio pisze, że mógł dostać stypendium, ale się cofnął wobec zupełnie ubogich. Dobrze zrobił. Napiszę mu to zaraz i pochwalę”.

Potem już w szarej księdze nie było wzmianki o Stasi - i nie było o niej mowy w Rudzie.

## II

Pewnego dnia ciocia Dysia zachorowała. Było to w czasie epidemicznego tyfusu we wsi; szpitalik był

przepełniony, ciocia Dysia nie miała czasu ani spać, ani wypocząć, aż się sama położyła, od razu bez nadziei powstania. Całe życie nie robiła z sobą kłopotu, każdemu rada ulżyć i pomóc - tak i do końca było. Poleżała tydzień, a siódmego dnia, we śnie, odeszła tak cichutko, jak żyła.

Te siedem dni przesiedziała nad nią pani Taida ratując ile mocy, sprowadzając doktorów, podając lekarstwa, modląc się o życie. Ciocia Dysia brała cierpliwie lekarstwa, ale się wcale śmierci nie bała; martwiła się tylko, że to ją zaskoczyło wśród różnych rozpoczętych robót.

- Żeby w listopadzie, tobym wykończyła to i drugie i może by się z tą epidemią uspokoiło! Ano, inaczej mi odmierzone było - nie moja wina. Chłopaków ode mnie ucałuj, w szkatułce są dla nich pamiątki. Za tę biedną Stasię odmawiałam co dzień koronkę do Przemienienia Pańskiego, to już tobie przekazuję. Moją książkę do nabożeństwa daj Annie, dozorczyńni w szpitalu, moją odzież

- ubogim! Wiem, że o duszej mojej nie zapomnisz...

Dziękuję ci za całe życie i za pracę! Krótkie mi się wydało i lekkie z twojej łaski. Nie radam cię samą zostawić, ale widzisz, nie moja wola! Teraz mi księdza sprowadź, bo już pora. Dopłynęło się do brzegu!

I tak ciocia Dysia cichutko odeszła!

Nie pisała testamentu i troskała się o legaty, nie wzdragała się przed śmiercią, choć błogosławiła życie; jak rzetelna pracownica, gdy wieczór nadszedł, zasnęła w spokoju dobrego sumienia.



Zostało po niej trochę odzieży, szkatułka staroświecka z mnóstwem przegródek i z lusterkiem, wytarta książka do nabożeństwa, okulary, zielnik roślin lekarskich, pęk kluczy i fartuch szafirowy, roboczy.

Błada, drobniutka, sucha a uśmiechnięta leżała w trumnie; aż dziw był, że tak beczynnie założyła ręce i tak długo odpoczywa. O śmierci jej nie było pochwalnych nekrologów w pismach i mało kto poza granicą Rudy dowiedział się, że umarła, bo mało kto pamiętał, że żyła.

Za to we dworze i po wsiach okolicznych powstał

zgiełk i lament. Służba dworska i chłopci napełniali bez ustanku, przez dzień i noc, pokój, gdzie ustawiono katafalk.

Kobiety zawodziły i szlochały, pokazywały ją dzieciom, przypominały jej starania, dziękowały tym zwłokom za dobrodziejstwa żywej.

Pani Taida zmartwiała, surowa i twarda w bólu, słuchała tych mów i płaczu powtarzając w duchu:

- Teraz zostałam sama, sama po koniec żywota.

Depesze poszły do chłopców i do siostry zamężnej, trzeciego dnia po śmierci zjechali się wszyscy.

Chłopcy szlochali jak dzieci, a gdy ją do trumny złożono, zapłakała wreszcie i pani Taida.

Cmentarz leżał o parę wiorst, w piaskach. Na wóz chciano trumnę złożyć, ale wtedy z tłumu szarego chłopstwa rzuciło się kilku, potem cała gromada do trumny tej.

- Poniesiemy, nie damy wieźć! - poszedł pomruk. -

Święta była, matka nasza była, poniesiemy!

Miała tedy ciocia Dysia kondukt, jaki spotyka tylko bardzo maluczkich albo bardzo wielkich.

Gdy ją już zostawiono samą wśród krzyżów, a żywi wrócili do dworu, starsza siostra natarła na panią Taidę.

- Tak sama zostać nie możesz. Musisz sobie kogo wziąć do towarzystwa i do pomocy, bo i rady sama nie dasz, i zagryziesz się w samotności.

- Któż mi ją potrafi zastąpić - odparła pani Taida.

- No, to się wie, ale trzeba rady szukać. Mnie się zdaje, że mam dla ciebie osobę stosowną. Marcińska, krewna mego męża, umarła - mąż się żeni, zostały po niej dwie córki. Weź starszą - dobra dziewczyna, robotę zna, bo była u Rosowskich, swoich krewnych, przy kobiecym gospodarstwie, resztę sama douczysz!

- To ta, którą spotkałem u cioci na Wielkanoc? -

wtrącił Włodzio.

- Ta sama. Nieprawda - dobrze matce radzę?

- Nie wiem - mruknął wymijająco Włodzio.

- Ja sama czuję, że rady wszystkiemu nie dam -

rzekła pani Taida - i jeśli kogo brać, to lepiej znajomą i powinowatą niż zupełnie obcą. Daj mi jej adres - napiszę.

- Po co? Ja ci przyślę, przecie to od nas o miedzę.

- Tylko ją uprzedź, że roboty wiele, a rozrywek żadnych.

- Bardzo pracowita, nie lękaj się. Będziesz miała pociechę!

- Ano, to dobrze. Mnie byle te trzy lata pomogła, zanim Kazio nauk nie skończy.

- Pewnie! Ożenimy go wtedy i odpocznesz.

Kazio podniósł na ciotkę oczy, w których się bunt malował, ale nie zaprzeczył. Był to skryty i zacięty chłopak, ale nie przyparty do muru, zdania nigdy nie wygłaszał.

Postanowiono tedy sprowadzić pannę Wandę Marcińską i Ruda opustoszała. Wyjechała siostra z mężem, wyjechał i Włodzio do Kijowa, tylko Kazia zatrzymała 35

pani Taida sobie do pomocy na tych kilka dni, zanim panna przyjedzie.

Chłopak zajął się gospodarstwem rolnym, pani Taida wzięła na się czynności cioci Dysi.

Pewnego wieczora poczta przyniosła list do Kazia z marką francuską i stemplem paryskim.

- Kto stamtąd pisze do ciebie? - zagadnęła matka.

- Stasia Oziarska! - odparł jako rzecz zwykłą.

- Jak to, korespondujesz z tą awanturnicą? Co to znaczy? Daj mi ten list do przeczytania.

Chłopak poczerwieniał, zawahał się - wreszcie, z błyskiem gniewu na twarzy, list podał.

Pani Taida opamiętała się także.

- Nie otworzę go, jeśli nie chcesz! Jesteś dorosły, możesz mieć swoje stosunki i tajemnice. Jeśli są brudy, czytać nie będę.

- Stasia Oziarska nigdy brudu nie popełni! - ujął się gorąco. - Nie dlatego się zachnął, ale jeśli posiadam czyje zaufanie, nie mogę go zdradzać, nawet matce.

- To racja. Zabierz ten list, należy tylko do ciebie.

Chłopak list schował do kieszeni, zapanowało milczenie. Wtedy jasny obraz cioci Dysi stanął w myśli pani Taidy - i ten legat nabożeństwa "za biedną Stasię", który spełniała skrupulatnie, i gniew jej zmniejszył się, a oburzenie całkiem zgasło.

- Więc wiesz o jej losach! - rzekła z westchnieniem.

- Gdzież się obraca, jak sobie radzi? Powiedzieć możesz, nikomu nie powtórzę, jeśli nie chcesz.

- Chodzi na medycynę w Paryżu!

- Bardzo potrzebne! Zakocha się w pierwszym lepszym koledze i wyjdzie za mąż... Brednie!

- Nie myślę. Raczej zapracuje się nad siły i z nędzy i 36

głodu skończy na suchoty - rzekł poważnie Kazio.

- Bardzo jej ciężko? Skarzy się?

- O tym nawet nie wzmiankuje i pewnie nigdy się nie poskarży, ale tego łatwo się domyślić.

- Ma, czego pragnęła! Ale skądże ta korespondencja między wami. Mam nadzieję, że jej nie pochwalasz?

- Ona mnie nigdy się nie radziła ani słuchałaby krytyki. Nie korespondujemy nawet we właściwym tego słowa znaczeniu. Miałem dwa listy, ten trzeci. Tak sobie -

tyleśmy lat razem uczyli się i bawili. Pozostało koleżeństwo.

Pani Taida pochyliła głowę nad robotą, on czytał

gazetę - milczeli.

Jesienny wicher spędzał resztki liści i wył wokoło domu, mimo woli przychodziła myśl o głodnych i ubogich, o wędrowcach i zabłąkanych.

- Może ona pisze do ciebie o pomoc. To przecie zgroza takie życie, bez chleba i grosza! Sama je wybrała, słusznie cierpi, ale to jej grozi zatrąta. Przeczytaj no list!

Kazio rozdarł kopertę i przebiegł kartkę oczami.

Kilka wierszy było zaledwie, ale on je odczytał raz i drugi, coraz bardziej zdziwiony.

- To szczególe! - szepnął podając list matce.

Zawierał te tylko słowa:

“Czy ciocia Dysia umarła? Zaraz mi odpisz. Pewnie umarła, bo onegdaj, w sobotę, w nocy, była u mnie.

Odrabiałam kursy - nad ranem było. Marka Wolska, z którą mieszkam, dowodzi, że musiała zasnąć nad stołem. Ale to ona chrapała już od paru godzin na kanapce. Ja czytałam

- zmęczona byłam jak dzwonek sklepowy, to prawda, ale czytała. Było mi trochę czerwono w oczach, może miałam przywidzenie, ale widziałam doskonale ciocię Dysię 37

naprzeciw siebie, przy stole. Którędy weszła, nie wiem -

siedziałam jak bałwan, anim się przeraziła, anim się poruszyła. Ciocia Dysia popatrzała po ścianach, jakby czego szukała, potem pokazała na moją głowę, jakby pytała, czy boli. Skinęłam, że tak. Wtedy mi podała jakiś gruby zeszyt, na którym było napisane: “Zielnik roślin lekarskich”, uśmiechnęła się, kiwnęła mi głową i wyszła. Zerwałam się, zbudziłam Markę i opowiedziałam.

Zburczała mnie, wyśmiała i nazajutrz roztrąbiła wszystkim.

Drwią ze mnie, ale nie wybije mi nikt z głowy, że u was stało się jakieś nieszczęście, chyba ty zaprzeczysz. Jeśli tak jest, to snadź ciocia Dysia mnie zapamiętała dobrze!

Odpisz zaraz!”

Pani Taida popatrzyła na syna.

- To szczególne! W sobotę właśnie! - szepnęła. -

Ten zielnik trzeba jej odesłać! - dodała po chwili.

Przyniosła gruby zeszyt. Nagłówek był ten sam, a wewnątrz na każdej karcie zasuszona roślina - historia jej, opis własności, nawet kilka przykładów zastosowania w wiejskiej praktyce cioci Dysi.

Całą resztę wieczora Kazio wertował zielnik, a pani Taida rozmyślała i wahała się.

Wreszcie, gdy się rozchodzili, rzekła do syna:

- Odpisz jej, a ja dam dużą kopertę na zielnik. Jutro odeślemy na pocztę.

Potem uklękła do pacierzy wieczornych.

Jesień posępna wciąż się odzywała za oknem, przywołując pamięć śmierci, zimna i błędzenia!

- Jezu, jakieś się przemienił, będąc Bogiem, a stając się człowiekiem, tak przemienić racz troski i nędzy nasze w pociechę i uspokojenie - szeptała pani Taida oglądając legat zmarłej.

A skończywszy, otworzyła kantorek z pieniędzmi, między kartki zielnika włożyła banknot storublowy i napisała na zielniku: "legat cioci Dysi dla Stasi Ozierskiej, z prośbą o pamięć o zmarłej w modlitwie".

Nazajutrz sama zapieczętowała kopertę i wysłała na pocztę.

W parę dni potem przybyła panna Wanda Marcińska. Miała na sobie czerwoną bluzkę, złoty pasek, kapelusz jaskrawy i zakarbowaną grzywkę. Zapewne znajdowała, że z tym jej "do twarzy", ale niestety, nie było to "do gustu" pani Taidy, a że się nigdy nie bawiła w dyplomację, więc obejrzawszy ją od stóp do głowy, rzekła bez ogródki:

- Moja droga, czy ciebie nikt nie zaczepił na kolei?

Dziewczyna poczerwieniała.

- Nie, proszę pani! - wyszeptała.

- No, to bardzo szczęśliwie, bo zrobiłaś, co można, żeby zwrócić uwagę i narazić się na nieprzyjemność.

Pokażę ci twój pokój, rozgość się i zmień ubranie. Mamy żałobę w domu.

Panna Wanda, zaledwie się znalazła sama, zalała się łzami nad swoim nieszczęściem, że musi służyć i znosić morały obcej osoby.

Na ten wybuch rozpaczy trafiła stara sługa, która jej przyniosła lampę, i przeraziła się okropnie, ile że w Rudzie nikt nie płakał, chyba świeżo po śmierci cioci Dysi.

- Mój Boże, czy panienka pochowała kogo? -

spytała zyczliwie.

- Sierota jestem, zmuszona służyć i pracować u obcych! - wyszlochała panna Wanda.

- Niechże panienka nie rozpacza. Nad sierotą Bóg z kaletą, powiadają. Panienka młoda, zdrowa, ładna, los się 39

zmieni, kawaler się trafi. Tu u nas ludzie też żyją. Ja już czterdzieści lat przesłużyłam i nie płacę na dołę! Jeden służy, drugi panuje, ale pracować każdemu trzeba. O to nie ma co płakać.

- Wasza pani okropnie ostra.

- I... bez racji złego słowa nie powie! Wiadomo, wymaga roboty, bo i sama pracuje - wygderze - od tego pani i gospodyni, ale sprawiedliwa. Nieboszczka to święta była. Za nią i pomodlić się trzeba! Do Boga poszła jako święta.

- A ludzie tu bywają? - już spokojniej, ciekawiej badała panna Wanda.

- O, bywają. Kto chory, kto potrzebę ma, to idzie jak na odpust.

- Ale z sąsiedztwa? Goście?

- To nie! Nasza pani tego nie lubi, chwala Bogu!

- Dlaczego chwala Bogu?

- Bo z gości ino rozchód, nieporządki i plotki.

Służba wybredza i buntuje tutejszych, a państwo ino drwią i ogadują. U nas, dzięki Bogu, panien na wydaniu nie ma, żeby je oglądali; panicze kompanii nie szukają, spokojnie.

- A panicze w domu?

- Ej, nie. Latem, w żniwa, przyjadą. Starszy czyta, gra, śpiewa - młodszy na polowanie chodzi. Do ludzi obadwa nie łąpczywi, a Boże broń, nigdy zgorszenia nie uczynią.

- A furman mi mówił, że jeden bawi w domu?

- To tylko dla tego nieszczęścia pozostał, że naszej pani ciężko było w pustym domu. Pewno jutro wyjedzie.

Panna Wanda westchnęła i otarła łzy.

Jakaś jaśniejsza myśl spędziła troskę. Otworzyła torebeczkę ręczną, dobyła lusterko, puszek z pudrem i z 40

lekka upudrowała grzywkę i twarz.

Stara Hanna pierwszy raz widziała podobną operację i nie mogła pohamować ciekawości.

- Co też to panienka robi z tą mąką? - zagadnęła.

- To nie mąka, to puder. Okropny wiatr dzisiaj, boję się, że mi twarz spierzchnie i pryszczyk mi na czole się sformuje. Moja kochana, dajcie mi trochę kwaśnego mleka na noc.

- Na noc! - powtórzyła Hanna. - Toć będą kotlety i omlet na kolację. Głodem tu nie morzą.

- Ale ja bym się umyć chciała.

- Kwaśnym mlekiem! Jezu Panie! Toć wody ma panienka dwa dzbanki.

Starowinie w głowie się mieszało. Mąka na włosy, mleko do mycia. Fiksatkę jakąś nasłali pani. Straciła też chęć do przyjacielskiej gawędy i wyszła ponieść do reszty służby swoje wrażenia. Panna Wanda, wzdychając, rozpakowała swój kuferek. W jednej chwili pokój był pełen gratów, sukienek,

bluzek, spódnic, kapeluszy, rękawiczek i pantofli. Rzeczy te zajęły wszystkie sprzęty, ściany, nawet podłogę, aż było nie do uwierzenia, aby tak niewielki kuferek mógł zmieścić w sobie tyle rupieci. Po długim namyśle przebrała się panna Wanda, przymierzywszy wszystkie sukienki, zanim się na jedną zdecydowała, i nie sprzątnąwszy nic po sobie, a słysząc głosy w salonie, wyszła, ciekawa bardzo młodego Skarszewskiego.

Ale on nie zdawał się wcale podzielać jej zajęcia, bo uklonił się sztywno i dalej debatował z matką o jakichś pługach, które jej polecał, a przeciw którym ona trochę oponowała.

- Moja droga! - nagle zagadnęła ją pani Taida. -

Jutro biją wieprze, trzeba ci będzie bardzo rano wstać, aby 41

tego dojrzeć. Czy znasz się na fabrykacji wędlin, aby zadyrygować klucznicy i kucharzowi?

- Nie - bąknęła panna Wanda. - U nas w domu zajmowała się tym służba.

- Hm, ja nie jestem tak zamożna, a moje wędliny mają zbyt do Odessy. Nie mogę tego zlekceważyć. Dam ci dzisiaj przepisy do przejrzania! Czymże zajmowałaś się w domu? Moja siostra mówiła, że znasz się na gospodarstwie.

Zajmowałaś się tym u Rosowskich?

- Wyręczałam czasami mamę, a u Rosowskich miałam klucze do apteczki i robiłam herbatę!

- To niewiele. To najwięcej dwie godziny na dzień.

No, mam nadzieję, że się wprawisz, byle ochota i życzliwość, pogodzimy się łatwo.

Wyszła do jadalni, a Kazio spytał:

- Zapewne lubi pani wieś i gospodarstwo?

- Trudno lubić służbę i obowiązek! - odparła.

- W takim razie bardzo pani będzie ciężko, bo czymże takie życie różni się od galer? Gdy się do obranego zajęcia nie ma powołania, nic się rzetelnego nie działo.

- Trudno mieć powołanie do robienia wędlin! -

rzekła ironicznie.

- Tak, to mi tłumaczy tyle niesmacznych wędlin -

uśmiechnął się.

Panna Wanda zreflektowała się, że ją rozdrażnienie za daleko uniosło, i poczęła się cofać.



- W każdym razie moje aspiracje w niczym nie wpłyną na sumienne zajęcie się. Będę się starała zadowolić moich chlebodawców...

- Ja właśnie chciałem prosić panią o serdeczną życzliwość dla mojej matki. Jest bardzo samotna, potrzebuje towarzystwa, pomocy, często hamulca dla 42

nadmiernej pracowitości. Proszę, niech pani będzie dla niej dobra.

Panna Wanda splonęła rumieńcem zadowolenia; rola ofiary nie wydała się jej już tak straszna.

Ukradkiem zerknęła na Kazia i pod upudrowaną grzywką już się roiły marzenia rozkoszne.

Wydał się jej bardzo zajmującym, bardzo wybitnym, ba - nawet bardzo pociągającym.

Naprawdę był to osiemnastoletni niezgrabny drażal, śniady, z czupryną jak szczotka, wcale niepiękny, ostrych rysów i niesłychanej chudości. Wyrastał wciąż jeszcze z ubrania, które z tej racji wyglądało zawsze jak pożyczone, a to żenowało go i czyniło jeszcze niezgrabniejszym.

Znał tylko towarzystwo kolegów, więc wobec kobiet porządnych był bojaźliwy, bał się z czym niestosownym wyrwać i rozmowy nie umiał prowadzić.

- Pan podobno jutro wyjeżdża? - zagadnęła panna.

- A tak. Bo mi pilno.

- A na święta pan przyjedzie?

- Chyba nie. Matka nie lubi, byśmy czas tracili. I słusznie, bo na tak krótko nie warto się zrywać. Zresztą, psy mi wytruli latem, więc nie miałbym nawet polowania porządnego.

Grubianin i prostak. Niech sobie jedzie! - pomyślała panna Wanda, tracąc zupełnie ochotę do rozmowy.

W Rudzie dzień się zaczynał i kończył ze słońcem.

Zaraz po wieczery pani Taida dała swej nowej pomocnicy książkę z przepisami, założoną na stronicy wędlin, i wyprawiała ją do snu.

Nazajutrz o świcie odjechał Kazio, pani Taida obeszła gumno i obory - i wróciła do domu.

- Gdzież panna Wanda? - spytała się Hanny.

- Śpi! Ani się ruszy.

Pani Taida zajrzała do pokoju cioci Dysi i skamieniała na progu. Nic nie było sprzątnięte, pokój był pełen po brzegi ubrań, rupieci - stół zastawiony, na łóżku nawet wały się części garderoby, spod których ledwie widać było śpiącą.

Ocknęła się na skrzyp drzwi.

- Już ósma! - rzekła pani Taida surowo. - Ależ tu porządek! Jakże można znieść coś podobnego.

- Proszę pani! Tak byłam wczoraj zmęczona!

- Chcę wierzyć! Ale robota każda ma swój czas i nie powinna zalegać! Zlituj się - sprzątnij tu co rychlej, zanim służba przyjdzie! Wstyd!

I oburzona wyszła.

Panna Wanda wyskoczyła z łóżka wprost do lustra i poczęła zmartwiona oglądać wyrzuty z wiatru. To jej zajęło dość czasu, a że nie chciała gniewać powolnym ubieraniem pani domu, więc umyła się bardzo powierzchownie, nie przymierzała sukien, zdecydowała się na wczorajszą, bo była pod ręką, bardzo pośpiesznie ufryzowała grzywkę kosztem czesania i rzuciła się do opróżniania mebli ze swych strojów.

Otworzyła szafę i komodę i pełnymi garściami rzucała jedno za drugim, byle nie było na widoku. Co się nie zmieściło, wpakowała na powrót do kuferka, zamknęła i zadowolona ukazała się w jadalni.

- Wypijże herbatę, a potem oprowadzę cię wszędzie.

Od jutra klucze przechodzą pod twój zarząd.

I pokazała pani Taida pęk kluczków, które całe życie nosiła ciocia Dysia.

- Jeśli czego nie umiesz, śmiało się przyznaj, a o to, czego nie rozumiesz, pytaj.

- Będę się starała pani dogodzić! - obiecywała panna.

Oprowadziła ją tedy pani Taida po składach i spiżarniach, po chlewach i kurnikach, po mleczarni i kuchniach, pokazała cieleta, nauczyła, kiedy je trzeba karmić, oddawała po kolei klucze od zapasów i domowych porządków. Pannie Wandzie robiło się straszno wobec takiego mnóstwa zajęć, ale nadrabiała miną myśląc, że przecie nikt tak pedantycznie sam wszystkiego nie spełnia i że jest dosyć służby, żeby się wyręczać.

Szczęściem nie powiedziała tego pani Taidzie i wróciły do domu w przykładowej harmonii.

Przez parę dni było trochę opóźnień, bezładu, nieporozumień, ale po tygodniu porządek się ustalił i pani Taida odetchnęła.

Może się to jakoś utrzyma! - myślała i zajęła się majątkowymi sprawami, które zaniedbywała od niejakiego czasu nie mogąc wszystkiemu nadążyć.

Panna Wanda okazywała wielkie zajęcie i czynność.

Od świtu była w ciągłym ruchu i poza domem - i rzecz dziwna, ze służbą nie miała zatargów ani też szły na nią plotki i skargi.

Co prawda, to pani Taida mało korzystała z jej towarzystwa i nawet mało ją spotykała wśród dnia i w domu.

To dobrze! Niech pracuje! - myślała.

Wieczorem panna Wanda bywała senna i wczesnie odchodziła do siebie. Wtedy pani Taida zamykała się w swej sypialni, czytała, pisała, modliła się, ale światła w domu były pogaszone i wszystko spoczywało.

Spoczywało, ale pozornie. Panna Wanda czatowała tylko na chwilę zamknięcia drzwi sypialni, wtedy po cichu 45

przez garderobę, gdzie stara Hanna już spała, wykradała się na swobodę i szła do oficyny, do ekonomów.

Przychodzili tam: pisarz, kawaler, leśniczy; pani ekonomowa miała dwie córki, więc się zbierało towarzystwo. Grywano na gitarze, śpiewano romansowe pieśni, żartowano dość niewybrednie, honorując bardzo pannę Wandę. Ona zaś bez śpiewu, śmiechu i męskiego towarzystwa żyć nie mogła, a wyboru nie miała.

Zebrania te przeciągały się do północy i dalej, o świcie zaś już budzono pannę Wandę do spiżarni i piwnicy.

Jakiś czas zrywała się półsenie i jęcząc na ciężkie losy spełniała swe obowiązki. Potem zaczęła szukać wyjścia i ulgi. Klucz od spiżarni zostawiała z wieczora kucharzowi, żeby jej nie budził, lecz sam brał, co mu potrzeba; klucz od piwnicy dostawała ekonomowa, a szafarka miała sobie oddane do rozporządzenia ziarno i ospę dla ptactwa i trzody. Urządzenie to podobało się służbie, więc nikt panny Wandy nie zdradzał, a gdy pani Taida wróciła z gumna na ranną herbatę, już zastawała swą pomocnicę krzątającą się w jadalni.

I było niby wszystko w porządku.

Czasami tylko miewała panna Wanda złe chwile.

Było to przy obrachunkach produktów spożywczych, raz na tydzień.

Pani Taida narzekała na wielki rozchód spiżarni i prowentu a na małą ilość garncy mleka.

- Jak to, dwa pudy cukru i trzy funty herbaty! To niemożliwe! I pszennej mąki korzec! Na co? Nie pozwalajże na takie ekspensy! Przecież sama wydajesz!

- Sama, proszę pani, i co dzień się z kucharzem kłócę!

- Dlaczegoż znowu mleko spadło o trzydzieści 46

garncy w tym tygodniu? Powinnaś choć raz na tydzień być przy doju.

- Jestem dwa razy, ale krowy źle jedzą i...

- Źle jedzą. To ja wiem! Jest niedozór i basta.

I zamykała pani Taida księgę z westchnieniem, bo czuła, że jest źle, a wydołać wszystkiemu nie mogła.

Panna Wanda po takiej scenie płakała i skarżyła się przed ekonomową narzekając na wyzysk straszny pani domu, a powiernica żale te przyjmowała z głębokim współczuciem.

Szpitalik cioci Dysi poszedł w zapomnienie i upadek. Po tyfusie izby wykarbolowano i zamknięto, bo panna Wanda nie miała czasu ani pojęcia, jak się zająć chorymi. Brzydziła się okropnie ranami, mdlała na widok krwi, a bała się zarazy, gorączek i wysypek. Stancyjki, białe i czyste, wycackane przez ciocię Dysię, stały się składem wilgoci, pajęczyn i kurzu, a pamięć o nich by zginęła, gdyby nie stara dozorczyńni, cioci Dysi prawa ręka.

Przysła ona pewnego dnia do pani Taidy.

- Proszę pani - rzekła oburzona - ekonomowa kazała mi oddać klucz od szpitala. Chce tam postawić swoje warzywa. A toć nieboszczka w grobie się obróci, jak się o tym dowie!

- Co ty pleciesz! Kto ekonomowej pozwolił?

- A panna Wanda!

Zarządziła pani Taida śledztwo. Wyparła się panna Wanda, wyparła się ekonomowa i szpital został uratowany.

Stara dozorczyńni, która obok mieszkała, przysięgała, że co nocy ciocia Dysia chodziła po tych stancyjkach. Gadka ta poszła po dworze i już nikt się o te izby nie pokusił. Ale te bajki wystraszyły pannę Wandę. Z wieczorków bała się wracać sama do domu. Weszło w zwyczaj, że ją pisarz do 47

drzwi musiał odprowadzać.

I tak minęła zima, nadeszła Wielkanoc, wiosna z całą masą robót rolnej kampanii. Pani Taida była gościem w domu, zdała cały zarząd wewnętrzny w ręce panny Wandy mało wglądając w szczegóły, przez długie lata przywykła do rządów cioci Dysi.

Panna Wanda była przerażona powiększeniem obowiązków. Przybył jej ogród, chów cieląt i drobiu; nawet nie starała się temu podołać.

Wiosna rozmarzyła ją zupełnie. Upajał zapach czeremchy i bzów, budziły się tęsknoty i rozczulenia. Do pracy prozaicznej, monotonnej nabierała z dniem każdym więcej wstrętu, los wydawał się jej nędzą, krzywdą i pokutą. Była tylko bardzo zajęta wystrzeganiem się przed opalenizną twarzy i sporządzaniem sobie letnich, jasnych sukienek.

Wszystkie zarobione pieniądze szły na to, ku wielkiej zgrozie starej Hanny.

- Ma panienska trzy pary pończoch i cztery koszule, a sprawia sobie ósmą suknię - mruczała. - Ja ta nie chwałę takiego porządku.

- Albo Hannie suknie potrzebne - śmiała się panna Wanda. Chłopcy już na Hannę nie patrzą.

- Do licha takie chłopcy, co się na sukienki biorą. I złotówki na taki skutek szkoda!

Ale panna Wanda gniewała się za to i robiła swoje.

W maju przyjechał Włodzio, w parę tygodni po nim Kazio i zaraz nazajutrz rzekł do brata:

- Czyś ty oszalał, żeby latać za tą panną? Niech mama dopatrzy. Będzie ci ciepło!

- A cóż mam robić? Dziewczyna łatwa i smaczna, zabawię się trochę. Chcesz, rozdzielmy ją sobie na dnie - ty 48

trzy, a ja cztery? Po sprawiedliwości.

- Dziękuję. Trzymaj ją sam dla siebie.

- Cóż ty! Może jeszcze się kochasz w Ozierskiej?

- Ja chcę polować i matce pomóc - bab nie cierpię.

- A ja za nimi przepadam.

Kazio, uśmiechając się szyderczo, robił naboje do strzelby.

- Toś ty z nią gruchał wczoraj za stawem?

Popsuliście mi ciąg kaczek. Komary mnie ścięły, a przeczekać was nie mogłem. Klaskały buziaki, że ha!

- Nie wymyślaj. Wcalem jej wczoraj nie widział i jeszcze do buziaków nie doszło. Ja jestem smakosz!

- No, to ona była z kimś innym! - rzekł spokojnie Kazio, zarzucając strzelbę na plecy i gwizdząc na swoją wyżlicę.

- Czy ci nie wstyd szkalować biedną dziewczynę! -

oburzył się Włodzio.

- A to dobre. Sam mówisz, że łatwa przecie. Łatwa dla ciebie, to i dla innych. To ty ją szkalujesz. Ja tam o nią tyle dbam, co o pusty ładunek.

- Z któregoś spudłował. Aha, kwaśne winogrona!

- Tfu! - splunął Kazio i poszedł.

Co prawda, dla niego kobieta nie istniała. Mógł się Włodzio nie bać rywalizacji. Gdy nie polował, to czytał

lub szedł w pole i z amatorstwem dozorował roboty. Często brał pług z rąk niezdary parobka i prowadząc go wciągał

chciwie w płuca zapach świeżej roli. Wieczorem szedł na ustronne łąki i godzinami, czekając na ciągnące kaczki, coś rozmyślał, uśmiechał się i marszczył. Miał w sobie jakąś rozrywkę i zajęcie. Może się z tego przed matką zwierzał, bo często z nią przesiadywał i radził, zresztą mało było z niego pociechy w towarzyskim życiu.

Panna Wanda trefiła grzywkę, coraz to nowe produkowała bluzki i kostiumy i bardzo często przefruwała nucąc pod oknami oficyny, gdzie mieszkali chłopcy. Teraz jeszcze bardziej wyglądała zapracowana i zajęta, wszędzie jej było pełno.

Włodzio bał się drwin brata, ale nie umiał milczeć, nie pochwalić się. Zagabywał go często.

- Nieprawda, ładne ma bestia zęby. Mówię ci, jak się śmieje, to człowieka diabli biorą. Na pewno jedziesz jutro z mamą do Porębów?

- My jedziemy, ale pisarz zostaje! - mruknął Kazio.

- Co to ma do rzeczy? Gadasz czasem ni w pięć, ni w dziesięć! My się z nią wybieramy jutro czółnem do folwarku. Zatrzymaj mamę jak najdłużej. Nigdy jeszcze tak dobrze nie bawił się w domu!

- Czy ty się chcesz z nią żenić?

- Żenić! Oszalałeś! A mnie to po co?

- Bo ja wiem. Wiecznie ci baby w głowie, to sobie jedną weź i trzymaj. Będzie spokój.

- Mnie właśnie dobrze z niepokojem takim.

Nazajutrz pani Taida z Kaziem pojechali do Porębów na cały dzień. Panna Wanda upakowała im koszyk z przekąską. Włodzio jej pomagał, od wycieczki wspólnej się wymówił.

- Nie mogę, proszę mamy. Muszę raz tę rozprawę skończyć, a wakacje tak rozpróżniają - tłumaczył.

- To racja. Rozprawa - to twoja przyszłość. Pisz!

Była to zwykła jego wymówka.

W drodze pani Taida rzekła do Kazia:

- Jak on już zda doktorski egzamin, to trzeba będzie dać mu na instalację kilka tysięcy, a i tobie na praktykę w Księżstwie i na podróż pryśnie tysiąc. Śpieszcie się stanąć 50

na waszym stanowisku, bo już mnie pora odpocząć. Ciągnę i ciągnę ten pług, ale coraz ciężej.

- Ja chcę jeszcze trzy lata się kształcić, żeby zupełnie rzecz objąć. Im więcej się uczę, tym więcej znajduję przedmiotów do nauki.

- Byleś ochoty nie stracił, bo to nielekki i niesłodki chleb.

- Dziękuję mamie za wybór. Dogadza mi.

Pani Taida miała ochotę go pogłaskać, ale nie chciała okazać czułości, więc tylko rzekła:

- Nie naderwię ci nic z tych trzech lat, ale potem zaraz cię ożenię i osiadę na zupełnej emeryturze.
- Na to niech mama nie rachuje. Ja się nie ożenię, bo takiej jak mama drugiej nie ma, a reszta to nie ludzie.
- Ty, smarkaczu, mnie nie praw pochlebstw, a kobiet nie szkaluj. Umieją one pracować. Ot, Wanda się wyrabia, byle dobry kierunek i dobre chęci, wyjdzie na ludzi. A gdy przybyła, widziałeś: dzierlatka!

Kazio milczał. Po jakimś czasie pani Taida spytała obojętnie:

- Cóż? Korespondujesz jeszcze z Oziorską?...
- Bardzo rzadko. Przeniosła się do Genewy i przeprosiła rodziców.
- Nie może być! Nic mi matka nie pisała.
- Bo się wstydzą przekleństw, które na nią miotali.

A ona się ani zhańbiła, ani upadła.

- I cóż, jeszcze na uniwersytecie?
- Jeszcze dwa lata. Teraz ojciec pod sekretem przed matką, a matka w sekrecie przed ojcem posyła jej zasiłek.

Zdrowa, bo ma co jeść. - No, w każdym razie postrzelona głowa. A otrzymała zielnik?

- Otrzymała i pisała, że sama mamie podziękuje.



- To się obejdzie. Ale to był dziwny wypadek.

I umilkli, westchnąwszy na myśl o cioci Dysi.

Wedle zamiaru zabawili cały dzień w Porębach i o zachodzie słońca wrócili do domu.

Dom zastali pusty. Lokaj opowiedział, że panna Wanda chora na zęby, a panicz starszy zamknął się w oficynie i nie chce kolacji.

Czekali na panią Taidę interesanci, więc poszła z Kaziem do kancelarii i wnet jej wyszła z pamięci choroba panny Wandy.

Kolację spożyli we dwoje i zabierali się do czytania dzienników, gdy lokaj oznajmił z jakąś dziwną miną, że pisarz prosi o posłuchanie.

Wyszła tedy znowu pani Taida do kancelarii, a Kazio obok, w sypialni, słuchał ciekawie, tknięty jakimś przeczuciem.

Pisarz był to drab olbrzymi, przystojny, młody chłopak, syn zagrodowego szlachcica z Podlasia.

Zdziwiła się pani Taida wyrazem jego twarzy.

Świeciły mu zuchwale oczy, latały usta, do liców biła krew gorąca.

- A co tam, Waškowski?

- Ja, proszę pani, przyszedłem ze swoją własną sprawą, po sprawiedliwość. Wiem, że mnie pani wypędzi bez świadectwa, bom winien, ale mi krew mózgi zalała na takie kłamstwo i oszustwo.

- Ależ ja nic nie rozumiem! Co się stało?

- Panicz nic nie mówił? - zdumiał rWaškowski.

- Mówię, że nic nie rozumiem.

- Proszę pani, my się kochali już pół roku z panną Wandą i ja mam prawo do niej. Tymczasem, jak panicz przyjechał - aha, nowe sitko na kołeczku! Żeby choć 52

przyznała się, powiedziała prawdę, jeszcze bym ścierpiał.

Ale kłamała, oszukiwała, wykręcała się i trzymała obydwóch, a taka sprytna, zem nigdy na gorącym uczynku nie złapał.

Pani Taida z osłupienia, zda się, skamieniała.

- Więc na chytróść - chytróść. Zacząłem szpiegować i wydusiłem z rybaka, że zamówił go panicz na dzisiaj z czółnem do pasieki. O świcie już tam byłem, odesłałem rpsiecznika na wieś i ukryłem się w jego budzie, a we dworze powiedziałem, że jadę do miasteczka. No, i udało się. Przy płynęli, rozłożyli się pod krzakami o trzy kroki od budy. Widziałem, słyszałem, miałem prawdę. I wtedy mi krew mózgi zalała i wyszedłszy powiedziałem jej, co się należało. Wypierać się nie mogła, ale się panicz za nią ujął, chciał mnie ruderzyć - wtedy oszalał, pchnąłem go, plunąłem na nią i uciekłem. Teraz już oprzytomniałem -

niewarta była mego starania ani mojej złości, szelma jest; ale i panicz nie miał się za kogo ujmować. Oto jest prawda, proszę pani, ja klucze przyniosłem i księgi.

Pani Taida jeszcze milczała, jakby się ze snu budziła. Nagle zachnęła się i rzekła głosem, w którym gromy były:

- Weź klucze i księgi i milczeć. Rozumiesz - jeśli się dowiem, żeś słowo pisnął, stracisz posadę i świadectwa nie dam. Kamień w wodę!

Zawróciła się i wyszła. W sypialni już Kazia nie było, umknął w ostatniej chwili. Pani Taida drążycymi rękami zajrzała do księgi pensji, potem z kasy odliczyła pieniądze i poszła do pokoju panny Wandy.

Zapaliła świecę. Dziewczyna w ubraniu leżała na łóżku. Zerwała się, najoczywiściej zaspana.

- Oto są pieniądze za rok. Konie będziesz miała na 53

ranny pociąg. Zbierać się żywo. Pod tym dachem nie ma dla takich miejsca.

- Proszę pani... ja... ja nic pani nie ukradłam! -

poczęła panna Wanda.

- Okradłaś moją wiarę i okradłaś kobiecą cześć własną.

- Moja cześć do mnie należy i sprawy z tego nie mam komu zdawać - coraz śmielej odcinała się panna Wanda.

- Mylisz się. Poza sądem Bożym jest ludzki sąd.

Mężczyźni odpowiadają za swój honor, kobiety za swój powinny.

- Com ja winna, że się dwom podobała.

- Winnaś, bo żebyś jednemu była wierna, drugi by ciebie nie zaczepił. Zalotność nie tylko jest grzechem, ale wstydem. Uczyniłaś wstyd nam wszystkim! Pogarda i lekceważenie kobiet jest dziełem takich jak ty.

- Ja nic nie jestem winna. I co ja w domu powiem?

- Jeśli się czujesz niewinną, opowiedz prawdę. Jeśli zaś rozumiesz swą winę, to możesz milczeć. Ja cię oszczędzę tym razem. Ale radzę się zastanowić i zrozumieć, że taka zabawa jest hańbą ducha człowieka i doprowadzi cię do poniewierki. Gdzie są klucze i rachunki?

Panna Wanda poczęła udawać, że szuka kluczy, ale bezskutecznie, bo były u kucharza.

A nieubłagana pani Taida czekała.

Wtem weszła Hanna.

- Pomóż no pannie Wandzie odszukać kluczy.

- Skądże tu one mają być? Kucharz je ma u siebie -

zamruczała stara.

- Jak to?

- A toć panna je co wieczór oddaje!

- Idźże i przynieś je do mnie! - rzekła pani Taida. -

Panna Wanda dzisiaj wyjeżdża. Pomożesz jej się pakować.

I wyszła.

Ale to nie był koniec. Udała się wprost do oficyny.

Kazio musiał już brata przestrzec, bo gdy otworzyła drzwi, zastała Włodzia pilnie piszącego.

Tu efekt się nie udał, chłopak był przygotowany.

- Jakim prawem bałamuciłeś Wandę? - spytała ostro.- Przepraszam mamę, ale to ona mnie bałamuciła -

odparł czelnie.

Na to nie było odpowiedzi.

- Czy rozprawa twoja gotowa?

Uf! To było gorzej. Włodzio się zmieszał, posunął książkę na swój rękopis.

- Jeszcze niezupełnie - bąknął.

Ale pani Taida dostrzegła ten ruch - usunęła go i wzięła zeszyt.

Przeczytała nagłówek. Niżej było pół zapisanej stronicy i białe karty.

- I to wszystko?

Pod spojrzeniem jej Włodzio rad by się w mysz zamienił i umknął w szparę podłogi.

- To już na czysto. Mam notatki! - wskazał stos papierów.

Pani Taida sięgnęła i tam, ale Włodzio miał fatalny dzień. Pierwsze, co napotkała, były to rysunki, karykatury i żarty takie, że je co rychlej rzuciła. Dalej znalazła jakieś wiersze, potem wiele listów - notatek jakoś nie było. Wtedy popatrzyła na niego długo, długo, a on pod tym wzrokiem kręcił się i czerwienił. - Hodowałam cię nie na rozpustnika i kłamcę! - rzekła wreszcie z takim żalem i wyrzutem, że go raptem opuściła śmiałość i cynizm, a ogarniał wstyd i 55

upokorzenie.

- Niech mama daruje! - szepnął.

Pokręciła głową i ciężko westchnęła.

- Pracowałam całe życie, żebyście przez moją pamięć szanowali inne kobiety.

- Proszę mamy - rzekł poważnie - ale innych tysiące pracują, by nimi pogardzać, a jam tylko takie spotykał.

- I po coś jeszcze mnie okłamywał, poza moimi plecami korzystając z jej lekkomyślności.

- Nie wypada mi się bronić cudzym kosztem, ale, ale...

Skinęła ręką bardzo dotknięta.

- Nie tłumacz się. Miałeś naukę...

- Miałem, o, miałem! I mogę mamie przysiąc, że teraz zajmę się tylko rozprawą. Niech mama Waškowskiego nie karze!

Nazajutrz rano nie było panny Wandy w Rudzie i jak zwykle poniewczasie wyszły na jaw wszystkie jej sprawy. W pokoju znaleziono bezład nie do opisanego. W

szufladach kłęby szmat, podartych pończoch, nasiona ogrodowe, skórki pomarańcz, jakieś maści w zatłuszczonych papierkach, ogryzki ciast, kawałki cukru, korki od bucików, wstążki, klucze od pogubionych kłódek i kłódki od pogubionych kluczy, zeszyt z rachunkami obłany wiśniowym sokiem,

kilka serwet holenderskich

pokrajanych na woreczki do twarogu, księga mleczywa zasmarowana wierszami i mnóstwo innych rzeczy. Hanna stara opowiedziała o rautach u ekonomów, a reszta służby na wyścigi obgadywała nieobecność, aż pani Taida podniosła głos i przerwała zwierzenia. Po jej admonicji wszyscy znaleźli, że najlepiej będzie milczeć, aby gromów więcej na własną głowę nie ściągać.

W gospodarstwie był taki nieład, że pani Taida, zdawszy na Kazia zarząd roli, dwa tygodnie ciężko pracowała, zanim doprowadziła znowu do porządku spiżarnię i nabiał, ogród i cieleta. Kilkoro tych ostatnich jednakże nie przeżyło opieki panny Wandy. Gdy pani Taida podsumowała rezultat pracy swej pomocnicy, doszła do wniosku, że oprócz wynagrodzenia i życia, ta żadna pracy osoba kosztowała Rudę kilkaset rubli.

Nie był to jeszcze koniec nieprzyjemności.

Przyszedł list od ojca panny Wandy pełen gorzkich wymówek, że córka straciła zdrowie wskutek nadmiernego zajęcia, nad siły kobiece, że za swe poświęcenie i oddanie doznała gorzkiej niewdzięczności, że pani Taida wyzyskiwała bezwzględnie jej pracę - cztery strony tej treści.

Zrazu oburzona pani Taida odpisała, potem rzuciła list do ognia i tylko w swej szarej księdze dała folgę swej goryczy:

“Więc tak wyglądają pracujące kobiety, więc w ten sposób mają sobie wywalczyć samodzielność, więc dla takich wre i kipi świat cały! Więc zajęcie, które spełniała Dysia, jest nad siły młodej dziewczyny. Ja ją wyzyskiwałam, od pracy straciła zdrowie! Napiszę ja dzieło o emancypacji! Ale niech mnie Bóg broni od powtórnej próby!”

Postanowiła pani Taida dać sama radę robocie i trwało tak aż do końca wakacyj.

Kazio wyręczał ją doskonale w domu i gunnie, szło wszystko jak w zegarku, aż się bociany zaczęły zbierać do odlotu.

Pierwszy odjechał Włodzio z gotową rozprawą; temu pilno było do Warszawy, bo już syt był atmosfery i 57

cnoty obowiązującej na wsi. Po nim i Kazio zaczął

przebąkiwać, że mu pora w świat ruszać. Pani Taida wzdychając zaczęła go w drogę ekwipować.

Mój Boże, czemu nie mam choć jednej córki! -

myślała z ciągłym do losu żalem.

I wyprawiła Kazia na praktykę za granicę, i została na słotną jesień i długą zimę sama w domu.

Wtedy to w liście do Ozierskiej wyznała, że sama nie da rady, że gospodarstwo wiejskie to warsztat dla dwóch osób i że chyba znowu musi starać się o pomocnicę, tylko, broń Boże, nie młodą. Młodej za nic, chyba jaką starą pannę lub wdowę bezdzietną.

“Moja Taisiu - odpisała Ozierska - taką osobę znajdziesz tu, w Warszawie, bardzo łatwo. Tysiące kobiet poszukuje zajęcia i chleba, spełnisz miłosierny uczynek dając tym biedaczkom kąt i pracę.

Przyjedź do nas, mamy wolny pokój, będzie ci jak w domu. Podamy ogłoszenie do

“Kuriera”, zobaczysz sama kandydatki i wybierzesz tę, która ci się najlepiej spodoba. Zresztą mamy tyle do pogadania i tak ci będziemy radzi!”

Ta propozycja wydała się pani Taidzie bajeczną.

Odjechać Rudy, gospodarstwa, być w Warszawie, w tym zgiełku, wybierać z mnóstwa nieznanym towarzyszce, pracownicy, nie wiedząc, co zacz jest!

Po jakimś czasie jednak zreflektowała się i zaczęła myśleć, że z rozpaczy człowiek brzytwy się chwyta. A wreszcie pewnego dnia kazała znieść z góry walizkę i zaczęła się pakować.

Tydzień zajęło przygotowanie do wyprawy, dawanie dyspozycji, wydzielanie wiktów i zboża na czas nieobecności, tysiące poleceń oficjalistom.

Nareszcie wyruszyła, tak zmęczona już w bramie, że 58

wątpiła, czy żywa dojedzie.

Ze stacji zatelegrafowała do Włodzia, bojąc się zginąć w Warszawie; przez całą drogę nic prawie nie jadła obawiając się, by pociąg nie odszedł bez niej. Odetchnęła dopiero u kresu, widząc syna na peronie.

Zaledwie Włodzio ją ulokował w dorożce, zaraz oznajmił niesłychaną rzecz:

- Wie mama, kolegę mam u Ozierskich.

- Co za kolegę?

- Stasia przyjechała, ale jaka Stasia!... Uczesana, umyta, małomówna - istny rabin!

- Już dosyć medycyny?

- Nie. Chorowała na jakąś gorączkę. Ozierski sam jeździł po nią i przywiózł, żeby wypoczęła. A wie mama, kto im doniósł o jej chorobie? Nasz Kazio. To on w Genewie praktykuje agronomię!

Pani Taida była tym wszystkim do szczętu rozstrojona. Nawet nie znalazła odpowiedzi.

- No, a ty miałeś choć jednego pacjenta? - spytała.

- Miałem dwóch: jeden szewc, drugi introligator.

Szewc żyje, a ten drugi umarł, ale obadwa mi nic nie zapłacili. To nic jeszcze, będę sławny!

- Twoja rzecz teraz. Ja swoje spełniłam. Wierzę w to, że pasożytem na świecie nie będziesz. Przywiozłam ci kilkaset rubli na ciężki początek. Czy też temu miastu końca nie ma! Mój Boże, jak

ludzie w tym piekielnym hałasie żyć mogą!

- Dojeżdżamy! Z bramy na lewo, pierwsze piętro!

Służę mamie!

Pani Taida i jej walizka zniknęły w sieni.

Był to nareszcie kres podróży. Wpadła w objęcia Ozierskiej, rozpoczęły się wykrzykniki, opowiadania, 59

beładna rozmowa i zaraz posiłek.

- A panny Stasi nie ma? - zagadnął Włódzio.

Ozierscy spojrzeli na panią Taidę zakłopotani.

- Słyszałaś? - szepnęła Ozierska.

- Ano, cóż znowu! Dobrzeście zrobili - odparła.

- Dziękuję pani za dobre słowo! - ucieszył się Ozierski. - Bo to łatwo wyklinać i wydziedziczać, ale ostatecznie trudno tego dotrzymać.

- Może się i ona opamięta i rozmyśli.

- O tym już nawet nie śnimy - westchnęła matka. -

Ale przynajmniej tyle pociechy, że herezjy nie wyprawia i nie wygaduje. Teraz po całych dniach czyta, siedzi w bibliotece uniwersyteckiej albo tu, w domu, nad książką i wydiera się znowu tam. Ubłagaliśmy, że zostanie do świąt, a potem - co robić, trzeba będzie odwieźć. Żeby nie twój pocziwy Kazio, to byłoby po niej. Umierała i nie prosiła o ratunek.

Pani Taida pokręciła głową. Ta pocziwość Kazia była dla niej mocno podejrzanego gatunku.

Zacząto mówić o sprawie pomocnicy i Włódzio już układał ogłoszenie do "Kuriera". Po wielu naradach i zmianach ułożono następujące:

"Poszukuje się osoby w średnim wieku na wieś, do zarządu kobiecym gospodarstwem i wyręczenia pani domu.

Reflektantki zgłoszą się na ulicę Wspólną nr 14, do pani Ozierskiej, między 1-3 po południu".

- Trzeba dodać: "wymagana znajomość rzeczy, bo uczyć nie myślę!" - proponowała pani Taida. - Napiszcie też, żeby to była osoba z naszego towarzystwa, żeby była zdrowa i silna, i z taktem.

- Pomyślą, że mama szuka synowej! - wtrącił



Włodzio.

- To już można będzie ustnie załatwić - zdecydowała Ozierska.

Pani Taida westchnąwszy dała Włodzowi trzy ruble i posłała go do "Kuriera", a sama udała się do przeznaczonego sobie pokoju, by się po drodze okrzętnąć i wypocząć.

Na obiad wróciła Stasia z biblioteki. Ledwie ją poznała pani Taida. Wychudła i szerniała, oczy jej się tylko paliły po dawnemu, ale jakimś płomieniem posępnym, złym, a usta miały wyraz gorczy i zawziętości

- niemłodej już.

Przyszła sama do gościa i pocałowała w rękę, zmieszana jakby i niechętna.

Uraziło to panię Taidę, ale przypomniała sobie ciocię Dysię, koronkę co dzień odmawianą i pogładziła dziewczynę po głowie.

- Mizernaś okropnie. Przpracowujesz się, to nic niewarte! No, ale żeś się z rodzicami pogodziła, to pocziwie, zacnie!

Stasi krew uderzyła do skroni, zawahała się sekundę i znowu schyliła się do ręki pani Taidy.

- Pani wtedy przysłała zielnik i sto rubli. Dawno bym za zielnik podziękowała, ale chciałam pieniądze odesłać i nie mogłam.

Z wielką trudnością mówiła.

- A to co znowu! - oburzyła się pani Taida. - Jeślim ci je posłała, to po pierwsze wiedziałam, że ci potrzebne, a po drugie - byłam pewna, że mi je zwrócisz, jak już będziesz zarabiała na chleb, ale nie teraz, kiedy się uczysz.

No, mam nadzieję, że do rodziców mnie z tym nie odeślesz

- dodała niespokojnie.

- Rodzicom nie śmiałam wspomnieć, zem przyjęła 61

jakby jałmużnę, tylko gdy była bardzo chora, powiedziałam o tym synowi pani, żeby panią przeprosił i podziękował, bo już oddać nie miałam nadziei.

- Potrzebnieś mówiła! - mruknęła pani Taida. - A on co robił w Genewie?

- Nie wiem. Byłam bardzo chora, gdy się zjawił, a potem nie wiem, gdzie się podział.

- A ty zawsze trwasz przy swoim? Przez chwilę wzrok Stasi zamigotał po dawnemu zapalem i młodością. -

Pani się pyta! Pani, która przez całe życie od celu swego nie odstąpiła na krok, nie zawahała się na sekundę. Ja także na swoim postawię.

I znowu gorycz wróciła na jej twarz i dodała:

- Ciężko, mozolnie, gorzko, ale bodaj najgorsze to ten wstręt i obrzydzenie, które w sobie mam do ludzi i uczuć. Przechodzimy, my kobiety, tam piekło - nie zostaje nam nic niewiadomego, nic nieznanego, nic świętego! Są takie, które uciekają, niezdolne wytrzymać, są inne, które się z tym oswajają, nawet gustują. Ja wytrzymałam, tylko z niczym nie porównać ohydy mej i pogardy.

Połknęła ślinę, jakby to obrzydzenie dławilo ją za gardło, i chwilę milczała.

- Pani wie, żem widziała ducha? - szepnęła.

Pani Taida skinęła głową.

- Nie mówiłam o tym nikomu i sama nie wierzę w nadprzyrodzone zjawiska, ale widziałam, i jeśli mnie coś czasem godzi z ludzkością, to ta twarz umarłej.

Przypominam ją sobie w złych chwilach. I dlaczego ją widziałam, dlaczego do mnie przyszła?

Nazajutrz poszłam do kościoła, chociaż tam nigdy nie bywam.

- Tego właśnie ona chciała od ciebie. A może i 62

czegoś więcej jeszcze - wzięła ciebie pod opiekę! Zachowaj ją w pamięci! Każdy młody zaczyna od zapału i bezwzględnej wiary w ludzkość i idee, przechodzi potem rozczarowania, bunty, niewiarę, pogardę, a wreszcie dochodzi do równowagi, miary i wielkiej tolerancji, i spokoju. Naturalnie, mówię o takich, co mają rozsądek, zdrowie moralne i fizyczne i siłę. Że zaś takich mało na świecie, więc dlatego świat pełen niedołęgów, kalek i pasożytów. Otóż, jeśli chcesz się ohydy pozbyć, nie patrz i nie myśl o takich, ale ziarna szukaj w plewie - i ziarnem bądź! A jeśli się chcesz pogardy zbyć - pomyśl, że ci nędzni są nieszczęśliwi i chorzy, a ty zdrowa i silna. Trzeba dla nich mieć litość i miłosierdzie, nie pychę! Nie wiesz, dlaczego ustali, spodlili się lub upadli. Kto silny, niech nie sądzi słabości, tylko niech Bogu za pomoc dziękuje.

Jeszcze teraz mnie nie rozumiesz - to szkoła, którą się siwizną opłaca, ale zda ci się kiedy moje słowo, jeśli je zapamiętasz.

Tu pani Taida przypomniała sobie pannę Wandę i dodała:

- A ostrożnie z amatorami, bo to ci

plany zupełnie pokrzyżuje.

- Z amatorami! - powtórzyła szyderczo Stasia. - Do tego nabrałam wstrętu na całe życie, nie wychodząc z roli spektatorki! Brrr! - wzdrygnęła się.

- I to gadanie bez sensu! Życie bez uczucia jest anomalią. Jeśliś zdrowa i silna, to i z tym dojdiesz do równowagi!

Była Stasia bardzo zmieniona, bo nie podniosła kwestii, nie bryznęła cynizmem. Zmieniła rozmowę.

- Ten zielnik to skarb. Tam są odkrycia i wynalazki, a zbiór bardzo bogaty. Dużo się z niego nauczyła. - Była 63

też lekarką nieboszczką, chociaż nie miała patentu. Miała powołanie i wielkie serce! - odparła pani Taida.

Oziarska weszła zdziwiona tak długą rozmową, wrócił też Włodzio z kwitem i przerwali zwierzenia Stasi.

Nazajutrz już o dwunastej przyszła pierwsza kandydatka na posadę do Rudy. Była to bardzo elegancka dama, w kapeluszu z piórami, upudrowana, ufryzowana i wdzięcznie uśmiechnięta.

- Przychodzę wskutek ogłoszenia w "Kurierze".

Nieszczęśliwe okoliczności zmuszają mnie do poszukiwania pracy.

Na panią Taidę uderzyły ognie, ale się nieco pohamowała.

- Czy pani zajmowała się gospodarstwem wiejskim?

- spytała sucho.

- Dotąd nie potrzebowałam pracować na sobie. Mój mąż miał dobrą posadę na kolei. Po jego śmierci miałam magazyn mód, ale interesy źle poszły, jak zwykle kobiecie samotnej, bez męskiej opieki!

Westchnęła i dodała:

- Przeczytawszy ogłoszenie pomyślałam, że wyjazd na wieś poprawi mi zdrowie i uspokoi nerwy zerwane ciężkimi przejściami.

- A pomyślała pani, czy spełni swe obowiązki? Czy pani się zna na hodowlach drobiu i trzody, na ogrodnictwie i mleczynie?

- Jak to, ja mam być szafarką i klucznicą! - oburzyła się dama. - Ogłoszone było, że mam zarządzać i wyręczać panią domu.

- Więc pani myśli zarządzać nie mając pojęcia o obowiązkach i robocie. Mnie wyręczać uważając pracę za nieszczęśliwy dopust. Ja zaś uważam ją za wielkie

szczęście. Różnimy się tedy w kardynalnej kwestii.

Potrzebuję pomocnicy, a nie nerwowej ofiary.

Dama się bardzo obraziła i powstała majestatycznie.

- W takim razie nie trzeba dawać kłamliwych ogłoszeń i trudzić ludzi, którzy wyszli z wieku morałów! -

rzekła drżącym głosem i wyszła.

Pani Taida oburzona poszła do jadalni, gdzie Ozierska krzątała się z kucharką, i opowiedziała pierwszą próbę.

- Cierpliwości! Trafisz na dobrą. To dopiero początek. O, znowu dzwonek! Otwórz no, Stasiu, bo Kasia wyszła do pralni.

Stasia siedziała u okna z głową podpartą rękami, zatopiona w czytaniu. Podniosła się automatycznie i wyszła do przedpokoju. Po chwili wróciła.

- Któż to? - spytała matka.

- A znowu coś do pani Skarszewskiej! - odparła pogardliwie.

- Jakże wygląda?

- Anim spojrzała. Nie warto.

- Dlaczego? - zagadnęła pani Taida.

- Bo to będzie korowód wszelkich pasożytów, kalek i niedołęgów. Alboż to ludzie. Osoby w średnim wieku szuka pani. Cóż warta osoba w średnim wieku, która nie ma fachu i stanowiska, która nic nie zdobyła, nic nie wywalczyła do tej pory! Plewy!

- No, no! - ujęła się Ozierska. - O chleb jest trudno, walka o byt ciężka. Ty zawsze jesteś krańcowa.

Pani Taida wyszła do interesantki, a Stasia odparła:

- Chleb mieć będzie ta, która wie, czego chce i do czego dąży. Taka nie szuka ogłoszeń w "Kurierach", ale ma już stanowisko i walki o byt się nie boi. Pani 65

Skarszewska szuka drugiej siebie, a mama jest tak naiwna, że wierzy, iż taką znajdzie między warszawiankami. Toć one wyobrażają sobie, że na wsi nic się nie robi, tylko spaceruje, wacha świeże powietrze i zjada kurczęta.

Zatrzasnęły się drzwi przedpokoju i jednocześnie weszła pani Taida.

- Wyobraźcie sobie, że ta mi powiedziała najspokojniej, że nie może przyjąć posady - u wdowy! Jak to? Nie ma mężczyzn w domu? Być bez opieki silnego ramienia, narażoną na grubiaństwo służby?

Ona się boi!

- Hihhi! - zachichotała szyderczo Stasia. - Ona się boi! Biedactwo! Das ewig weibliche!

Pani Taida była zdesperowana.

- Cofnę ogłoszenie! - rzekła. - Bo doprawdy nie wytrzymam. Jeszcze co podobnego, a nagadam im impertynencyj. Znowu dzwonią.

Stasia poszła otworzyć, ale był to Włodzio.

- Dzień dobry, kolego! - powitał żartobliwie. -

Wicie, miałem dziś pacjentkę, a jaką ładną. Zadowolona była z porady i będę ją miał w kuracji stałej.

- Panna czy wdowa? - ironicznie spytała Stasia.

- Otóż właśnie że mężatka.

- I to bywa! - odparła. - Winszuję.

- A tu co słyhać? Mama zdrowa, w dobrym humorze?

- W najgorszym. Nie radzę panu chwalić się pacjentką, bo do żartów nie usposobiona. Odbywa się przegląd towarzyszek.

- Szła tu przede mną jakaś chuda i żółta i czytała tablicę w sieni. Jeśli pani o swego Kazia zazdrosna, to o tę może pani być spokojna.

- Gust męski jest tak fantazyjny! - odcięła. - Jeśli 66

pan kiedyś szalał za tą Żydówką, co robiła papierosy, to niech żadna nadziei nie traci i niech każda o swego wybrańca drży!

- Ej, panno Stasiu, to niemiłosiernie takie rzeczy pamiętać. Dzyń - to pewnie ta żółta! Pójdę z paniami się przywitać, a potem siadam za portierą i będę na przedstawieniu gratis.

Stasia otworzyła drzwi. Na progu stała osoba istotnie w średnich latach, chuda i jakby wystraszona.

- Czy tu mieszka pani Ozierska? - spytała.

- Tutaj.

- Bo to wyczytałam w "Kurierze"...

- Proszę panią do salonu! - przerwała Stasia.

Ale interesantka musiała się wynurzyć.

- Od dawna marzę o wyjeździe na wieś, do ciszy i spokoju. W mieście nie można uniknąć zgorszenia, pokus; ciągle się jest narażonym na grzeszne myśli i uczucia.

Przed występkiem skryć można oczy tylko w świątyni...

Spuszczone miała oczy, więc nie widziała wyrazu twarzy Stasi, za portierą odzywało się podejrzané sapanie, to Włodzio się dusił ze śmiechu. Szczęściem weszła pani Taida i Stasia uciekła.

- Pani poszukuje posady? - zagaiła pani Skarszewska.

- Tak, pani. Modlitwa i praca jest moim szczęściem.

- Pani zamężna?

- O, nie! Żyłam z mamą dotychczas w Siedleckiem.

Ojciec zostawił nam folwarczek. Ale mama była słabego zdrowia - przeniosłyśmy się do Siedlec. Dzierżawca nas doprowadził do nędzy, a wreszcie i folwarczek trzeba było sprzedać. Kapitalik poszedł na doktorów i aptekę i mamusia zmarła temu dwa lata. Dostałam posadę tutaj 67

przez znajomą hrabinę w szpitaliku, ale zawsze marzyłam o wyjeździe na wieś i gdym przeczytała ogłoszenie, wnet pomyślałam, że to może palec Boży, bo na tę intencję suszę wszystkie wtorki - dzień, w którym opuściłyśmy naszą Wólkę.

- Więc pani się zna na wiejskim gospodarstwie?

- Przecież mieliśmy Wólkę, a ja zawsze wyręczałam mamusię. O, znam wieś i kocham jej ciszę, spokój i patriarchalne obyczaje.

Włodzio za portierą pomyślał, że cisza i spokój rzadko były widziane w Rudzie przy mustrze fornali, pastuchów i czeladzi i że patriarchowie mieli pod względem obyczajów pojęcia nie zawsze zgodne z etyką nowożytną, ale pani Taidzie podobały się aspiracje kandydatki do wiejskiego życia; a zresztą poprzednie były jeszcze gorsze. Przystąpiła tedy do szczegółów:

- Pani jest dobrego zdrowia? Roboty będzie dużo.

- O, pani! Nie wiem, co beczynność. Gdy odpoczywam, to się modlę. Chorować nie miałam czasu.

- Uprzedzam panią, że jestem sama w domu, wdowa, i nikt prawie u mnie nie bywa. Wesołości, towarzystwa niech się pani nie spodziewa.

- Bogu dzięki! Bogu dzięki! Marzyłam o tym i wyznam pani, że jako biedna sierota jestem nieufna i nieśmiała. Boję się towarzystwa, mężczyzn szczególnie.

Oni są tacy bezwzględni i sensualni. Nie umieją szanować domu!

Pani Taida popatrzyła na nią, ale miała taką minę rzetelnie wystraszoną, że tylko się uśmiechnęła.

- No, o to może pani być zupełnie spokojna. U mnie w domu, zgorzenia nie ma i nie będzie. Co do obowiązków, będzie się pani zajmowała szpizarnią, 68

ogrodem i nabiałem. Służba domowa będzie pod pani rozkazami. Księgi mleczywa i domowych wydatków będzie pani prowadziła.

- Postaram się sumiennie spełniać obowiązki z Bożą pomocą. Czy będę mogła co dzień być na mszy świętej?

- Co dzień? Do kościoła jest pięć mil drogi!

- O Boże! I pani bywa tylko w niedzielę?

- Ja bywam cztery razy na rok. - Jakże to być może!

Więc można tak żyć bez Boga!

- Jak to bez Boga! Pani nie umie katechizmu! W

niebie, na ziemi i na każdym miejscu jest On.

- Zapewne, ale to okropne! Bez sakramentów, bez nauki, bez Świętej Ofiary - być co dzień narażonym na pokusy szatańskie i nie móc się przed nimi schować w świątyni! Czyż możliwe jest ustrzec duszę w takich warunkach? To strasznie niebezpieczne. Tego nie można uczynić bez porady spowiednika i roztrząśnienia sumienia.

Ciało mdłe, proszę pani!

- Tfu! - wybuchnęła pani Taida. - Co też pani bredzi! W tym strasznym miejscu żyją ludzie i umierają w świątobliwości. W tym miejscu ja żywot zbyłam i potępienia się nie lękam. Pokusy! Co za pokusy mieć można tak szczególnie straszne. Na to nie ma czasu przy robocie. Pacierz się mówi rano i wieczór, nikogo się nie krzywdzi i nie szkaluje, chorego i biednego opatrzy, prawdę się mówi, obowiązek spełnia i Boga się ma wszędzie, byle się go w sobie czuło. Pani myśli, że gdy siedzę o pięć mil od kościoła, to Bóg o mnie już nie wie? A ja jestem pewna, że wie. Zresztą pani znane jest zdanie św.

Augustyna: "Kaźda cela może być Tebaidą, a kaźdy dom kościołem". To zależy od tego, kto mieszka.

Kandydatka westchnęła bardzo głęboko:



- Zawiniłam! Pani mi wskazała drogę. Bóg żąda ode mnie próby i ofiary. Niech się spełni Jego wola!

I spojrzała w okno, na przeciwległą kamienicę, bo nieba widać nie było.

- Pani jest bardzo egzaltowana - mruknęła pani Taida.

- Pragnę cnoty i zbawienia. Boję się świata i szatana, ale sobie nie ufam. Czyż to złe?

- Nie, nie! Ale nie trzeba w niczym przesadzać.

Wracając do rzeczy, jakież pani stawia warunki?

- Chciałabym mieć osobny pokoik i skromne wynagrodzenie! Bardzo mało potrzebuję.

Pani Taida już dużo niechętniej powiedziała sumę.

- Zgadzam się, tylko będę prosiła o namysł do jutra.

Wieczorem przyślę kartkę z decyzją.

- I owszem, o to samo chciałam prosić dla siebie. I ja potrzebuję się namyślić.

Na tym się skończyło. Pani Taida wróciła do jadalni patrząc w zamyśleniu na bilet z nazwiskiem: "Klara Wolska, Nowy Świat, nr 45".

- No, i cóż? - spytała Oziarska.

- Albo ja wiem. Dziwoląg po dziwolągu, aż nareszcie traci się zupełnie zdrowy sąd. Ta znowu dewotka, ale ze wsi rodem, pracować chce, na wszystko się zgadza, nic nie wymaga! Albo ja wiem! Jestem zupełnie zniechęcona.

- Niech mama drzwi zamknie na dzisiaj i chodźmy na miasto. Jest wystawa Chełmońskiego, może mama potrzebuje co kupić, ja służę za przewodnika - ofiarował

się Włodzio nie śmiejąc drwić, chociaż mu twarz drżała od śmiechu.

- A jakże! Mam cały arkusz sprawunków! -

westchnęła pani Taida. - Pokażesz mi też swe mieszkanie.

Nazajutrz rozpoczął się znowu korowód, tylko Ozierska zasiadła też w salonie, by pomóc, bo pani Taida była zupełnie odurzona. Stawiło się siedem kandydatek. Z

tych trzy zaraz się cofnęły, dowiedziawszy się, że to posada w domu bez gospodarza.

- Zrozumiałam, że mam wyręczyć panią domu u wdowca! - rzekła jedna tonem obrazy, że ją turbują do pomocy kobiecie.

Dwie obrażyły się, że nie miały osobnej służącej i że mają dozorować udoju - w oborze, w nawozie.

- Nie pochodzę z domu szafarek.

Jedna była srodze dotknięta, że za taką ilość roboty ma otrzymać tylko dwieście rubli.

- Pani żartuje chyba. Moja matka płaciła drożej garderobianej.

Ostatnia wreszcie zgadzała się na wszystko, ale nie miała pojęcia, na co się zgadza, bo przez całe życie nie wyjeżdżała z Warszawy, tylko do Wilanowa, a zajmowała się dotychczas lekcjami muzyki.

Już po trzeciej zjawiała się jeszcze jedna. Była to gruba kobiecina, w czepku na bakier, z wypiekami na twarzy.

- Tu szukają gospodyni na wieś! Ja pojedę! Co tam, raz kozie śmierć! Przemówiłam się ze starym, on mnie spostonował, więc mu powiadam: czekaj, psia nogo, ja ci pokażę! Pojadę na wieś, między ludożerce, między bałwochwalce - na takie wygnanie, na takie zatracenie, a z tobą nie zostanę!

Aby jej się pozbyć, musiała pani Taida wezwać pomocy Włodzia i posłała go pędem do "Kuriera".

- Cofnij ogłoszenie, cofnij! Mam tego dosyć!

Była już zdecydowana z niczym powrócić, ale żal jej było kosztu i strach samotności w domu.

- Wezmę chyba tę Wolską! - rzekła.

- Niech mama poczeka, aż się załatwi ze spowiednikiem i sumieniem! - odparł Włodzio.

- Bardzo cię proszę z tego nie żartować. Mam nadzieję, że i ty te dwie władze szanujesz.

Włodzio zerknął ku Stasi, ale jej twarz była niewzruszona.

Wieczorem posłaniec przyniósł odpowiedź panny Klary Wolskiej:

“Twarz pani wyraża siłę i prawdę; oddaję się ufna pod opiekę pani, przyjmuję obowiązek. Proszę o wyrozumiałość dla moich słabości i o wzgląd dla moich potrzeb duchowych, które są moim jedynym szczęściem i przyszłością sierocą”.

Pani Taida, nagle zdecydowana, złożyła list:

- Niech będzie ta, bo nie mam z czego wybierać! A czas mi wracać do roboty!

## III

Pierwszym zajęciem panny Klary Wolskiej po przybyciu do Rudy było urządzenie przeznaczonego jej pokoju wedle swych potrzeb i wymagań.

Gdy ukończyła swą pracę, zaprosiła na ocenę panią Taidę.

- Niech pani raczy rzucić okiem na moją celkę! -

prosiła idąc za nią i spodziewając się na pewno pochwały.

Ale pani Taida stanęła na progu, popatrzyła i rzekła:

- Jeśli to ma być cela, to cela bałwochwalcy.

Największa ściana była od góry do dołu zawieszona obrazkami świętymi, przedzielonymi jeden od drugiego festonami z różańców, i zakończona ołtarzykiem, na którym paliło się kilka lampek i leżały stosy książek do nabożeństwa.

- Jak to, bałwochwalcy? - jęknęła panna Klara.

- A na cóż chrześcijaninowi ten milion obrazków i ten stos książek? Wystarczy prosty krzyż albo obraz Bogarodzicy i jedna książka. No, a jeśli pani tu chce żyć w celi, to po cóż pani naprzeciwko ma tyle pierzyn na łóżku?

To nie ma konsekwencji.

- Przy tym ołtarzyku trzeba zbierać dwór cały do wspólnej modlitwy.

- Ciekawam kogo? Oprócz nas dwóch wszyscy są innego wyznania.

- Mój Boże! Tym bardziej należy ich oświecić i nawracać! To obowiązek.

Tu się oburzyła pani Taida.

- Czy pani dotąd żyła na księżycu, żeby podobne mrzonki prawić? A zresztą, pani daruje, ale naszym wspólnym obowiązkiem jest tylko siebie zbawić i drugich

nie gorszyć. Do oświecenia i nawracania są misjonarze i księża, a nam wystarczy być wyznawcami. Po wtóre, pani tu przybyła pracować, a nie katechizować i modlić się. Jeśli zaś pani żąda nabożeństwa, znajdzie je pani w innej formie, lecząc i doglądając chorych, których tu nie brak. W takiej modlitwie stanę pani zawsze do współudziału.

- Ja miałam nadzieję, że chociaż w święta pani tu ze mną się pomodli! - westchnęła panna Klara.

- Tu nie, bo te obrazki czyniłyby mi tylko roztargnienie, a lampki strach pożaru tych papierowych kwiatów. Ale jeśli pani lubi taką dekorację, to niech ją pani dla siebie zachowa. To forma, byle treść była w pani religii, to i dobrze - i z tym opuściła pani Taida "celę".

Panna Kalra, srodze przerażona o jej zbawienie, postanowiła zacząć oświecenie i nawracanie od pani domu.

Tymczasem objęła swe obowiązki i po roztrzepanej pannie Wandzie wydała się pani Taidzie skarbem. Była drobiazgową, sumienną, dość tępego umysłu i niepraktyczną, ale posłuszną co do litery i nie kłamała nigdy.

Tylko czynności swe spełniała smętnie, wzdychająca i rzewliwa, jakby była kozłem ofiarnym za winy całej ludzkości.

Po tygodniu zniechęciła ją, ale zarazem drwiła z niej cała służba. Formułki zdawkowej moralności nosiła w kieszeni i na ustach zawsze, jak panna Wanda sucharki i cukier. Miała je w piersi zamiast serca, w głowie zamiast myśli i rozdawała jak kolporter prospekty.

"Módl się i pracuj", "Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi", "Cierpienie wrota do raj", "Szczepnie przykazania", "Przy ubogim Bóg" - mówiła po kolei wszystkim, kto przychodził po radę i pomoc, uważając, że 74

spełnia swój obowiązek. Chłopi słuchali potakując, czekając, że po pięknym słowie nastąpi lekarstwo lub datek, ale panna Klara szła dalej lub cofała się do swego pokoju i zatapiała się w swych modlitewnikach, skąd wyławiała coraz piękniejsze frazesy, nigdy nie dotarłszy do głębi, nigdy nie dostawszy pereł z tej toni.

Przez czas jakiś spędzała wieczory w swej "celi", potem prosiła się na gawędkę do pani Taidy.

W sypialni ciemnej, oświetlonej jedną lampą, siadywały naprzeciw stanowięc uderzający kontrast.

Rozdziałał je stół zarzucony skrawkami grubego sukna i płótna, z którego pani Taida szyła spencerki, spódniczki i koszulki dla dzieci folwarcznych. Nie bardzo jej to szło prędko i składnie, ale odziedziczyła to zajęcie po cioci Dysi, więc je spełniała sumiennie.

Panna Klara naprzeciw cieniutkie nici wiązała szydełkiem i rachując oczka, rozpoczęła rozmowę.

- Czy to być może, proszę pani, że poprzedniczka moja miała brzydki stosunek z pisarzem?

Pani Taida podniosła oczy uzbrojone w okulary.

- Kto pani to mówił?

- O, ja bym sobie nie pozwoliła na podobne rozmowy. Słyszałam przypadkiem.

- Powinna była pani nie pozwolić na szkalowanie kogoś nieobecnego.

- Godność moja kobieca nie pozwala mi nawet wyznać, że rozumiem podobne stosunki.

- Żadnych grzesznych stosunków nie było, co najwyżej lekkomyślność młodości.

- Pani to nazywa lekkomyślnością! Ale ja wolna jestem nawet od takiej lekkomyślności i ubliżyłoby mi wglądanie i wtrącanie się do podobnie bezecnych rozmów!

W ogóle ciężkie jest życie panny mego wychowania wobec brutalności ludzi prostych, z którymi muszę obcować, i często zgroza mnie ogarnia, jakie były te, które ich uzuchwalały do okropnych wyrażen i szczegółów! Straszna tu panuje demoralizacja! Czy wystawi sobie pani, że podobno żona leśniczego nie jest ślubna, a ochmistrzyni źle się prowadzi, nie mówiąc już o córkach ekonoma.

- Skądże pani to wszystko wie, z nikim nie rozmawiając i tak się gorsząc.

- Jestem, niestety, narażona na zgorszenie. Mój Boże, żeby mnie mama mogła widzieć, ona, co mnie uchowała jak kwiat czystą.

Więc się pani tu dopiero dowiedziała o tych, jak je pani nazywa, “brzydkich stosunkach”.

- Wiedziałam, że świat jest grzeszny, ale teraz widzę, że jest to piekło. Dziękuję Bogu, że taka nie jestem.

- “Żem nie jest jako ów celnik” - zamruczała pani Taida.

Panna Klara nie zauważyła przerwy.

- Przecie ci ludzie za życia są potępieni. Obcować z nimi jest grzechem. Oni już nawet nieprzystępni są nauce i opamiętaniu. Oni już nawet nie rozumieją, nie widzą, nie cenią cnoty. Oni ślepi - szydzą ze mnie. A ja im przykładem niebo wskazuję.

Pani Taida ręce złożyła z robotą na kolanach.

- Czy pani nie miała nigdy pokus młodości?

- Boże! Nigdy! W mojej klasie? - oburzyła się.

- A czy pani nie miała, nie kochała narzeczonego?

- Czymże mogłam pani natchnąć podobne posądzenie? Jestem biedną dziewczyną, ale pochodzę z rodziny chrześcijańskiej, z domu obywatelskiego.

- Więc cóż? Alboż chrześcijanki i obywatelki nie 76

mają pokus, miłości i narzeczonych?

- Ja, dzięki Bogu, uniknęłam takich brutalnych zasadzek! - odparła panna Klara urażonym tonem.

- Ano, więc pani nie jest żywym przykładem ani żywcem do nieba nie pójdzie, bo nie mając pokus i walk, nie ma pani w tym ani zasługi, ani zwycięstwa, i potępiać innych nie ma też pani prawa jako niekompetentna.

Zapewne, zgorszenie jest i ludzie nie aniołowie, ale kamienować wolno tylko tym, którzy sami są bez

grzechu.

I o swą duszę nie ma pani co się lękać! Nie zbrudzi jej nikt i nic pomimo woli:

- Ja wiem, że się o biedną sierotę nikt nie troszczy ani dba. Cierpienie i samotność zapoznanej to moja dola.

Mój Boże, żeby mama wiedziała, jaki los mnie czeka!

- Taby panią może inaczej chowała - hartowniej i trzeźwiej. Ze swym usposobieniem powinna by pani do klasztoru wstąpić - odparła zniecierpliwiona pani Taida. -

Może by panią tam pojęli, bo na świecie - wątpię.

Panna Klara westchnęła i umilkła.

Po chwili spytała pani Taida:

- Czego chciał ten chłop, którego dziś spotkała w garderobie? Był bardzo zbiedzony.

- On? Zbiedzony? On najbezczelniej przyszedł do mnie o poradę dla żony, która - zachłysnęła się panna Klara

- która miała dziecko! Myślałam, że umrę ze wstydu, gdy przy kucharzu rozpoczął mówić o takich rzeczach.

- Ależ, proszę pani, ani on, ani kucharz nie widzieli w tym nic gorszego ani wstydlwego. Ludzie przywykli do dworu iść po radę we wszelkich chorobach. Naturalnie, nie wiedziała pani, co rzec.

- Owszem, wiedziałam i powiedziałam, co myślę o takim cynizmie. A kucharz, ten się śmiał.



- Z pani zgrozy zapewne. Oni nie wierzą ani wiedzą, co naiwność. Zresztą w pani wieku...
- Liczę lat trzydzieści i jestem panną!
- Po cóż więc pani te formy i wyrażenia podlotka?

Niech mi pani wierzy, że to nikomu nie wyda się szczere ani stosowne. A cóż znowu uraziło panią dzisiaj w oborze, że pani stamtąd uchodziła jak z ognia?

- Noga moja tam więcej nie postanie. To nie jest zajęcie dla kobiety z mojej klasy!

Pani Taida pokręciła głową.

- Nigdy mi na myśl nie przyszło, że to coś niestosownego - rzekła znudzonym głosem. A mleko, czy też gorszy panią?
- Mój Boże, pani mnie nie rozumie. To jednak tak jasne, że panna z obywatelskiego domu nie może się zajmować hodowlą inwentarza ani radzić na choroby kobiece.
- A czymże wreszcie może się zajmować, gdy ją los rzucił na wieś i dał majątek, a nie męża? Dwadzieścia lat sama rządzę i pracuję, a ani razu mi do głowy nie przyszło, że czynię coś niestosownego z mą obywatelską godnością.
- Co wypada mężatce, to nie wypada pannie.
- Aha, więc pani lęka się o swą opinię dla zameżcia.

To kwestię zmienia. Ale przed chwilą równie zażarcie broniła się pani przed posądzeniem o uczucia i narzeczonego. Ale tu nikt nie bywa i wątpię, czy znajdzie pani partię.

- O, jakże opacznie pani mnie sądzi. Mama mnie uczyła strzec czystości i cnoty dla samej siebie.
- Cóż znowu ma cnota i czystość do zajęcia się oborą i miłosierdzia dla chorej kobiety? Et, pani sama nie wie, czego chce i czego się boi.

Pani Taida, ostatecznie zniecierpliwiona, zaczęła składać robotę, dając tym hasło do spoczynku.

W szarej księdze dnia tego zapisała:

“Boję się, że wpadła z deszczu pod rynnę.

Dostałam bigotkę i skromniśnię trzydziestoletnią. Muszę się zająć oborą, bo ją coś tam gorszy, muszę zająć się chorymi, bo jej nie wypada, i muszę zająć się nią samą i zaglądać, by nie popełniła jakiegoś ekscesu. Mój Boże, i gdzież są normalne, zdrowe kobiety, i gdzież są te samodzielne pracownice, które by miały w głowie równowagę! Wiek zbyłam, a nie słyszałam tylu bredni naraz, co od niej dzisiaj. I do tego wszystkiego przyczepiona jakaś religia zupełnie mi nie znana. Równowagi trzeba, równowagi!” Ale równowagi nie miała panna Klara i błędnie szła, po omacku szukając.

Co wieczór, mniej więcej w podobny sposób, zanudzała panią Taidę i coraz więcej w swych zajęciach wynajdywała gorszących stron i niestosownych szczegółów.

Dawniej pani Taida nie ścierpiałaby tego długo, ale od śmierci siostry stała się łagodniejszą, smutek ją uspokoił, uczynił obojętniejszą. Zresztą spracowana była, żadna spoczynku, niechętna dysputom. Rachowała, że za lat parę, gdy Kazio wróci, wszystko się zmieni, więc w tej myśli czerpała cierpliwość.

Była tylko nieufna od czasu panny Wandy i więcej obserwowała swą towarzyszkę.

Tymczasem panna Klara była pośmiewiskiem całego dworu, nie zdobyła sobie uznania ani szacunku, ani powagi - nie nawróciła nikogo. Wydrzeźniano jej nabożeństwo, jej skromność, jej zażenowanie. Co dzień przychodziła ze skargą do pani Taidy, że używano wobec

niej cynicznych wyrażen, że ją pytano o najdrażliwsze kwestie, że się jej radzono w najprozaiczniejszych dolegliwościach.

- Niech pani wejrzy w moją niedolę i nakaze im dla płci mojej i wieku szacunek.

Parę razy zburczała pani Taida winowajcę, ale wreszcie straciła cierpliwość i na nową skargę odparła ostro:

- Ależ, proszę pani, każdy sam sobie tylko może wywalczyć szacunek i powagę, tego ja dla pani nie mogę nakazać. Niech się pani nie naraża na śmieszność, to się nie będą ludzie śmiali. Ja wśród nich żyję tyle lat, a nie słyszałam i nie doznałam cienia nieprzyzwoitości.

- Jestem tedy rzucona na pastwę brutalności, bez żadnej opieki. Nikt się za mną nie ujmie! I oto jest los samotnej kobiety.

Pani Taida, czując, że wybuchnie, co prędzej wyszła, by tej elegii nie słyszeć.

Szczęściem, wieczory stawały się krótsze, więc i pogawędki w sypialni zaczynały się później; miało się ku wiośnie, roboty coraz więcej, nie było czasu irytować się cnotą uciemiężoną panny Klary.

W marcu, który tego roku był wyjątkowo ciepły i suchy, pani Taida oznajmiła pannie Klarze, że spodziewa się geometry, który zabawi miesiąc, gdyż będzie mierzył

leśne poręby i łąki. Poleciała, by mu ogrzano narożny pokój i pamiętano o jego wikcie.

- Będzie jadał z nami, bardzo dobry i przyzwoity człowiek, już niemłody.

- Ależ w narożnym pokoju trzymam wazoniki z kwiatami i sama je doglądam.

- Więc cóż? On nie pali. Kwiatom nie zaszkodzi -

owszem, gdy się pokój ogrzeje, prędeż zakwitną.

- Ależ ja tam nie będę mogła wejść, gdy tam zamieszka mężczyzna.

- Cały dzień będzie na robocie.

- Chociażby, ja już tego progu nie przestąpię.

- Ano, jak sobie pani chce. Poręby są mi ważniejsze niż jakieś tam badyle. Geometra ma mieć narożny pokój i koniec!

I poszła do swojej roboty.

Panna Klara była wzburzona do głębi. Obcy mężczyzna, z którym trzeba będzie codziennie się spotykać, sąsiadować przez ścianę. To było straszne. Stało się jednak. Pewnego wieczora przyjechał własną taratajką najeżoną instrumentami, które wylądowano w narożnym pokoju, a on sam przyszedł do salonu i zaprezentował się panie Klarze bez długich ceregieli.

- Wawelski, geometra, do usług. Pani Skarszewska zapewne jeszcze w polu?

- Tak! - bąknęła panna Klara ze spuszczonej oczami i bijącym na trwogę sercem.

Gość obejrzał ją i, z natury rozmowny, rzekł:

- Pani dobrodziejka zapewne tu gospodaruje. Trzeba będzie w łaski się wkraść, żeby człowiek głodem nie przymierał. Jak się tak cały dzień złata po bagnach, apetyt wilczy się przynosi. Proszę mnie mieć w opiece, odsłużę na weselu.

Panna Klara ośmieliła się oczy podnieść.

Zobaczyła człowieka lat czterdziestu, barczystego, wysokiego, obraz siły i zdrowia. Twarz ogorzała, obrośnięta, dobroduszone oczy, uśmiech łagodny.

- Do mnie należą śpizarnie i apteczka. Bez żadnej odsługi będzie pan nakarmiony - szepnęła już śmieiej.

- Pani już dawno w Rudzie? - spytał.
- Od jesieni. To moja pierwsza służba po śmierci mamy. Trzy lata, jak umarła.
- Trzy lata też, jakem żonę pochował.
- To pan także samotny?
- Gorzej, bo mam troje dzieci. Aj, proszę pani, co to za kram. Jedno chore, drugie krzyczy, trzecie z drzewa spadło, a wszystkie wołają jeść i drą ubranie i obuwie, a tu ja wciąż poza domem.
- Pan mieszka na wsi?
- Ja nigdzie nie mieszkam, ale mam dom, plac i ogród w miasteczku - kawał gospodarki. At, jaka tam gospodarka bez gospodyni.
- A miasteczko duże?
- Spore. Jest kościół, doktor, apteka, sąd. Pani tam pewnie bywa na sumie w niedzielę?
- O, ja ledwie trzy razy byłam w kościele. To tak daleko i o konie trudno. Rada bym być co niedziela, ale nie moja wola.
- To po drodze do kościoła mój dom. Parkan zielony, kasztanami obsadzony. W podwórzu domostwo, z tyłu ogród. Dobra posesja. Dają mi za nią pięć tysięcy. Cóż, kiedy to w ruinę upada. Trzeba się ożenić, a tu się boję, że mnie żadna nie zechce.

Pannę Klarę uraziła ta nagła szczerłość mężczyzny i wymówiwszy się zajęciem, wyszła.

Jednakże i mężczyźni źle być samotnym! -

pomyślała.

Przy wieczery słuchała rozmowy geometry z panią Taidą coraz więcej oswojona.

On dobrodusznie, szczerze opowiadał o swych kłopotach i domowych sprawach, które pani Taida znała od 82

dawna, i wciąż wracał do jednego.

- Proszę pani, muszę się ożenić dla dzieci. Nie będę patrzył na wiek ni na fortunę, byle miała dobre serce dla sierot. A to trudno znaleźć, bo niskiej kondycji nie chcę, a szlachcianki się krzywią na ten drobiazg.

- Znajdzie się, panie Wawelski! - pocieszała go pani Taida. - Słyszałam tylko, że słusznie się dzieci

pańskich boją, bo podobno straszne urwisy?

- Może być. Ja je mniej znam niż sąsiedzi, a prawdę powiedziawszy, nie mam serca sierot bić ni karcić!

- Już to myślę, że pan będzie jeszcze nieraz pokutował za swe miękkie serce.

- Cóż robić. Taka już natura. Nie mogę patrzeć na żadną słabość albo niedolę obojętnie.

Panna Klara coraz więcej nabierała sympatii dla tak szlachetnego mężczyzny. Lęk jej zupełnie odleciał. Pan Wawelski dostał nazajutrz o świcie doskonałej kawy ze śmietanką, a na południową przekąskę spory pakiecik wędliny z buteleczką dobrej wódki i tabliczką czekolady.

Szczęśliwy człowiek, trafił do najoschlejszego serca, jakie kiedy biło w piersi kobiecej.

Drzwi, łączące pokój z pokojem mężczyzny, zamknęła panna Klara na dwa spusty, zawiesiła dywanem i zastawiła komodą. Była bezpieczna w swej panińskiej twierdzy, ale po tygodniu zatroskała się o los kwiatków i uzbrowiwszy się w odwagę i polewaczkę, odsunęła komodę i dywan i weszła pierwszy raz w życiu do pokoju mężczyzny. Jakże jej serce biło!

Wawelski był na robocie. Pokój, jak zwykle pokój męski, gościnny, zostawiony na opiece służby, był źle sprzątnięty, zarzucony odzieżą brudną, posłanie nieporządne, zmięte. Panna Klara jak złoczyńca podlewała 83

kwiatki, ale ogarniało ją współczucie dla samotnika, który był bez kobiecej opieki. Potem, nie wiem, skąd jej to przyszło, ale poprawiła posłanie, ułożyła porządniej rzeczy, wydała świeżą pościel i umknęła do swej fortecy.

- Zrobiłam miłosierny uczynek - tłumaczyła przed sobą, chociaż w katechizmie o takim nie było mowy.

Wawelski, wywdzięczając się za dobre jadlo, przychodził na gawędkę w niedzielę do jadalni i dokazywał

cudów, bo na smętne lica panny Klary potrafił wywołać uśmiech. Przyszła i na nią kolej zwierzeń i opowiedziała mu swe dzieje. Świetność rodu, delikatne wychowanie, dostatek - potem ruinę, sieroctwo i walkę o byt. Miękkie jego serce wnet

zabiło współczuciem dla jej niedoli i wyznał jej to szczerze. Wtedy to jej dusza się rozplynęła, bo nareszcie była zrozumiana, i przez kogo - przez mężczyznę!

Miesiąc minął niepostrzeżenie. Pewnego dnia zładowano na bryczkę instrumenty i geometra się pożegnał.

Przypadkiem panna Klara była sama w jadalni, gdy wychodził.

- Żegnam pana! - rzekła głuchym głosem podając mu rękę.

- Mam nadzieję - do widzenia! - poprawił. - Była pani dla mnie tak dobra, tak łaskawa, że byłbym niewdzięczny, gdybym nie odsłużył. Będę pani wyglądał

na sumie w niedzielę.

I pocałował jej rękę.

Panna Klara chciała krzyknąć, wyrwać rękę, ale zanim się zdecydowała, on już odszedł, a ona tarła rękę o suknię i patrzyła za odjeżdżającą bryczką powtarzając w myśli:

- Do widzenia, na sumie w niedzielę. Jak on mnie 84

rozumie!

I pojechała na sumę raz i drugi. Pani Taida dawała konie trochę mrucząc, ale że panna Klara ostatnimi czasy mniej była religijna i nudna, więc czyniła też ze swej strony uprzejmości.

Jednakże trochę się moja bigotka poprawia -

myślała. - Czy ja do niej nawykam, czy ona pracuje nad sobą, ale może się wreszcie zżyjemy z sobą. Zawszeć pewniejsza trochę starsza!

Aż tu piorun z jasnego nieba spadł pewnego dnia na Rudę. Był to Wawelski w swej kałamaszce, ale bez łańcucha i narzędzi, ustojony, wygolony, z miną uroczystą, i kazał się meldować pani Taidzie.

Wyszła do niego mocno zdziwiona, a on po swojemu, bez żadnego wstępu, rzecz zagaił:

- Przyjechałem prosić panią o sankcję i błogosławieństwo i przeprosić, że małżeństwem kłopot pani uczynimy, ale że mi dla dzieci spieszno, więc pani w moje położenie wejdzie i daruje.

- Co takiego? Z kimże się pan żenisz?

- Z panną Klarą.

- Czyś pan oszalał! - zawołała szczerze pani Taida.

- Nie, proszę pani. Przy zdrowych zmysłach jestem i wszyscy mi winszują, i ksiądz dziekan, i doktor, i aptekarz.

Nie mogłem lepiej trafić; panna Klara jeest obywatelską córką, bogobojna, łagodna i uległa, lata ma stałe i skłonność do mnie, a że sierocie dam dom i opiekę, to i zasługę mieć będę. Wszystko rozważywszy, postanowiliśmy się pobrać.

- Więc ona się zgadza? Porozumieliście się?

- A jakże, proszę pani, dała mi słowo wobec księdza dziekana po sumie, zeszłej niedzieli. Nawet już obiecała 85

bielizną kościelną się zajmować. Do naszego połączenia brak tylko zgody pani; uzyskawszy ją, dam na zapowiedzi.

- A dawaj pan, dawaj! Jesteście oboje pełnoletni, jeśli nie pełnomyślni. Zaraz tu panu przyślę narzeczoną.

Poszła po pannę Klarę i znalazła ją w "celi" zajęta szyciem. Ołtarzyk był mocno okurzony i paliła się przed nim już tylko jedna lampka.

- Jest tu pan Wawelski i mieni się narzeczoną pani. Dlaczegoż dotychczas nic mi o tym pani nie mówiła?

Panna Klara oblała się łuną dziewiczego rumieńca.

- Nie śmiałam - szepnęła. - On, jako mój przyszły opiekun i głowa, powinien mnie uprzedzić.

- Czy pani zastanowiła się nad obowiązkami, które panią czekają, czy pani im podoła?

- Spełnię mężnie swe powołanie. Portem kobiety jest uczucie!... Na to nas Bóg stworzył.

- Pani się tedy nawróciła, wiesz. Ale oprócz uczucia pan Wawelski ma troje dzieci, gospodarkę. Trzeba będzie tego pracować.

- Przy nim nic mi nie straszne! - wyszemrała panna Klara.

- Ano, to niechże pani wyjdzie do narzeczonego i oznaczy termin zapowiedzi. Z mojej strony żadnych nie będzie przeszkód. Otóż pani na samej sobie się przekonała, jak w sprawach uczuć trzeba być dla bliźnich pobłażliwą.

Niech pani z tej nauki na przyszłość skorzysta.

- Nie zapomnę nigdy, że w domu pani szczęście mi zaświtało. Niech pani sierocie matkę zastąpi do końca.

W jakiś czas potem przybyło w starej księdze:

"Pobrali się, no, dzięki Bogu, że tak się skończyło.

Teraz już i dojrzałym, i przejrzałym pannom nie będę ufała.

Ta nic nie darowała: ani białej sukni, ani welonu, ani 86

pomarańczowego wieńca, ani jåkanej trwoźnie przysięgi.

Istny podłotek. Pokazało się z metryki, że ma trzydzieści siedem lat! A ten Wawelski, przekonałam się, że ją wziął



dla obywatelskiego rodu, żeby się przed aptekarzem pochwalić.

Z wielkiego zajęcia i pośpiechu zostawiła tu swój ołtarzyk. Musiałam go sama rozebrać i odesłać. Zdaje się, że zostanie w skrzynce, jeśli go dzieci Wawelskiego nie porozciągają po kawałku na wszystkie strony. Lżej mi jest w domu bez pomocy i dużo wody upłynie, zanim mnie namówią na udzielenie pracy “samodzielnym kobietom”.

Na razie łatwo to było rzec pani Taidzie.

Kazio przyjechał, więc objuczyła go połową swych ciężarów i nie chciała słyszeć o towarzysze.

Stanowczo coraz więcej była rada z Kazia. Czuła w nim powołanie do roli, zapal do pracy, a przy tym nad wiek zastanowienie i powagę.

Przez ten rok praktyki za granicą nabrał lepszych form i ogłady towarzyskiej, ale patrząc na postęp niemiecki rwał się do zmian, ulepszeń, innowacji. Roili mu się rasy poprawne bydła, narzędzia, nowe gatunki zbóż, opowiadał

cuda o rezultatach i wtedy się zapalał, ożywiał. A pani Taida przerywała jak uosobienie arytmetyki:

- I owszem. Znajdź, na czym zaoszczędzić, a dam ci wkład na tamto. Gotówka należy do Włodzia.

Więc mózg Kazia pracował i tym tylko zajęty nie szukał ni rozrywki, ni swawoli.

Chodził jak zwykle na polowanie tylko, ni sąsiadów, ni kobiet nie był ciekaw.

Po trosze niepokoiło to panią Taidę. Prawie gwałtem wyprawiła go do siostry na imieniny, gdzie zjazd bywał

liczny.

Na odjezdnym dała mu staroświecki pierścionek z soliterem i rzekła mimochodem:

- To rodzinna pamiątka. Już trzecie pokolenie nim się zaręcza. Niechże ci służy. Jesteś już dorosły, więc czas ci pomyśleć, że i ciebie zaręczyny czekają. A im rychlej, tym lepiej, bo sam wiesz, jak ci w życiu i w domu pomoc potrzebna. Ja już z pola schodzę i niedługo podam się do dymisji.

Kazio popatrzył na pierścionek bez wielkiego zapału.

- Jeszcze go gdzie zgubię! - rzekł. - Niechby go mama jeszcze schowała. Ja tu nie mam ochoty z pannami się zabawiać.

- Masz czy nie masz, a musisz. Trzeba ci gospodyni, towarzyszki, pomocnicy. Rozglądaj się i szukaj, bo za dwa lata musisz się żenić. Jak sam się nie zdecydujesz, to ja ci wybiorę, a starym kawalerem nie dam ci zostać. To nie żarty, to obowiązek, który spełnić trzeba. Pisze mi ciotka, że są tam dwie panny: jedna Piotrowska, a druga Gruszecka, bardzo dobre partie. Zapoznaj się z nimi i powiesz mi, jak ci się podobały! No, jedźże szczęśliwie.

Możesz i tydzień zabawić, a jeśli ci się zdarzy lejcową kasztankę przehandlować, to dobrze.

Pojechał tedy Kazio, ale już czwartego dnia był z powrotem.

- No i cóż? Jakżeś się bawił?

- A dobrze. Kasztankę przehandlowałem z panem Piotrowskim. Wziąłem karą i trzydzieści rubli.

- No a panna podobała ci się?

- Panna jak wszystkie. Robi herbatę, rozmawia o książkach, narzeka, że wieś nudna, trochę ogrodem się zajmuje.

- A ładna?

- Nie w moim guście.

- Więc przecie masz swój gust. A była jaka odpowiednia? Tańce były?

- Były. Kręciłem wszystkie po kolei, ale żadnej nie zapamiętałem. One się silą być jedne do drugich podobne.

Jakby kto katalogi różnych fabryk maszyn przeglądał.

Wszędzie to samo. Żeby im naznaczono konkursy prób jak maszynom, a tak siedzą rzędem pod ścianą i kto ich tam pozna, dobra czy zła - po etykietce i po cenie!

- Bardzo jeszcze jesteś głupi i smarkacz! - burknęła pani Taida nierada z eksperymentu.

Cztery dni nie miała koni, wróciły zdrożone, koło w bryczce trzeba było przeciągać, furman jakiś zbuntowany i

- wszystko to, żeby w rezultacie ten dziki chłopak porównywał panny do młocarni lub drapacza. Stanowczo jest jeszcze za głupi i nieokrzesany.

Rozgniewał ją i raptem przypomniała sobie mały z nim rachuneczek do załatwienia.

- Powiedz no, zapomniałam dotychczas się spytać, po coś ty po wakacjach jeździł do Genewy?

- Na wystawę inwentarza! - odparł najspokojniej.

- Aleś Stasię Ozierską wynalazł.

- To nie było trudno. Ona tam się uczy.

- Cóż to - może to ta jest w twoim guście?

Kazio popatrzył na matkę z wyrazem zupełnie szczerego zdziwienia. Można było ręczyć, że sam sobie nawet tego pytania nigdy nie zadawał.

- Albo ja wiem. Nigdy o niej jak o kobiecie nie myślałem! - odparł. - Ona tak do innych niepodobna.

Pani Taida była znowu z siebie niezadowolona.

- Masz tobie! Jeszcze gotów zacząć myśleć! - rzekła 89

sobie w duchu.

A głośno dodała:

- No, chyba że taki dziwoląg nie ma wielu podobnych - szczęściem! W normalnych warunkach dla takiej nie ma miejsca! Chodźmy obejrzeć tę karą klacz!

Po tej próbie odłożyła zamiar małżeństwa do przyszłego roku.

Znowu lato jak sen minęło. Było dla Rudy pomyślne. Przed zimą pełne były stodoły i brogi, piękne runie, ceny zapowiadały się dobrze, tylko pani Taida została znowu samotna na długie wieczory, słoty i mrozy.

Włodzio ją odwiedził w październiku, ale długo nie mógł

bawić. Zresztą ten nie był wcale wyręczeniem ani pomocą.

- Ale mam dla mamusi ideał towarzyski - rzekł raz wśród opowiadań o swych stosunkach towarzyskich.

- Twoja rekomendacja wcale nie wzbudza we mnie wiary i zaufania. Próbowałam już różnych samodzielnych kobiet. Dziękuję!

- To wcale nie jest samodzielna kobieta. Ma ojca, matkę, rodzeństwo i narzeczonego, i nawet nie uboga.

Naręczony kończy prawo, czekają na siebie. Bezczyność i powietrze miejskie jej nie służy. Zupełnie bezinteresownie zajęłaby się tutaj. Jak mama się zdecyduje, proszę do mnie słówko napisać, a ja rzecz załatwię.

- Może się obejdę. Kazio na przyszły rok wróci, ożenię go.

- Oho, tak się to mamie wydaje łatwo. Czemu mama o mnie nie pomyśli, ja starszy i gotów choć jutro do ołtarza, a Kazia mama nie namówi.

- To się mylisz. Kazio zrobi, co zechcę, a ty gotówes zrobić, czego ja nie zechcę.

- No, zobaczy mama, jak nas fałszywie sądzi.

- Cóż to za zagadki? Wiesz co o Kaziu? To mów.
- Mnie się zdaje, że on się kocha w Stasi Ozierskiej.
- Pleciesz jak na mękach! - oburzyła się.
- Tylko ona go nie chce! - dokończył nie zrażony.
- Skądżeś to wysnuł? Chyba nie z ich zwierzeń?
- Nie. Mam przeczucia i obserwacje.
- Et! - machnęła ręką pani Taida.

Zamyśliła się i spytała:

- A ta twoja protegowana ma jaki taki ład w głowie?
- Ależ jak najlepszy. Zupełnie przyzwoita i miła panienka. No i ładna, i wesola, ale zakochana w swym Karolu i niezalotna. Serio mówię, że by się mamie podobała i dogodziła. Proszę spróbować na czas jakiś.
- Czymże ona się zajmuje?
- Daje lekcje.
- A ten jej Karol gdzie?
- W Kijowie, w uniwersytecie.

Więcej pani Taida nie pytała.

Ale koło Nowego Roku napisała do Włodzia:

“Jeśli ta panna, o której wspominałeś, jest do wzięcia, to spróbuję raz jeszcze. Naturalnie za wynagrodzeniem miesięcznym! W całoroczną wytrwałość już nie uwierzę”.

W kilka dni potem przyszła depesza od Włodzia, że panna już jest w drodze. Posłano po nią konie do kolei, ale nie zjawiała się na dzień oznaczony. Dopiero nazajutrz zaniepokojona pani Taida zobaczyła swój zaprzęg pod gankiem. Wsiadła dziewczyna młoda, blada, anemiczna, tak wzruszona, że drżała i nie mogła się odezwać.

- Dlaczego pani wczoraj nie przyjechała? - spytała pani Taida po przywitaniu.
- Pociąg się opóźnił i furman mnie objaśnił, że nie 91

zdamy przed nocą. A ja się tak okropnie boję jechać w nocy.

- Czego? Droga prosta i szeroka.

- Ale wilki mogły napaść i zbójcy po lasach. Tak sama, tyle mil... Nie mogłam się odważyć. Przenocowałam na stacji.

- Pani chyba nigdy z miasta nie wyjeżdżała?

- Owszem. Co rok wyjeżdżamy na letnie mieszkanie.

- To chyba tam widziała pani wilki i zbójców, bo tu tego nie znamy.

- A furman mi opowiadał, że często je spotykał i raz go omal nie pożarły.

- Plótł bajki, żeby panią zabawić.

- Niemiłosierny, a ja drżałam z bojaźni! -

uśmiechnęła się panna uspokojona.

Pani Taida wprowadziła ją do jadalni i zaprosiła do stołu.

- Dziękuję pani, nie głodnam i mam tak szaloną migrenę ze wzruszeń i zmęczenia, że tylko marzę o spoczynku.

- Niechże się pani w swoim pokoju rozgości i położy.

Nowo przybyła zgodziła się chętnie, a miała w sobie nie lada wdzięk, kiedy pani Taida pozostała chwilę w jej pokoju gawędząc, a potem zajrzała raz jeszcze i słysząc, że nie śpi, spytała, jak się czuje.

- Bardzo mnie głowa boli - odparła łagodnie dziewczyna.

- Często na to pani cierpi? - zagadnęła pani Taida siadając na łóżku.

- O, bardzo często. W ogóle mam marne zdrowie! -

westchnęła.

- Trudno pracować w takich warunkach.
- Mam nadzieję, że mi wieś posłuży! Tak bardzo jestem wdzięczna pani za łaskawą propozycję. Ze wszystkich sił będę się starała dogodzić.
- No, no, nic! Niech pani stara się zasnąć i nie bierze tak bardzo do serca swych obowiązków. Nie zakatuję tu pani.

Pogładziła ją po głowie i wyszła.

Tego wieczora zapisała w swej szarej księdze:

“Zdaje mi się, że zamiast wyręczenia Włódzio mi przysłał pacjentkę, której nie mógł w mieście nic pomóc.

Będę dozorczynią swojej pomocnicy! Oto jest wybór doktorski. Ale ta jest pierwsza, która mi się podobała, wzięła za serce. Dobrze musi być stworzenie, a takie wątłe i blade, że ochota bierze odpaść jak zamorzone ciele.

Ale, wielki Boże, co też tym kobietom w głowach świta z tą samodzielną pracą, z tą walką o chleb. Konia kują, a żaba nogę nadstawia! Krwi to nie ma, mięśni nie ma, cienkie, chude, wątłe, ale bierze się za bary z życiem i chce sama podołać!”

Nazajutrz panna Irena wstała wcześniej i widocznie starała się stać użyteczną, bo okurzyła i podlała kwiatki w doniczkach, poukładała w salonie książki i gdy pani Taida przyszła na śniadanie, zaraz się dopominała o klucze i zajęła się herbatą, a potem poprosiła o robotę.

- Umie szyc, proszę pani, księgi kasowe prowadzić, robię sztuczne kwiaty, jak mówią, wcale nieźle, uczyłam się introligatorstwa, rysunków, a muzykę posiadam, bo dawałam lekcje. Mogę też przygotowywać dzieci do trzeciej klasy gimnazjum i chodziłam przez lato na kursy pszczelnicze.

Nic z tego nie potrzebowała pani Taida, ale aż zdumiała nad ilością fachów.

- I po cóż pani się uczyła tylu rzeczy naraz?

- Próbowałam wszystkiego po kolei, żeby mieć zajęcie, nie być na łasce rodziców.

- Ależ te wszystkie nauki opłacali rodzice. Ładna ulga, nie ma co mówić! Teraz rozumiem, gdzie pani straciła zdrowie. To te "na próbę" i kursy. A chleba nic nie dało?

- Nie! - wyznała szczerze panna Irena. - W

Warszawie więcej jest szwaczek niż sukien, pani nie ma pojęcia, jak są wyzyskiwane i źle płatne. Zresztą, to moje małe zdrowie poczęło szwankować, musiałam zaprzestać.

Z kwiatami było to samo. Wtedy się nauczyłam buchalterii, mam patent, ale pomimo starań i ogłoszeń nie mogłam znaleźć posady. Teraz wszystkie kobiety do tego się rzuciły i dlatego spadła cyfra wynagrodzenia. A ja jestem nieśmiała, nie umiem się targować ani prosić i że marnie wyglądam, ubiegały mnie śmielsze i zdrowsze.

Introligatorstwo chybiło także, do rysunku nie miałam większych zdolności, muzyka dała wreszcie chleb, alem do reszty zdrowie zerwała i nerwy rozstroiła dając po dziesięć godzin lekcyj. Wtedy nauczyłam się pszczelarstwa, ale na te posady nikt nie chce brać kobiet. Nie ufają, a przy tym mężczyźni zarazem uczą się stolarstwa, robią ule, a my na to nie mamy sił. I tak nic mi się nie opłaciło, a tak serdecznie uczyłam się każdej rzeczy. Siedem lat już walczę na próżno.

Pani Taida, zrazu oburzona takim zmarnowaniem czasu i pieniędzy, wobec szczerości tej spowiedzi nie śmiała wystąpić z ostrą krytyką.

- Żeby pani zamiast takiego błądzenia w lesie 94

fachów wyszła po prostu za mąż w lat osiemnaście, trafiłaby pani na najodpowiedniejszy obowiązek i pracę.

Ale wy teraz wszystkie macie bzika na punkcie samodzielności.

Panna Irena uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie bzika, ale chęć dopomożenia mężowi w walce o byt, która co dzień cięższa. Nie chciałoby się być ciężarem, zabawką lub meblem tylko, ale pomocą.

- A cóż to wy myślicie, że przed wami kobiety nie miały tyleż rozumu i ambicji, że choć nie miały patentu z siedemnastu zawodów, nie pracowały. Brednie! Tylko o tym się nie mówiło jak o jakimś niesłychanym bohaterstwie. Naturalnie, bywały i flądry, i lafiryndy, ale niech wam się nie zdaje, że i wśród was takich nie ma. Nic nowego pod słońcem, ale wy, doprawdy, wyprodukujecie coś nowego.



Bo chyba nigdy nie było tak wątych, słabych organizmów, słabych nerwów i zniszczonego zdrowia jak wasze wskutek zamęczania się nieprodukcyjną nauką.

Wykoślawicie ludzkość i tyle!

Panna Irena spuściła oczy.

- To prawda! Dlatego też ja nie wyjdę za mąż.

- A syn mi wspominał, że ma pani narzeczonego.

- Miałam, ale mu odmówiłam! Jakże bym miała sumienie obarczać kogoś sobą.

Była smutna szczerłość w jej tonie i spojrzeniu.

Panią Taidę żal ogarnął.

- No, no! nie trzeba żyć w ostatecznościach. Poprawi się pani, wypocznie, nerwy się wzmocnią i zdrowiej zacznie pani myśleć i czuć. Młoda dziewczyna, która wyrzeka się miłości, jest albo fałszywa, albo chora. Pani na fałszywą nie wygląda.

- Nie, o, nie! - składając ręce zawołała panna Irena.

- No, a teraz postanówmy, czym się pani zajmie.

Szyć jest mało co, wystarczy na to wieczora, o kwiaty chyba panią proboszcz poprosi na maj. Księgi rachunkowe prowadzę całe życie sama, choć bez patentu na buchalterkę; uczyć tu nie ma kogo. Ruch dla pani będzie konieczny. Niech się pani zajmie domem i ogrodem.

Właśnie zakładają tu inspekta.

- Mój Boże, czemuż nie uczyłam się ogrodnictwa.

- Dzięki Bogu, że nie! Ogrodnika mam, pani go dopilnuje tylko codziennie, a zresztą ja panią nauczę, co i kiedy ma być zrobione. Zajmie się pani śpizarnią i porządkiem w domu, chyba to pani umie?

- Chciałam chodzić do szkoły kucharek! Szkoda, byłabym może użyteczniejsza teraz. Ale mama się oparła i tak się to odwlekło.

- Bardzo szczęśliwie, bo już chyba uczyniłby się z tego wszystkiego bigos w głowie! - odparła pani Taida uśmiechając się z tej manii nauki.

Dziewczyna z wielkim zapałem wzięła się do zajęcia. Przez kilka dni chodziła krok w krok za panią Taidą patrząc, dziwiąc się wszystkiemu, przerażona bydłem, psami, końmi, nawet ustępowała z drogi przed indorem, a do każdego chłopca mówiła "pan". Nie знаła i nie rozumiała gospodarstwa wiejskiego, wpadała w zachwyt lub w podziw nad każdą rzeczą, pytała o nazwy zbóż i rozróżnić ich nie mogła, płakała, gdy ładowano cieleta na rzeź, bawiła się z jagniętami w owczarni, powtarzając z dumą:

- Tyle wszystkiego i do pani należy - i pani wszystko umie i zna, i rozumie! O, jaka pani mądra.

Pani Taida uśmiechała się pogłaskana uznaniem.

- Ano, niewielka sztuka. Całe życie jedno robię, to 96

się i zebrało, i nauczyło. Nie mądrość mnie utrzymała, ale wytrwałość. Dzięki Bogu, chłopcy nie zmarnują mej pracy i za matkę się pomodlą po śmierci.

- Pan Włodzimierz to bardzo panią kocha. On zawsze żartuje, nigdy nie mówi serio, tylko o pani. Wtedy czyni się poważny, jakby o świętości mówił. Zawszem go na takie rozmowy wyciągała, żeby mi o pani opowiadał, i tak marzyłam, by do pani pójść na naukę.

- To Włodzio często bywa u państwa?

- Mieszka w tej samej kamienicy i przeszłej wiosny, gdym zachorowała na zapalenie płuc, ojciec go zbudził w nocy i przyprowadził. Wyleczył mnie, a potem zaczął

bywać jak sąsiad, wieczorami. Takeśmy się zaprzyjaźnili.

Podejrzliwa pani Taida nie zauważyła nic szczególnego w jej tonie i wyrazie twarzy, tylko że dziewczyna pomizerniała jeszcze bardziej i pokaszliwała.

- Za wiele używała pani powietrza i ruchu. Czy panią co boli?

- Nic - prawie nic! Trochę w boku kole. Ale to się często zdarza, przejdzie.

Ale nazajutrz musiała w łóżku pozostać, chociaż się rwała do roboty. Pani Taida była stanowcza, wzięła ją w kurację domową, a potem pilnowała jak dziecka.

Dowiedziała się z rozmowy, że w Warszawie prawie całą zimę chorowała, miała setki recept, straciła zupełnie sen i apetyt, nikła w oczach. Tedy jej ambicje dobrej gospodyni poruszyła chęć, by to biedactwo odżywić i wyleczyć. Ograniczała jej zajęcia, pilnowała ciepłego ubrania, karmiła starannie. Co prawda, pomocy i teraz nie zdobyła sobie, raczej nowe zajęcia, ale rzecz dziwna, nie narzekała nawet w swej szarej księdze.

Co prawda, panna Irena była zupełnie inna niż jej 97

poprzedniczki, ta chciała wszystko robić, wszystkiego się nauczyć, wszystko spełnić i gorzkie łzy wylewała, gdy nie mogła podołać.

- Proszę pani, ja jestem tu pasożytem. Ja tak beczynnie nie mogę istnieć. Mnie wstyd!

- To wstydź się, pani, ale tego, żeś taka blada, chuda, że mało jesz i że czytasz w nocy, zamiast spać. Jak się pani z tego poprawi, dam robotę, a tymczasem cicho być i słuchać mnie! A jeśli pani chce zasłużyć, proszę zagrać.

Tak, rzecz niesłychana, w Rudzie nastrojono stary fortepian i wieczorami grywała panna Irena. Grała ślicznie: zdarzało się, że pani Taida słuchając opuszczała ręce z robotą na kolana, żeby sobie wrażenia niczym nie rozpraszać.

Wtedy mruczała gderliwie:

- Takie miłe dziecko. Szczęściem by komu stać się mogła, żeby nie ta przeklęta emancypacja! Zmarnowała siły i zdrowie - taka szkoda!

Czytać w nocy w łóżku zabraniała pani Taida, ale dopilnować nie bardzo mogła, bo miała sen zdrowy, a wstawała o świcie. Ale przecie pewnej nocy wstała i cichaczem poszła na przszpiegi.

W pokoju panny Ireny paliło się światło, zastała ją nad książką przy stole.

- To tak! - napadła z góry. - To zamiast spać, pani czyta jakieś głupie romanse. Gdzie jest klucz od biblioteki?

Proszę mi go oddać.

Dziewczyna przerażona podała klucz, ale poczęła z płaczem tłumaczyć się i przeproszać:

- To nie romanse, proszę zobaczyć! Ja się uczę ogrodnictwa i przypominam sobie botanikę. Mnie taki  
98

wstyd przed ogrodnikiem!

Istotnie wertowała botanikę. Pani Taida zabrała książki oburzona.

- Zabraniam pani uczyć się czegokolwiek i umieszczę panią za karę w pokoju obok mojego, dla kontroli. A jak pani ośmieli się czego uczyć, napiszę do rodziców, że pani się zabija, mnie nie słucha, najgorzej postępuje. Zaraz proszę się kłaskać! Czy pani nie czuje, że ma bzika z tą nauką?

- Ależ ja nic nie umiem, nic nie robię. Darmo jem chleb pani. Ja czuję, że ogrodnictwo to moje powołanie -

jęczała panna Irena.

- To ostatecznie ucz się go pani w dzień.

Tymczasem zaś powołaniem pani jest nabrać sił i słuchać mnie.

Co dzień odbywały się podobne sceny. Dziewczyna była opętana żądzą nauki i pracy.

Szczęściem miało się ku wiosnie, więc można było dać jej więcej swobody bez strachu o przeziębienie. Była też zdrowsza, marcowe wichry ją opaliły, powietrze pobudzało apetyt, dreptała dzień cały po ogrodzie, znosząc pani Taidzie pierwsze pierwiosnki i fiołki, zanudzając ją pytaniami ogrodniczymi.

- Pani wszystko umie! - zachwycała się szczerze.

Pewnego dnia zajęła się też pasieką i wróciła spuchnięta, zapłakana. Nie z bólu, ale z rozpacz, że

nie umie z pszczołami się obchodzić, kiedy ją tak tną niemiłosiernie.

- Nie dosyć się uczyłam - biadała - za krótko chodziłam na kursy.

- Bzik! - mruzczała pani Taida. - Niech się pani opamięta. Cierpliwości lat parę i praktyki.

- Ja jestem za głupia widocznie. Nie mogę sobie dać rady. Cały dzień przesiedziałam w pasiece, na nic już nie miałam czasu. Co by to było, żebym miała tyle roboty co pani!

- Ależ dziecko! Ja mam siwe włosy, trzydzieści lat wprawy, całą armię dozorców i służby. Mój obowiązek inny. Pani na swe wątle siły dość robi. Nie można się tak ciągle dręczyć. To pani kradnie energię.

Ale próżne były perswazje. Panna Irena była zawsze niezadowolona z siebie, w ciągłej trosce, żeby osiąść wszystkie fuchy i wszystko wypełnić.

Dopiero gdy musiała odleżeć swą zapalczywość do roboty, pokorniała, obiecywała poprawę, posłusznie słuchała gderania i ledwie na nogach, znowu robiła swoje.

Na Wielkanoc niespodzianie zjawił się Włodzio.

Ucieszyła się pani Taida, ale radość krótko trwała.

Przywiózł smutną wieść, że Oziński nagle zmarł z aneuryzmu, a żona z rozpaczy prawie od zmysłów odchodzi.

- Siedziałem nad nią trzy dni! - opowiadał. -

Rozesłałem depesze do wszystkich córek i wie mama, która przyjechała? Najmniej spodziewana - Stasia. Tamte się wymówiły, jedna chorobą dziecka, druga brakiem funduszków. Siedzi bo gdzieś niedaleko Chin! No, jak się ożenię, a będę miał córki, jednej nie dam za męża, żebym miał choć w chorobie ratunek. Przyjechała Stasia, choć traci półrocze najważniejsze, ostatnie. Ale wcale się nie targowała, ani wspomniała. Zajęła się chorą bardzo starannie i umiejętnie; byłem zachwycony i wyznałem jej to - chciałem nawet w rękę pocałować. Na to mnie zwymyślała i wyrzuciła za drzwi! Co do towarzyskich zalet widoczne jest, że na te kursy nie uczęszczała.

- Jak to, nie podziękowała ci za starania i opiekę?

- Owszem, zaraz na wstępie, po swojemu, szorstko.

Ale gdzie panna Irena? - obejrzał się.

- W ogrodzie zapewne! Ale Ozierska wyzdrowieje, jak myślisz?

- Mam nadzieję, że tak. A mama z niej rada?

- Z Ozierskiej? Co ty pleciesz!

- Ja o panie Irenie myślałem.

- Ach, o niej! Powiem ci otwarcie, że chociaż pomocy z niej mało, ale radam. Ma bzika, ale dobra dziewczyna.

- Mam do niej list od rodziców. Wzywają do siebie.

- Po co? Właśnie zaczęła nabierać sił i zdrowia.

- Tęsknią starzy po niej.

- Otóż to mój los i pociecha z obcych towarzyszek.

Ledwie sobie jedną dobrała, zabierają. Znowu szukaj, przebieraj i dostań jakiegoś cudaka.

- Więc to ja mamie dogodziłem! - uśmiechnął się Włodzio. - Teraz, jak sobie żonę wybiorę, mama na niewidziane da błogosławieństwo.

- No, mam nadzieję, że tylko sobie na żonę wybierzesz zdrowszą i silniejszą. Masz zapewne dosyć chorych i kuracyj poza domem. Ale dobrze, żeś przyjechał.

Mam dla ciebie setkę pacjentów, a chłopci wciąż się dowiadują, "kiedy nasz doktor przyjedzie". Już to Dysi nikt nie zastąpi. Panie Irenie nawet nie wspomniałam o chorych, boby desperowała, że jeszcze się nie uczyła medycyny, a dość i bez tego desperuje! Bzik jest! Jakiż fundusz zostawił Ozierski? Nie wiesz?

- Wiem, bom widział testament. Wcale nieźle zebrał.

Każda z córek i matka będą miały po piętnaście tysięcy.

Czy dawno mama miała list od Kazia? Nicpoń do mnie się 101

nie odzywa od pół roku.

- Ja mam list co tydzień, ale jak go znasz, nic o sobie nie pisze - tyle że zdrow. Dzięki Bogu, że już w czerwcu wraca na stałe.

- Może byśmy poszli do ogrodu? - zaproponował

Włodzio coraz niespokojniejszy.

- Idźże sam. Ja mam dosyć spacerów. Przygotuję ci tymczasem jedzenie i pokój.

Włodzio wyszedł na ganek i obejrzał się naokoło.

Zewsząd pachniało wiosną i świergotały ptaki. Poszedł w szpaler grabowy, potem ścieżką wśród kwitnących jabłoni; nigdzie nie widać było panny Ireny, której szukał.

Dopiero mignęło mu coś w inspektach i tam ją znalazł nad grzędami rozsady. - Dobry wieczór pani! -

zawołał radośnie. - Szukałem pani wśród bzów, a znajduję przy sałacie.

- To nie sałata, ale kapusta - odparła podając mu rękę.

- Mniejsza, jakie tam zielsko kuchenne. Ale pani się nie wydaje ani zdziwiona, ani bardzo uradowana moim niespodziewanym widokiem. Warto było lecieć z Warszawy na takie obojętne przyjęcie.

- Kiedy mi już ogrodnik pana przybycie ogłosił.

Miałam czas zebrać zmysły - rzekła żartobliwie.

- I nawet pani nie odstąpiła kapusty, by mnie powitać.

- Mówię panu, zbierałam zmysły.

- Widzę dużo nowych nabytków w pani. Nabrała pani zdrowej cery, trochę ciała i dużo sarkazmu. To ostatnie w największej dozie - stanowczo. Skądże ten ostatni nabytek?

- O, to nietutejsze. Korzystałam jeszcze w 102

Warszawie z pana przykładu, uczyłam się, teraz praktykuję.

- No, no! Żeby tak dłużej wiejskiego powietrza, pobiłaby pani profesora. Szczęściem, rodzice stęsknili się za panią i wzywają do siebie.

- Jakaś wczorajsza widocznie tęsknota, bo wczoraj miałam list i pozwalają mi zostać, o ile tylko pani Skarszewska zechce. - Tak, ale się rozmyślili i przeze mnie piszą, żeby pani wracała.

- O, przez pana. Są tęsknoty, które mnie wcale nie rozczulają. Możemy iść do domu.

Włodzio, który się rozsiadł do dłuższej gawędy, zaprotestował.

- No, a ta kapusta? Pani była nią tak zajęta. Ja mogę zaczekać, aż pani skończy - nie głodnym.

- Niech się pan nie poświęca. Wrócę tu, gdy pan będzie odpoczywał po podróży.

- Aj, panno Ireno! Zapowiedziałem, że się pani mnie nie pozbędzie. Ja przysięgi dotrzymuję.

- Dobrze, że pan to mówi za siebie, dlatego wierzę! -

rzuciła, odchodząc szybko w stronę dworu.

Poszedł za nią wcale nie zrażony.

- Rodzice zdrowi? Dawno pan był u nas? - spytała.

- Zdrowi. Byłem zawczoraj po list. Mam też dla pani paczkę od matki.

- Po cóż przysyłają paczkę, kiedy mnie wzywają do powrotu?

Na tę logikę nawet Włódzio się zmieszał.

- A, bo - zająknął się - paczkę dali pierwiej, a potem zamiar zmienili, a ja zapomniałem paczkę odesłać. Nic nie szkodzi, zabierze ją pani ze sobą. Ja wyjeżdżam w czwartek - razem pojedziemy.

- Ślicznie pan to ułożył, ale ja nie pojedę, aż mnie 103

pani Skarszewska uwolni, a w każdym razie nie pojedę z panem.

- Dlaczego?

- Bo zwykłam podróżować sama, bez żadnej opieki.

- Ależ panno Ireno, rzecz się zmieniła, bo ja pani jeszcze nie powiedziałem wszystkiego. Ja się rodzicom oświadczyłem o panią.

Panna Irena zatrzymała się, popatrzyła na niego i ruszyła ramionami.

- Dlatego, że panu już raz odmówiła! Dziękuję panu! Teraz mi się pan przysłużył! Ano, tak, to naturalnie nie mogę tu pozostać i muszę wrócić do domu na gderanie rodziców, których pan tymczasem odurzył i intrygował!

Ale za to odpłacę panu i opowiem pani Skarszewskiej.

- To może już jak ja pojedę! - jęknął Włódzio. - Ja obiecuję czekać cierpliwie na panią.

- Niech pan nie czeka, bo ja za mąż nie wyjdę. A pani Skarszewskiej opowiem dziś jeszcze. Zanadto ją czczę i uwielbiam, abym zachowała przed nią taką tajemnicę.

- Ależ to i moja tajemnica, nasza! - szepnął



prosząco.

- Właśnie usuwam się ze wspólności.

Szła coraz prędzej, byli już na ganku.

Nagle Włodzio zwyciężył jedyną bojaźń, jaką znał -

bojaźń matki.

- A więc dobrze, niech pani mówi wszystko, ale wobec mnie. I ja powiem wszystko, czego mi pani nie pozwala sobie mówić. I owszem. Nie lękam się.

Pani Taida czekała na nich w jadalni i przyjrzała się podejrzliwie. Panna Irena miała twarz obrażoną i gniewną.

Włodzio wyglądał jak pobity, ale zawzięty do dalszej walki.

Gdyby nie obecność służącego, natychmiast wytoczyliby sprawę, ale musieli czekać spokojnego wieczora.

Zdziwiła się pani Taida, gdy oboje zażądali posłuchania razem, w sypialni, przy drzwiach zamkniętych.

Zasiadła tedy w fotelu i patrzyła badawczo to na jedno, to na drugie ani przypuszczając, co to będzie.

Panna Irena wystąpiła pierwsza, pochyliła się do jej ręki i cała drżąca zaczęła mówić:

- Proszę pani, muszę opowiedzieć rzecz od początku. Kiedy poznałam syna pani, byłam zaręczona.

Chorowałam ciężko i pan Włodzimierz przekonał mnie i rodziców, że za wąż, że mi grożą suchoty, że nie powinnam iść za męża. Narzeczonemu mojemu to samo powtarzał - no, ja w to wierzę, więc wróciłam słowo.

Pogodziłam się z moim losem, rodzice przecierpieli ze mną i jakoś spokój nam wrócił. Raptem pewnego dnia pan Włodzimierz mi się oświadczył.

Pani Taida podniosła wzrok na syna bez słowa, ale on poczuł mrówki na plecach. Potem obejrzała się na pannę Irenę i spytała ostro jak cięcie noża:

- I pani go przyjęła?

- Nie. Odmówiłam, naturalnie. I powiedziałam otwarcie, że wedle własnego jego zdania nie mogę iść za męża i nie pójdę. Wtedy zaczął się śmiać i wyznał, że mówił

to tylko, by się pozbyć rywala, a mnie dla siebie zachować.

To było okropne!

- Pani by więc wołała, żebym go zabił! - wtrącił

Włodzio. - Jakże bym się od niego odczepił?

- Powiedziałam wtedy, że odmawiam, że go nie chcę, żeby dał mi spokój - byłam okropnie oburzona.

Myślałam, że zrozumie swój niecny postępek, że się będzie

wstydził. Byłam pewna, że progu naszego nie przestąpi.

Wrócił jakby nic trzeciego dnia.

- Nieprawda, nazajutrz - wtrącił Włodzio.

- Nie powiedziałam nic rodzicom, bo mi wstyd było za pana Włodzimierza, a on ich tak oczarował, że słuchali go jak wyroczni. Wtedy zupełnie się zmienił, zabawiał

mnie zwierzeniami o swych sukcesach, przechwalał się podbojami, traktował omal jak kolegę.

- Wcale nie - chciałem wzbudzić w pani zazdrość.

- Tak, to dowodzi, jak mnie pan źle zna. Ja byłam tylko rada, że pan o mnie nie myśli. Wreszcie zapomniałam o tych oświadczeniach, uwierzyłam w pozory przyjaźni.

Rodzice wciąż chcieli mnie na wieś wysłać, doktorzy ręczyli, że wrócę zdrowa po roku pobytu, pan Włodzimierz namówił ich, by mnie tutaj oddali. Ja tak bardzo chciałam panią poznać, uległam pokusie. Jak mi tu było dobrze, jak się czułam szczęśliwa, tego wyrazić nie umiem. Nie chciałam myśleć, że to się skończy musi. Wiem, że pani więcej przysporzyła kłopotu niż pomocy, ale miała nadzieję nabrać sił, doświadczenia i przecie czym być na świecie - utrzymać się samodzielnie! Pan Włodzimierz i to mi zniszczył. Oświadczył się raptem o mnie rodzicom.

- U pani wszystko "raptem". A tymczasem już dwa lata, jak panią kocham. Dla mnie to już aż nadto długo! -

mruknął Włódzio.

- Rodzice są widocznie przekonani przez pana, że jestem wzajemna. Tak z listu wygląda, w którym piszą, że gdy tylko pan otrzyma zezwolenie swej matki, oni szczęścia naszego nie będą krępować. O moich uczuciach nawet nie wątpią; zapewne pan ich upewnił! Szkoda, że pan nie pomyślał, że ja mam wolę i na sprzedaż nie jestem, i wierzę w pana diagnozę, że za wąż do małżeństwa.

Zwróciła się do pani Taidy:

- Więc teraz trzeba mi dom pani opuścić.

Niezapomniany będzie pobyt w nim i do śmierci wdzięczność zachowam za pani dobroć i nauki.

Przepraszam za mą szczerłość, ale przynajmniej wyniosę stąd pani szacunek.

Pani Taida popatrzyła znowu na syna.

- No, a ty jak nazwiesz swe postępowanie? - spytała twardo.

- Kochaniem, mamó - odparł najzuchwalej w świecie. - Panna Irena powiedziała swoje, uczerniła mnie jak Negra i szatana. Myśli, że się wstydzę, wcale nie!

Popełniłem te wszystkie występki i jeszcze sto takich popełnię, a ją dostanę. Niech sobie to pani zapamięta. Ja zaś ze swych czynów jestem zupełnie zadowolony. Było to tak: zbudzili mnie raz w nocy do chorej. Poszedłem mruczając, spojrzałem i zakochałem się od razu na umór.

Mnie samemu to się wydaje bajeczne, ale stało się.

Próbowałem zrazu różnych sposobów, żeby się bolączki pozbyć - nie było ratunku, tedy się poddałem i powiedziałem sobie: kiedy ci serce i duszę wzięła, nie będziesz wzdychał

i ustępował z drogi losowi, tylko ją sobie zdobędziesz pomimo narzeczonego, pomimo zaręczyn, pomimo woli całego świata. Tak!

Ja zaś jestem kość z kości, krew z krwi mamy. Jak sobie postanowię, wypełnię. Wprawdzie rzadkom wypełniał zacne zamiary, ale na ten za to zebrałem wszystkie siły.

Wziąłem się tedy do narzeczonego. Chociaż panna Irena czyni z niego ofiarę moich intryg, jednak proszę to uznać, że uczucie jego nie było bardzo mocne, kiedy ani bronił, ani żądał poradzenia się powag uczonych medyków, 107

ani prosił o odłożenie wyroku. Nie - on się zgodził i dalej studiuje swoje prawo i gra w winta. Jest to najnudniejszy pedant, jaki się znalazł na świecie, i gdyby nie bezmierne uprzedzenie pani do mnie, to powinna pani mi być wdzięczna, że ją od niego oswobodziłem. Ale sprawiedliwości nie ma w duszy pani, chyba ją ją wyrobię.

Panna Irena wstała oburzona.

- Jeżeli mam słuchać dowcipów i żartów z rzeczy tak ważnych, to wolę odejść! - zawołała.

- Ja wcale nie żartuję, ale wesół jestem, bo kocham i cieszę się, że nareszcie mogę się wygadać. Przechodzę do dalszych zarzutów. Czyni mi pani winę z tego, że sobie zjednałem jej rodziców. Ale ja

ich kocham i uwielbiam, że mi wychowali taką córkę. Ja bym im nieba przychylił za to, że się na mnie poznali i są mi przychylni. Ja im zawsze będę nie zięciem, lecz synem najprzywiązańszym.

- Więc pan śmie w dalszym ciągu żywić nadzieję?

- Żywię, panno Ireno, żywię - i utrzymuję tę kochaną nadzieję, bo to nawet nie nadzieja, lecz wiara.

Przecie nie sposób, to się nie zgadza z rozumem pani, żeby się upierać nierosądnie. Bo i co mi pani ma do zarzucenia?

Jestem młody, zdrowy, przystojny, wesół i łagodny, a od czasu, gdym panią pokochał, nawet cnotliwy. Mam dobry fach, porządne stosunki, przychylność rodziców, a pani innego nie kocha, więc pokocha mnie. Co prawda, dłuży mi się nieznośnie czas oczekiwania na wzajemność, ale ponieważ trzeba być względnym na słabości ludzkie, będę czekał, aż pani swój upór pokona.

Panna Irena wybuchnęła nareszcie:

- Dostyc tego. Otóż ja zapowiadam, że to, co pan nazywa uporem, jest godnością kobiecą, której pan nie raczy uznać, a którą ja cenię nade wszystko. Nie jestem ani 108

sprzętem, ani niewolnicą, która szczęśliwa ma być z łaski pana. Wolno panu wybierać, a mnie wolno odrzucać pana, co czynię w tej chwili uroczyście, a jeśli pan potem ośmieli się mnie dalej prześladować, postępowanie pana nazwę...

Tu pani Taida zatrzymała ją ruchem ręki.

- Nie kończ! - rzekła. - Nie policzkuj go, kiedy nie możesz dać satysfakcji za obrazę. To by było nieszlachetnie. On postąpił źle, lekkomyślnie cię sądził -

teraz ja ci ręczę, że więcej przykrości od niego mieć nie będziesz.

- Przepraszam, mamó, ale ja nie ustąpię! - przerwał

energicznie Włodzio.

- Ty odjedziesz jutro do Warszawy, gdzie masz obowiązki i pracę.

- A panna Irena?

- Panna Irena nie należy do ciebie ani sprawy ze swych czynów i postanowień zdawać nie jest obowiązana.

Nareszcie, to przechodzi granice elementarnej delikatności i doprawdy nie poznaję ciebie.

Włodzio umilkł, ale wnet skombinował, że panna Irena musi do rodziców wrócić, a zatem wszystko idzie jak najpomyślniej. Po minie jego wyczytała pani Taida myśli i dodała:

- No i radzę ci zająć się usilnie pracą i nie pokazywać mi się na oczy, aż się opamiętasz i zrozumiesz, jakieś mnie dotknął i uraził.

Była to dymisja w niełasce. Włodzio się zasepił, przegrał haniebnie i cała odwaga uciekała. Jak niegdyś, gdy dostał w skórę, milcząc ucałował rękę matki, pannie Irenie rzucił piorunujące spojrzenie, złożył sztywny ukłon i wyszedł.

Panna Irena uklękła przy fotelu pani Taidy.

- Czy pani bardzo się gniewa na mnie? - spytała. -

Mam żal, żeś mi nie wyznała wszystkiego od razu.

Uniknęłabyś dzisiejszej przykrości i przykrości rodziców.

Chłopak jest jak opętany. Nie chwalebę go, ale i ty mu już daruj. Naprawdę, kto ich uczy tej zarozumiałości i pewności siebie? Same kobiety! Obałamuceni są łatwymi zwycięstwami i potem według tamtych sądzą inne! Tracą zupełnie równowagę i mają siebie za bóstwa. Dziękuję ci za zdrową naukę: to mu posłuży w życiu.

- Pani myśli, że mi już da pokój?

- Jestem tego pewna.

- A ja nie! Czy pani widziała, z jaką miną wychodził? Nazajutrz po moim powrocie przyjdzie do nas jakby nigdy nic! To mnie doprowadza do rozpacz, do wściekłości!

- Uspokój się, nie zobaczysz go, bo tutaj zostaniesz -

odparła pani Taida z uśmiechem.

- To nie może być! - zawołała panna Irena. - Ja wyjadę gdzie na służbę. Nie mogę tu zostać!

- Owszem, tu jesteś najbezpieczniejsza. Do rodziców twoich ja napiszę, wyjaśnię rzecz. Tutaj już przywykłaś do zajęcia i do mnie. Zdrowie twoje się poprawia, mnie z tobą dobrze. Włódzio cię tu nie będzie napastował, rodzice się zgodzą; wymażemy dzisiejszy wieczór z pamięci i koniec! No, idź spać i nie rozpaczaj!

Ale, jeszcze jedno: czy on ci złamał serce tą intrygą z narzeczoną?

- Nie, pani! W głębi duszy pomyślałam to samo, co pan Włodzimierz mówił przed chwilą: że małe to było uczucie, kiedy tak łatwo ustąpił, i nie żałuję go.

- Więc właściwie nienawiści, wstrętu nie masz do Włodzia?

Panna Irena pomyślała chwilę.

- On mnie doprowadza do takiej irytacji, do takiego oburzenia swoją zarozumiałością, że doprawdy czasem nienawidzę go, ale nie mogę nienawiści zachować. Gdy ostygnę, śmiać mi się chce, bo ostatecznie on jest tak wesół

i szczery, i dowcipny, że zapominam wszystko nieznośne, co mi wyrządza. Żeby nie te nieszczęsne starania i oświadczenia, bylibyśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Pani Taida zamyśliła się chwilę i uśmiechnęła:

- No, to i dobrze! Idź spać. Gdy jutro wstaniesz, twój prześladowca będzie na drodze do kolei.

Po swych niefortunnych konkurach Włodzio wcale rezonu nie stracił. Wrócił do Warszawy i wedle słów panny Ireny trzeciego dnia, jakby nigdy nic, poszedł do jej rodziców.

Zaraz na wstępie dowiedział się od służącej, że panienki nie ma.

To nic! Jutro przyjedzie - pomyślał.

Rozwahał, co powiedzieć rodzicom, gdy matka wyszła i z twarzy jej poznał, że wie wszystko.

- Bardzo nam przykro, panie Włodzimierzu - rzekła

- że życzenia nasze nie zgadzają się z wolą Irenki. Bardzo to ładnie z pana strony, że pan przyszedł, że się nie obraził

na dziecko. Dziękujemy serdecznie.

Czego ona się uśmiecha tak lubo? - pomyślał, a głośno zapytał:

- Kiedyż wraca panna Irena?

- Ona wcale nie wraca. Matka pana ją zatrzymała, mieliśmy list, w którym donosi, że ponieważ Irenka panu odmówiła, sprawa ta załatwiona, a że mama rada z jej towarzystwa i wieś dziecku służy, więc ją zatrzymuje pod swoją opieką w Rudzie, gdzie pan nie bywa prawie, no i 111

nie będziecie mieli przykrości spotkania po tym, co zaszło.

Włodzio miał minę jak ktoś, co wpadł w wodę głową naprzód i wydostał się na powierzchnię. Zachłysnął się, oczy wytrzeszczył i oniemiał.

Mama mnie dopiero zaszła - pomyślał.

I wreszcie rzekł naiwnie:



- Ależ mnie wcale nie było przykro spotkać pannę Irenę. To ci dopiero koncept!

- Ależ ona sobie tego nie życzy widocznie, zresztą, cóż robić. Między wami skończone, niestety. Miał pan w nas gorliwych stronników.

- To mama mnie zgubiła! - wybuchnął.

- Ależ nie, kiedy zatrzymała Irenkę. Musi jej być życzliwa, za co wdzięczna będę do śmierci.

- Za co? Że trzymać będzie pannę Irenę w tej dziurze jako swą towarzyszkę?

- Ano, dziecko temu rade. Widocznie jej dobrze.

Pisze, że jest teraz zupełnie szczęśliwa.

- Naturalnie! Dlatego, że mnie unieszczęśliwiła. To zupełnie do panny Ireny podobne.

Nic nie pomogło oburzenie. Wrócił jak niepyszny do domu i napisał list do Rudy. Po tygodniu otrzymał go na powrót nie rozcięty. Tedy począł robić awanturnicze projekty, ale ich nie wykonał, i wreszcie, żeby się otrzeźwić, zaczął pilnie pracować.

U rodziców panny Ireny bywał często i zapowiedział im, że dopóki córka nie będzie z kim innym po ślubie, on z roli starającego nie ustępuje, i ten oryginalny stosunek utrzymywał wytrwale. Obrażony był

na matkę i pisywał do niej lakoniczne listy, pełne gorzkich przymówek.

Tymczasem przyszła wiosna i maj z bzami i 112

pewnego wieczora zjawił się Kazio w przejeździe do Rudy.

Z kolei zajechał wprost do brata i zdziwił się, znalazłszy go w mieszkaniu nad książką.

- Czyś ty niezdrów? - spytał.

- Dlaczego?

- Boś zmizerniał i spędzasz wieczór w domu.

- Zaczytałem się. Zdrów jestem. A ty? Jedziesz do Rudy?

- Jutro, już na stałe. Wstąpiłem do ciebie po drodze.

- Na stałe? Po co? Chce ci się tam zakopać? -

niespokojnie rzekł Włodzio.

- Matka każe! - rzekł Kazio lakonicznie.

- Jutro cię nie puszcę. Zabawimy się trochę. Nie rozumiem, po co cię matka ściąga. Ty bo nie masz za grosz woli. Powinieneś się oprzeć, jeszcze rok praktykować.

Zresztą z twymi zdolnościami i siłami mógłbyś dostać świetną posadę, mieć tysiące, zamiast być popychadłem matki. Czy ty myślisz, że ona się władzy i rządu wyrzeknie? Będziesz u niej karbowym bezpłatnym.

- Na to mnie chowała i kształciła. Wolę być u niej w Rudzie ostatnim, niż gdzie indziej pierwszym.

Stropił się Włodzio, ale coraz był niespokojniejszy.

- Wiesz, że matka ma nową towarzyszkę?

- Wiem, i wreszcie ta jej dogodziła. Toś ty tej sztuki dokazał i wynalazł ideał.

Domyślił się Włodzio, że brat o jego konkurach nic nie wie. Postanowił tedy kwestię wyjaśnić.

- Wiesz, że jestem z nią zaręczony?

- Z kim? Z tą towarzyszką mamy? No, to kiedyż ślub? - odparł spokojnie Kazio.

Wstrętny był z tą flegmą.

- Albo ja wiem, kiedy ślub? Żebym ja wiedział.

- No, czemu?

- Bo ona mnie nie chce.

- Aaa. Taak! A mówisz, zaręczony. Czy matka o tym wie?

- Wie i pozwala na taki skandal, i trzyma ją w Rudzie, a mnie, mnie zabroniła tam przyjeżdżać!

Rozumiesz! Wymówiła dom rodzinny synowi dla kaprysów obcej dziewczyny.

- Musiałeś dopiero bąka palnąć, kiedy do tego doszło! - roześmiał się Kazio. - No, no, ciekawym tej panny bardzo, która aż ciebie przekonała do sakramentu.

- Bardzo cię proszę, abys się do niej nie zalecał, bo ona mnie przeznaczona.

- Ale ciebie nie chce. Słowo daję, nie poznaję ciebie.

A toś ty na fest zakochany.

- Nie masz z czego żartować - ty się na tym nie rozumiesz!

Ty się ożenisz z pierwszą lepszą, którą ci mama wybierze, jak chłop. A ja z tą albo żadną. Tylko ty sobie zapamiętaj, tobie do niej wara! Czytałeś, znasz "Die Braut von Messina"?

Kazio ramionami ruszył.

- Widocznie, że i na fizyków deszcz pada! - rzekł

ziewając, bynajmniej nie wzruszony groźbą.

Zaczął się zbierać do snu, a po chwili spytał:

- Ozierskie zmieniły mieszkanie?

- Skąd wiesz? Jużeś tam był?

- Nie, ale mam do Stasi list i książki od koleżanki z Genewy i nie wiem, gdzie jej szukać.

- Ano tak. Przeniosły się na Złotą 26, dla biednej Ozierskiej, która desperowała w starych kątach. Wiesz, Stasia bardzo porządnie się sprawnia. Ani słówka 114

narzekania, chociaż niesłodko jej z chorą, no i rok stracony.

Szkoda tylko, że ona tak do ludzi niepodobna, bywałbym częściej. Miałaby towarzystwo i opiekę, ale cóż, kiedy ona jest dziwoląg i ja się z nią nie mogę porozumieć.

Kazio zapewne już spał, bo nic nie odpowiedział.

Nazajutrz rano wyszedł wprost na Złotą 26.

Otworzyła mu sama Stasia.

Podali sobie ręce i uścisnęli po koleżeńsku.

- Jedziesz do domu? - spytała.

- Tak. Cóż z tobą? Bieda?

- Ano, pewnie. Matka dotąd nie odzyskała władzy w nogach i zapewne tak już zostanie. Mój dyplom kaput.

- Nie może tak być. Mnie gorzko o tym pomyśleć; jakże tobie dopiero musi być okropnie. Trzeba skończyć. Ja ci podam projekt. Przyjedź z matką do Rudy i tam ją zostaw. Przysięgam ci, że będę ją sam niańczył i pilnował, a ty wracaj do Genewy.

Stasia popatrzyła nań uważnie, potrząsnęła głową.

- To się nie da zrobić, ale żeś to pomyślał i powiedział, zapamiętam ci całe życie. Dziękuję. Chodźże do matki. Wspomina cię często i dobrze. Przecie żeby nie ty wtedy, tobym już dawno zgniła w ziemi! Ona to pamięta.

Weszli do saloniku, gdzie Oziarska siedziała u okna, zajęta robotą na drutach.

Rozpłakała się na widok Kazia, ale rada mu była i zaczęła rozpytywać, gdzie się obracał, co porabiał, co matka pisuje.

On, zwykle mało mówny, rozgadał się, potrafił ją zająć, nawet rozweselić. Stasia tymczasem rozpakowała przesyłkę koleżanki i wykrzyknęła radośnie:

- Wiesz, Magda mi wykłady notowała, przysłała cały semestr. Skarby!

Oczy jej błyszcząły zapałem i zaraz rzuciła się czytać z chciwością, zapominając o wszystkim. Kazio w dalszym ciągu bawił matkę, gawędził, zwijał włóczkę, podał lekarstwo, przyniósł z kuchni bulionu, rozgospodarował się jak w domu.

Zatrzymała go Oziarska na obiad, a potem został na wieczór i głośno czytał chorej.

Opodał, przy drugim stoliku, Stasia z głową w dłoniach pożerała notatki; ani razu się do nich nie odezwała opętana swą gorączką nauki. O dziesiątej matka zawołała ją, chciała już spocząć, wtedy na pół przytomna oderwała się i zbliżyła się do nich.

Kazio pożegnał się i rzekł:

- Jeślim pani nie dokuczył, przyjdę znowu jutro.

- Mój drogi, to ja mogę dokuczyć, nie ty. Przyjdź, jeśliś taki poczciwy.

Stasia nic nie rzekła, może nawet nie słyszała, o czym mówią. Zaledwie ułożyła matkę do snu, wróciła do saloniku i czytała, aż jej biały dzień przerwał. Potem się wcale nie kładła, tylko umyła, przebrała, wyprawiła kucharkę na targ i oczekując przebudzenia matki, czytała znowu.

Kazio doznał od Włodzia bardzo złego przyjęcia.

- No, i cóż ty sobie myślisz? Czekałem na ciebie na obiad, czekałem na herbatę, kupiłem bilety do teatru, a ty gdzie się włóczysz? Cóż to - łajdactwo cię napadło? Ładne obyczaje!

- A tobie co to szkodzi? Hulaleś ty dosyć, teraz na mnie kolej. Wcale na mnie nie rachuj, będę używał wedle własnego gustu.

- Awantura! A tak ci pilno było do Rudy?

- Pilno, pewnie, że pilno, alem się dosyć nanudził w 116

Prusach i dość się w Rudzie nanudzę. Więc zabawię się tydzień w antrakcie. Dobranoc ci!

I prędko naciągnął kołdrę na głowę, aby przerwać egzamin i żarty.

Rzeczywiście dotrzymał słowa. Bawił tydzień i wracał do brata tylko na noc. Na wszelkie pytania wykręcał

się sianem lub opowiadał jakieś bajki o poznanej w drodze Francuzce, o spotkanym koledze itp.

Dopiero ostatniego dnia wyciągnął z sobą Włodzia, ale po sprawunki, i wynudził go setnie, wodząc po składach narzędzi rolniczych, żelaza, skór, farb, smarów, sznurów itp. "delikatesów".

Zjedli potem dobry obiad - i Włodzio ciągnął go do teatru, proponował wesołą kolację.

- Ba, a moja Francuzka! Muszę ją przecie pożegnać

- roześmiał się Kazio, podniecony trochę benedyktyką.

I zostawił go jeszcze przy stole, a sam umknął.

Zanim doszedł na Złotą, trochę ostygł, ale zawsze nadzwyczajne było jego żądanie, gdy mu Stasia otworzyła drzwi

- Jadę o jedenastej, pójdz ze mną na spacer do Łazienek. Dobrze? Nogi trochę rozprostujesz.

- Czyś oszalał! Na spacer! A mnie to po co? -

zdziwiła się. - Zresztą mama... Ale Oziarska dosłyszała i poczęła wołać:

- Ma rację, ma rację! Przejdźcie się trochę! Do mnie się obiecała na wieczór Męcińska, wcale was nie potrzebuję. Idź, dziecko, idź!

- Ależ kiedy ja nie chcę! - oburzyła się Stasia. - Nie znam nic bliższego idiotyzmu jak spaceru dla spaceru.

Kazio nic nie odpowiedział, ale właśnie to milczenie wydało jej się wyrzutem, a podejrzliwa była ogromnie.

- Cóż to! Obraziłeś się, że nie zechciała dogodzić głupiej fantazji. Zapewne znajdujesz, że ci odpłacić powinna za twe uprzejmości.

Ruszył ramionami:

- Ja zawsze robię to tylko, co mi się podoba, więc uprzejmości nikomu nie świadczę. Ale też nie wiem, czego się oburzasz na moją propozycję. Chyba mnie masz za konkurenta i znajdujesz, że młodej panie nie wypada spacerować z kawalerem.

Stasia aż skoczyła z gniewu.

- Jak to zaraz po twoim dowcipie znać, żeś wykwalifikowany hodowca bydła!

- Ależ Stasiu! - żałośnie upomniała matka.

- Niech się pani nie alteruje! - uśmiechnął się Kazio.

- Ja już do jej nieparlamentarnych wyrażen przywykłem.

Cóż, Stasiu, pójdziemy? Zróbże mi tę przyjemność!

- O cóż ci chodzi właściwie?

- Ano, chociażby o rozmowę z tobą, bo przez cały ten tydzień nie przemówiłaś ani razu.

- Nieznośny jesteś - mruknęła. - Tak mi się chce z tobą gadać i spacerować jak Cyganowi modlić.

Jednakże, gdy przyszła Męcińska, staruszka sąsiadka, i zasiadła z Oziorską do bezika, Stasia sama się odezwała:

- No, to chodźmy wreszcie, tylko do Łazienek ci nie obiecuję, najdalej do Wiedeńskiego Dworca.

I poszli. Zaraz w bramie ogarnął ich tłum ludzki i pociągnął. Setki, tysiące szły w stronę rogatek, żeby choć złudzenie mieec świeżego powietrza i wiosny.

- Lubisz tłum? - zagadnął Kazio.

- Nie wiem. Nie patrzę, nie uważam. Wszystko mi jedno, jestem czym innym zajęta...

- Ja bo nie cierpię. Wieśniak jestem z krwi i kości.

Ty i wsi pewnie nie lubisz?

- Także mi obojętne, gdzie jestem. Dawniej chciałam, skończywszy studia, praktykować w mieście, być sławną. Potem marzyło mi się właśnie osiąść gdzie w zapadłym kącie i leczyć chłopów bezpłatnie.

- Jak ciocia Dysia!

- Ano, tak. Tylko w takim razie ze sławą kaput, bo lekarz wiejski, żeby genialny był nawet, umrze bez wzmianki w księdze nauki.

- Dlaczego?

- Ano, naturalnie! Nie może być specjalistą, bo go od suchotnika wołają do położnicy, od gorączkującego do paralityka, od odry do niewidomego. A wśród tego musi jeszcze zęby rwać, stawy naciągać i bańki stawiać.

- A mnie się roiło, że ty w naszym miasteczku zastąpisz starego Fijolskiego. Nawet matka mi mówiła, że tak pewnie zrobisz!

- To matka twoja jednak wierzy, że skończę?

- Wierzy.

- Hej, kiedy ja skończę teraz! Jakem te notatki dostała, to mi było tak wesoło jak pannom na wydaniu w karnawale, a teraz tom znowu zła jak pies. Klnę siebie, boć matki nie porzucę, niech się dzieje, co chce, ale nie mogę goryczy strawić. Duszą tam jestem, w Genewie!

- Bo się zastanów i mnie posłuchaj. Zostaw mi matkę w Rudzie i jedź! Co się wahasz! Ot, chcesz, zdajmy się na sąd mojej matki.

- Po co mnie kuszisz, nie może tak być. Głową mur rozbijam, ale obowiązek nie mur. Ale słuchaj no, ty, dawnom cię chciała spytać, po coś ty do mnie tak przysłał?

Co ty w tym masz za interes? Przecież nie jesteś tak dalece 119

głupi, żeby się kochać we mnie?

- Albo ja wiem! Nie zastanawiałem się nigdy nad tym. Chyba nie, bo się ciebie nie boję jak wszystkich panien ani mi tchu nie zapiera, gdy ciebie zobaczę. Oto zżyłem się z tobą tyle lat i w nałóg weszło.

- Bo mi się wciąż płaczesz przez życie, sama nie wiem po co.



- Może ci to dokucza?

- Nie, przywykłam. Tylkom się bała, że ci głupstwo strzeli do głowy i będziesz myślał, że ja się w tobie rozkocham. No, więc żebyś wiedział, że ja nie po to tyle się mordowałam, cierpiałam i znosiłam, żeby cel zdobywszy żoną czyją zostać, rzeczą mężczyzny, jego sługą lub zabawką. Każdego prężyć, dzieci niańczyć, śpiżarnią zarządzać i złe humory znosić. Do tego nie mam powołania.

Kazio się roześmiał.

- W takiej roli nigdy cię sobie nie przedstawiał, ale też i żony takiej za nic nie wezmę. Zresztą w ogóle nie chcę się żenić. Pamiętasz, jak się sobie ślubowali?

Dotrzymam, druhu!

- Wątpię. Matka twoja potrzebuje synowej.

- Tymczasem nie. Dobrała sobie nareszcie dobrą towarzyszkę!

- Ach, tę protegowaną Włodzia, Irenę Szumską.

- Znasz ją?

- Tak, trochę. Rodzaj anemicznej stokrotki, ale dobra dziewczyna, tylko chorowita. Jeśli nie wyjdzie za mąż za doktora, to fundusz straci na kurację.

- Toteż Włodzio chce się z nią żenić.

- Doprawdy! Ma lepszy gust, niż sądziłam.

- Ale ona go nie chce.

- Także ma lepszy gust, niż sądziłam!
- Nie lubisz Włodzia?
- U ciebie zawsze: lubisz, nie lubisz, jak u pensjonarek. Ja zaś tym się nie rządzę nigdy, nawet nie rozumiem. Taksuję człowieka: cenię lub nie cenię, i dalej o tym nie myślę.
- Przecie kochać każdy musi. To konieczność życia.
- Wmawiajcie to sobie, wmawiajcie, abyście się stali zwierzętom równi: ja nie chcę. Jeśli jest mus kochania, to ja go biorę duchowo. Ja kocham swą naukę - człowieka za nic mam, bo mi niczym jeszcze żaden nie zaimponował.
- Toś ty słaba, kiedy szukasz wielkości i mocy i to uwielbiasz. Żebyś ty była sama siłą, patrzyłabyś pod stopy i słabe do siebie dźwigała.
- Brednie! Podobne szuka podobnego.
- Nieprawda. Kontrasty i sprzeczności łączą się i uzupełniają wzajem. Szwankuje twoja fizyka.
- Bo mnie wyciągasz na dysputy idiotyczne. Mówię ci, nie kocham nikogo i po tym, jak ludzie względem mnie postępowali, powinnam na nich plwać i nienawidzić.

Dosyć nad sobą przepracowałam, żeby ich tylko ignorować.

- No, przecie mnie do ludzi nie zaliczasz?
- A do czego?
- Ano, do nauki.
- Jakiej nauki?
- Takiej, którą lubisz.
- Znowu lubisz! Daj mi święty spokój i wracajmy.

Zawrócili i chwilę milczeli. Wreszcie Kazio się ozwał:

- Więc jeśli ludzkością omal nie pogardzasz, to cóż będzie z pacjentami? Jeśli o nich tyle będziesz dbać, to 121

winszuję nieborakom.

- Pacjent to nie człowiek, to moja idea. Za każdego chorego życie bym oddała.

- Jak kiedy dostanę czarnej ospy albo tyfusu, to mnie będziesz leczyła. Dobrze?

- Ospę masz pewnie szczepioną, a do tyfusu nie masz usposobienia. W ogóle ty jesteś doskonale zdrow, jak rzadko się spotyka. Myślę czasem, jak by to dobrze było, żeby ludzkość więcej miała takich osobników.

- Tobyście z głodu poumierali - eskulapy...

- Ba, ale patrzeć na niedołęstwa, kalectwa, nędzę i słabości to jest utrapienie nie lada. A przy tym to człowieka przygnębia, bo i nauka na to bezsilna. Ludzkość marnieje strasznie, a medycyna i higiena utrzymuje te marnoty na świecie. Czasami żałuję, że nie poszła na matematykę! Ci światy odkryli, policzyli gwiazdy, ich twierdzenie to dogmat, a my, cośmy dowiedzieli? - szczepienie, chirurgia, próby, macania, błędzenie, a rak, suchoty, a obłąkanie jak były, tak są. W zielniku cioci Dysi jest ziółko jakoby radykalne od suchot. Marzyłam, aby je wypróbować, ale w aptekach go nie znajdują nawet, a teraz już mi o tym i nie myśleć.

- Czemu? Jak będziesz w Rudzie, znajdziemy ziele i nigdzie łatwiej jak na wsi próbować. Matka zeszyłych wakacji desperowała, że troje młodych zupełnie dogorywa na suchoty.

- Otóż to. Dogorywa taki nędzarz, chłop, Żydziak, ubogi urzędnik, a doktorzy jak na drwiny wysyłają go do Kairu; więcej nic zdziałać nie mogą. Dla takich odkryć ziele to, chatom je dać, suterenom, strychem, to moje marzenie, szczęście - to ziele bym kochała!

- I mówisz, że ignorujesz ludzkość. A kochania 122

masz w duszy za miliony.

Nie uważała, co mówił, szła zamyślona.

- Wiesz - ozwała się nagle - ja ci to ziółko w zielniku pokażę, poszukaj go w Rudzie i przyślij mi. Ja już nie mam możliwości sama badać - odeślę Magdzie.

- Nie chcę tak. Ziółko ty sama dla siebie znajdziesz w Rudzie. Dla Magdy ono tam nie rośnie.

- To sobie je trzymaj! Ty dopiero jesteś samolub.

Myślisz, że tym mnie zjednasz, zwabisz.

- Jeśli ci naprawdę droga nauka - tak...

- Znowu ciebie nie rozumiem. Po co ty gwałtem chcesz być moim opiekunem i dobrodziejem. Wiesz, że za to nic ode mnie mieć nie będziesz.

- Niczego też nie żądam. Wolno ci kochać duchowo, mieć jakiś kult - wolno i mnie. Od dziecka przystaliśmy do siebie, do nikogoś nie miała ufności, tylko do mnie, przed nikim się nie skarżyłaś, tylko przede mną, od nikogoś nie przyjęła pomocy, tylko ode mnie. Drwiłaś ze wszystkich, tylko nie ze mnie, słuchałaś mnie, gdym miał zgryzotę, radziłaś, gdym się wahał. Żebym się zmarnował, źle

pokierował, byłoby ci przykro, ba, nawet byś mnie jak topielca za łeb wyciągała, no, a jakże ja mogę dopuścić, byś ty, taka zdolna, taka silna i zdrowa, celu się nie dobiła.

Jakiż by ze mnie druh był! Rozumiesz - tyle lat trzymaliśmy z sobą, toć mamy już i względem siebie obowiązek. A żem nigdy nie pomyślał korzystać z ciebie, chcieć ciebie zdobyć dla siebie, zakopać ciebie, wolnego ptaka, do kurnika, zespolić twą drogę ze swoją, twój los z moim, na to ci przysięgnę, jak chcesz, na pamięć cioci Dysi.

Nigdy Kazio tyle naraz nie wypowiedział, aż się Stasia zdziwiła i popatrzyła na niego z zajęciem.

- Bo widzisz - ciągnął dalej - cóż ja jestem! Jakaś rzekła: hodowca bydła. Ani ja orzeł, ani ja rumak stepowy.

Zwykły wół roboczy. Życie mi zejdzie w jarzmie na zagonie. Teraz już skończona młodość i swoboda nawet.

Jadę na służbę, na ciężki dorobek, już nawet szerokiego świata nie zobaczę. Takie me powołanie i żem do niczego większego niezdolny, więc spokojnie stanę do tej pracy.

Będę orał i siał, aż do śmierci zamknięty w obrębie Rudy, parafii, guberni. Skądże ci nawet mogło w głowie postać, żebyś mnie chciał brać do spółki na taki deptak. Tak znowu głupi nie jestem!

Roześmiał się i spojrzał na nią. Szła zamyślona poważnie i zupełnie innym tonem się odezwała:

- Dobrze, żeś się wygadał, boś mnie oświecił w jednym, a w drugim trzeba ciebie oświecić. Powiedziałaś parę rzeczy rozsądnych, ale więcej głupstw. Co do obowiązków - racja. Nie powiem, aby one nam tak bardzo potrzebnym były nabytkiem w życiu, ale tak się złożyło -

są; dziesięciolecia przetrwały, niech będą - trzeba je spełnić. Ale coś ty o sobie w końcu rzekł, na to ani ja się zgodzić, ani pozwolić nie mogę. Jeśli masz wołem zostać, deskami się zabić od świata, bezmyślnie orać i siał, to ja się ciebie wyrzekam i matkiś swojej niegodny ani nazwy człowieka nawet. Hańba i wstyd tobie z takimi zasadami pracę zaczynać. Matka twoja inaczej myślała; czytałam po kryjomu jej szarą księgę, alem ją zapamiętała dobrze i często powtarzam dwa z niej zdania, jedno: "Nie ma małej roboty, są tylko mali ludzie". Niezmierna mądrość jest w tych słowach, a drugie: "Pokochaj trud swój, a do doskonałości go doprowadzisz", to jest rozwiązanie zagadki szczęścia. Tak ona myślała i czyniła orząc, hodując cielęta, i dlatego nie stała się wołem roboczym! Całym 124

życiem przygotowała ci grunt do dalszej pracy. Teraz ty powinienes iść dalej, być na okolicę światłem i przykładem, nieść kulturę, wpływ, opinię, pomoc, radę -

wszystko. Ona Rudę wykarczowała, tyś ją powinien uczynić ostatnim słowem dworu wiejskiego. To jest twoje powołanie i patrz, byś je spełnił.

Kazio milczał, ale po twarzy latały mu uśmiechy zdradzające, że w jego pozornej dobroduszości i szczerocie było dużo przebiegłości. Był w uśmiechu triumf, że przecie doprowadził ją tam, gdzie sam chciał.

- Piękny program, ale by go spełnić, trzeba więcej obrotności i odwagi, niż ja mam! - odparł po chwili. - Nie znasz wsi ani ciężarów i trosk rolnego gospodarstwa.

Człowiek fizycznie zmęczony, zatopiony w mnóstwie drobnych, prozaicznych turbacyj, pozbawiony towarzystwa i moralnej podniety ani się obejrzy, jak zapleśnieje, zdziczeje, szerzej patrzeć i myśleć zapomni. Przyznaję ci zupełną rację, ale wątpię, czy zadanie spełnię. Żebyś mi trochę dopomóc chciała!

Oburzyła się i wróciła do swej zwykłej szorstkości.

- To niańkę sobie spraw, mięczaku jeden! Czy ci nie wstyd! Daj mi swoją dołę, swoją swobodę, pozycję socjalną - zobaczysz, gdzie stanę. Ale że wam świat stoi otworem, że wam wszystko dostępne i łatwe, po nic nie sięgacie - próżniaki. Masz taką matkę i jeszcze pomocy ci trzeba, i czyjej - kobiecej! Pfuj! Wstyd mi za ciebie! Cóż znowu, a tośmy minęli nasz dom, toć to Ogród Saski.

Słuchając twoich bredni prześlepiłam naszą ulicę i spaceruję jak ostatnia idiotka. Czy ci jeszcze nie czas na kolej?

- Nie! Pożegnam jeszcze matkę. Nie masz pojęcia, jak mi ciężko z wami się rozstawać. Teraz może już się 125

nigdy nie zobaczymy.

Nie powiedzieli do siebie więcej ani słowa. Gdy wrócili, zabawił ledwie chwil kilka i wreszcie z westchnieniem pożegnał Ozierską. Stasia przeprowadziła go do sieni, była chmurna i jakby znudzona. Gdy już brał

za klamkę, podała mu rękę i uścisnęli sobie serdecznie prawice.

- Pisz, co będziesz robić, i nie waż mi się zmarnować, druhu! - rzekła mu. - W ciebie jednego wierzę z ludzi. No, bądź zdrow.

- Wet za wet! - odparł. - Jeśli ty swego celu nie opuścisz, dotrzymam i ja. Do zobaczyska.

Zamknęły się za nim drzwi i poszedł zamyślony i smutny. Pierwszy raz w życiu nie chciało mu się jechać do Rudy.

Czekała go jeszcze rozprawa z bratem. Włodzio był

rozniewany za tajemnicę z Francuzką, bo uwierzył w tę bajeczkę, był niespokojny o pannę Irenę, by mu jej brat nie zbałamucił; do reszty się zirytował, gdy mu przyprowadzono i wpuszczono do mieszkania młodą wyżlicę, którą Kazio kupił. Co chwila też znoszono różne nieeleganckie sprawunki, przedpokój był pełen gratów, a pies wył, szczekał lub obwąchiwał wszystkie kąty. Toteż na widok Kazia doktor wybuchnął:

- Do stu diabłów się zbieraj z tym twoim psem i brudami. Trzeba być świętym, żeby to znosić, co ja cierpię z tym bydłciem. Francuzki żegna, a ja mam pilnować i pakować sprawunki. Patrz, do czego podobny przedpokój.

Ja do matki napiszę, jak się ty sprawujesz, ozdobo familii, faryzeuszu, mydłku, hipokryto!

Kazio nic nie odpowiadając wyżlicę wziął na łańcuszek i odprowadził do lokaja, a sam począł się 126

pakować. Zły był także i ciskał się mruczając pod wąsem.

Tedy Włodzio wpadł na inny temat:

- Słuchaj i zapamiętaj: do panny Ireny się nie zalecaj, bo to “die Braut von Messina”.

Tu Kazio także stracił cierpliwość:

- Co ty mi tą panną Ireną zawracasz głowę i Szyllerem mnie straszysz. Ty sobie odczytaj Szekspira “Stracone zachody miłosne”! - i daj mi święty spokój.

Włodzio skoczył, jakby skorpioną nadeptał:

- Ja ci zakazuję głupich konceptów i nie radzę mi w drogę włączyć.

- Żebyś mi nawet radził, to nie wejdę, bo nie znam nic podlejszego jak twój gust do kobiet.

- Ty możesz coś sądzić o tym, ty!

- Mogę, bom przecie znał Żydówkę, co Ozierskiemu robiła papierosy, i tę pannę Wandę, coście się o nią pojedynkowali z Wańkowskim.

- A ty miałeś lepsze może? Tyś sobie wybrał Stasię, koczkodana. Śliczny okaz kobiety!

- Jeślim sobie wybrał Stasię, to nawet nie spojrzę na żadną inną, tym bardziej twego wyboru. Mówię ci, daj mi święty spokój.

Udobruchał się Włodzio i przeszedł w ton serdeczny:

- Mój Kazik! Ty byś powinien mi nawet dopomóc!

Ty masz wpływ na matkę. Ty jej przedstaw, jakie to anormalne, żebym ja nie mógł do domu przyjechać. Mnie przecie także tęskno do rodziny, do swoich.

- Przedstawię, i owszem, jeśli się tymczasem nie zakochasz w innej! - odparł ze śmiechem Kazio.

- Właśnie, powiedz matce, że ja mam niebezpieczny stosunek tutaj z taką jedną, że to mnie rujnuje materialnie i 127

moralnie, że mnie trzeba koniecznie sprowadzić do Rudy, na opamiętanie. Mój Kazik, ty mi dopomóż! Ja, widzisz, koniecznie chcę się ożenić.

- No, to może i u panny Ireny mam ci dopomóc?

- Nie, nie, tego nie potrafisz. Tylko mi matkę przejednaj. Ja ci za to się odwdzięczę; matka bo chce cię zaraz ożenić, ja nawet wiem z kim, mówiła mi, z Marynią Broniewską. Otóż wy się tam beze mnie nie obejdziecie, boś ty do konkurów jak wół do karety, ja ci będę swatem i bratem, zobaczysz, jak nam łatwo pójdzie we dwóch. Tylko niechże mnie do Rudy puszczą przecie!

Kazio przestał pakować i stanął przerażony:

- Z Broniewską chce mnie żenić mama? A toć ona głupia jak but, nawet na pensji nigdzie nie była i książki u nich w domu nie ma na lekarstwo. Toć ona jak usta otworzy, to albo się śmieje, albo je - zresztą nic.

- Patrzcie, to ty jednak obserwujesz! - zdziwił się Włodzio. - Matka ją wybrała, bo posag leży w gotówce i Broniewscy nieraz matce w złych chwilach pomagali.

Myślałem, że tobie tak bardzo o rozum nie chodzi.

- To możesz po sobie sądzić! - obraził się Kazio. - Ja go nie mam do zbycia i żonie nie myślę dawać. - Tu się zafrasował, czoło potarł i stęknął:

- Jeśli matka tak wybiera, przyjdzie między nami do nieporozumień nie lada. Oj, będę się śmiać, będę.

- Widzisz, właśnie wtedy mnie dopomóż, będziesz miał za to we mnie potem sojusznika.

- Pewnie, ty matce stawiasz czoło - właśnie! Znam cię, pierwszy z placu umkniesz.

- Słowo honoru daję, że murem za tobą stać będę, tylko mi jeszcze jedno uczynić. Dam ci list do panny Ireny.

- Terefere - na to mnie nie weźmiesz. Ona ciebie nie 128

chce, matka cię wypędziła, ładnieś musiał nabroić, i ja mam w to wdepnąć! Masz pocztę, dam ci siedem kop. na znaczek.

- Tchórz jesteś, zdrajca, zapredaniec! Jedź stąd, nie mam brata, nikogo na świecie!

Po jakimś czasie ostygł jednak w swej złości i nawet odprowadził brata na kolej.

Mieli dość roboty z psem i bagażami i gdy już pociąg ruszał, Włodzio raptem przypomniał coś sobie i począł laską stukać w okno.

- Kaziu, słuchaj no, miałeś mi zostawić adres Francuzki! - zawołał, gdy brat spuścił szybę.

- Na Starym Mieście, przy wodotrysku! - odparł ze śmiechem Kazio. - Powiem to pannie Irenie.

- Niech cię diabli wezmą! Milcz! Dopomóż mi!

Czekam listu! Bywaj zdrów!

Pociąg zniknął w ciemnościach nocy.



## IV

Coraz duszniej i skwarniej czyniło się w murach miejskich. Stasi zdawało się, że jest uwięziona pod ołowianym dachem, przygnębina była, znękana, pełna rozpacz. Nerwy jej poczęły się rozstrajać, straciła sen i apetyt, po nocach płakała czasem, w dzień snuła się apatycznie, tyle tylko mając mocy, by przed matką goryczy swej nie zdradzić.

Od kwartału zajęły mieszkanie na dole, kupiła fotel na kółkach i co dzień rano wozila matkę do Saskiego Ogrodu. Przepędzały tam godzin parę, czytywała jej głośno, byle nie rozmawiać, bo o czymże by mówić mogła, żeby nie zdradzić swego udręczenia. Ale dni były długie, ciężkie do przebycia z chorą, która wymagała, by się nią ciągle zajmować, grymasiła o wszystko, zasypiała późno.

Parę razy miała Stasia pokusę napisać do sióstr, by przyjechały wyręczyć ją na czas jakiś, ale odrzucała zamiar przez dumę i zaciętość. Wołała zginąć, zmarnieć, niż prosić o pomoc.

Czuła tylko z rozpazą, że w niej zamiera siła i energia, wiara w siebie, nawet pamięć nauki. Rzuciła się niekiedy do swych notatek i książek i ręce jej opadały - po co? Wszystko się przecie skończyło, nie było już przed nią kariery i triumfu.

Ozierska egoizmem, właściwym chorym, utrudniała jej jeszcze życie. Narzekała na jej małomówność, na nudę w domu, wypominała jej roztargnienie, jej zaniedbanie toalety, jej nietowarzystwo. Żeby miała przy sobie inną młodą panienkę, nie takiego cudaka, toby i ludzie więcej bywali, i w domu byłoby gwarniej i weselej.

Podobne uwagi słyszała Stasia co dzień wraz z 130

tęsknotą do tamtych córek, które, że dalekie, były dla Ozierskiej ideałem.

Stasi nieraz przychodziły na usta ostre słowa, ale spojrzawszy na bezwładne nogi matki, milczała, tylko obowiązek nie osłodzony uznaniem, dobrym słowem poczynął ją przygniatać, tracić cechę bohaterstwa; ciążył i dolegał.

Od wyjazdu Kazia upłynęło dwa miesiące bez żadnej wieści. Gdy o nim pomyślała Stasia, to się gniewała na siebie, bo jej było smutno. Żal jej było, że i on o niej snadź zapomniał, i ten żal zakrawający na słabość, na uczucie właśnie ją gniewał.

Raz odwiedził ich Włodzio i niefortunnie dotknął jej bolączki, bo spytał:

- Pani pewnie ma wieści z Rudy? Co tam słyszać?

Do mnie Kazio nie raczy pisać.

Stasia, posępna i mrukliwa, ruszyła ramionami:

- A mnie co to obchodzi. Żadnych korespondencyj nie prowadzę, anim ciekawa, co się tam dzieje.

- Ależ kolega wibrujący! - zaśmiał się Włodzio.

- Prawda - podchwyciła Oziarska. - Ona jest tak ciągle rozdrażniona i szorstka. To korzyść z tylu lat swobody studenckiej i obcowania z Bóg wie kim. Ona już nie potrafi zadać sobie najmniejszego przymusu.

Włodzio dostrzegł nerwowe drżenie szczęk dziewczyny i ponieważ był poczciwy, zaraz uchwycił położenie rzeczy i pożałował żartu.

- Ale panna Stasia źle wygląda, schudła i zmizerniała. Niech pani się strzeże choroby! - rzekł pod adresem Oziarskiej.

- Co pan mówi! Skądże? Żyjemy tak spokojnie i regularnie. To chyba z upałów.

- Może być, ale mi się wygląd panny Stasi nie podoba. Wygląda na przeforsowaną, a organizm ma już naderwany, więc trzeba go oszczędzać.

Zaczął mówić o czym innym, ale dopiął celu, zaniepokoił Ozierską, zapewnił Stasi trochę spokoju i troskliwości.

Matka przestała na nią gderać, owszem, zrobiła się sama mniej wymagającą i łagodniejszą.

Była to zawsze ulga.

W parę dni potem spotkała ich niespodzianka. Stasia odwiozła matkę z Saskiego Ogrodu i właśnie zasiadła do czytania jej dawno zaczętej powieści, gdy zadzwoniono do drzwi bardzo energicznie.

Otworzyła i skamieniała ze zdziwienia. Przed nią stała pani Taida Skarszewska.

Rzadko kto widział taki uśmiech Stasi i taki ton serdeczny, ciepły.

- To pani! To pani! - zawołała.

- Ano, ja. Ledwie cię odnalazła. Mogłaś przecie napisać, że zmieniacie mieszkanie. Dwie godziny wożą mnie po Warszawie z waszej racji.

- Żebyś przypuszczała, że pani przyjedzie!

- W same żniwa! W same żniwa! - stęknęła pani Taida. - Ano, różnie się zdarza. Gdzież matka?

Ozierska wołała z salonu i witała ją łzami i narzekaniem:

- Mój Boże, oto jak się spotykamy. Patrz, moja droga, na pół w grobie jestem, bez ruchu. I Adolfa nie ma!

Żebyś mogła umrzeć, to jedyne moje marzenie.

-Nie bluźnij ani z Bogiem się spieraj. Pewnie -

ciężko cię dotknął, ale ci narzekanie nie ulży, owszem, obciąży niedolę. Tu, na ziemi, każdy cierpi. Pamiętaj, 132

jakeście z mężem do mnie przyjechali, gdym owdowiała w dwudziestym trzecim roku życia. Włodzio ledwie pełzał.

Kazio jeszcze się był nie urodził, a wokoło mnie ruina, a w duszy taka rozpacz i pustka, że i tylko o śmierć wołała. Mąż twój interesami zaraz się zajął i chociaż chaos ten przejrzał i obrachował; na twoich rękach Kazio się urodził, potem Dysia przyjechała i życie się przepracowało jakoś. Nie można nam o sobie myśleć, gdy się dzieci ma, ani rozpaczać i śmierci wołać, gdy zostały

obowiązki do spełnienia. Ot, ja tu przyjechałam z prośbą do ciebie.

Chciałabym cię do Rudy namówić.

- Ależ, moja droga, co ty mówisz. Zastanów się, przecie ja niedołączna. Gdzie mi myśleć o podróżach.

Trzeba na miejscu dogorywać. Tu już przywykłam, mam wygodę i opiekę. Dziękuję ci za dobre serce, ale po co ci ten ciężar w domu.

- A gdzież to rzeczy pani? - spytała Stasia.

- W hotelu, moje dziecko. Ale jeśli mnie przyjmiecie do siebie, to sprowadź je tutaj. A może ci nie zechcą oddać? Chyba sama pojedę. Dorożki też jeszcze nie opłaciłam, stoi przed bramą. Ach, źle parafiance w stolicy.

- Ja wszystko załatwię - uprzejmie ofiarowała się Stasia, ubierając się do wyjścia.

Tego widocznie życzyła sobie pani Taida, bo nie protestowała. Zostały same i Oziarska spytała:

- Dlaczego nie wezwałaś syna, by cię na kolei przyjął?

- Wcale go nawet o przyjeździe nie uwiadomiłam, chociaż i w jego interesie tu przyjechałam. Pokrzyżowały mi się wszystkie projekty. My bo, starzy, mamy ten błąd, że dzieci nasze mamy zawsze za niedorostki, myślimy za nich, kierujemy nimi, a tu ani się obejrzysz, że to już 133

ludzie, i trzeba się ich pytać, radzić. Tak i ze mną się stało.

Oczekiwałam cierpliwie końca nauk Kazia, żeby go osadzić i ożenić, a bałam się, że Włodzio nigdy się nie da na małżeństwo namówić. A właśnie Włodzio już wybrał, pokochał i chce się żenić, a Kazio przebiera, odciąga, wyprasza się, mydli. Nie mogę go przecie zmuszać ani tamtemu zabraniać. Nie dzieci już, ale ludzie. Boże broń, by mieli mnie winić o zwichnięcie losu.

- Z kimże się żeni Włodzio?

- Zakochał się w pannie Irenie Szumskiej.

- Tej, która jest u ciebie?

- Tak. Przyjechałam, aby poznać jej rodzinę. Jest i ona ze mną.

- I znowu zostaniesz bez towarzystwa?

- No, mam Kazia przecie i już myślę o emeryturze.

A mam nadzieję cię namówić, bo widzisz, trzeba ci się zastanowić, co będzie ze Stasią.

- Jak to? Ona będzie ze mną. Byt jej jest zapewniony.

- Nie o byt jej chodzi, ale o szczęście. Czyś jej pytała, co myśli czynić z sobą dalej?

- Pytać się? Przecie to nieszczęście było dla niej wybawieniem i rehabilitacją. Wyrzekła się swych mrzonek, wyrwała się z awanturniczej kariery, choć raz w życiu spełniła obowiązek, odzyskała społeczne, normalne stanowisko. Powoli dojdzie do równowagi, będzie do ludzi podobna.

- Moja droga, ty tak myślisz i ja, i może wielu jeszcze, ale Stasia jest pełnoletnia, jej trzeba spytać już o zdanie.

- Ona nic nie powie. Tyle ma sumienia i serca, że matki nad grobem stojącej nie opuści.

- Więc i tobie trzeba mieć sumienie i serce.

Uważasz, jest przykazanie o czci rodziców, ale miłość macierzyńska jest taką siłą przyrody, że jej nawet nakazywać Bóg nie widział potrzeby. A w tym wypadku córka ciebie zawstydza.

- Więc ty, ty znajdujesz, że ona powinna mnie oddać do szpitala! - oburzyła się Oziarska.

- Znajduję, że ty powinnaś dać jej dokończyć kursy, zdać egzamin, spełnić zadanie, które tak wytrwale tyle lat prowadziła. Nie jestem ja admiratorką emancypacji, świat się bez tego obejść może, ale cenię bardzo wytrwałą pracę, jasno wytknięty cel, a znieść nie mogę zmarnowanych sił, opuszczonego stanowiska i zwichniętych istnień. Żeby temu zapobiec, poświęciłabym wiele. Stasia nie stanie się taką jak inne, tylko się zmarnuje i będzie to dla ciebie dozgonny wyrzut. Daliśmy dzieciom życie, musimy największymi ofiarami dać im szczęście, o którym marzą, jeśli ono grzeszne nie jest; musimy im dół torować, nie hamować.

Oziarska zaczęła płakać.

- Więc tylko szpital dla mnie!... - jęczała.

- Moja droga, a gdyby Stasia była zameżna jak tamte twoje córki?

- To co innego, one nie mogą, mają obowiązki.

- Dla dzieci właśnie - i matka nawet przed tym ustępuje. A ty także masz dla dziecka obowiązek, któremu musisz ofiarować siebie. A o szpitalu nie ma mowy ani na lata się będzie liczyć twoja ofiara. Jeden rok przemieszkasz ze mną, jeden rok tylko dasz dziecku swobody. Ten rok sowicie ci się nagrodzi, bo i w duszy będziesz miała zadowolenie, i w sercu dziecka będziesz bóstwem. Znam Stasię, ona ci się stokrotnie odwdzięczy!

Ozierska spuściła głowę, ale już nie płakała.

Rozmowa zmieniła kierunek, bo wróciła Stasia, niezwykle wesoła i rozmowna, i zaczęła pytać się o zajęcie Kazia.

- Pracuje rzetelnie - przyznała pani Taida - ale zanadto dziki. Nie lubię bardzo towarzyskich, ale ten znów wcale ludzi nie chce. Prawda, zapomniałam, przysłał ci cały pakiet ziół. Istotnie Dysia kilku chłopów wyleczyła nimi od suchot.

- Jeśli to były suchoty - powątpiewająco rzekła Stasia, oglądając pilnie zioła.

- Przedstaw to profesorom swoim! - rzekła matka.

Stasia spojrzała na nią zdziwiona i ruszyła ramionami tylko.

- Nie masz czego ramionami ruszać! Matka twoja jedzie ze mną do Rudy, a ty się zbieraj do Genewy. Masz kończyć, to kończ, dość jest wykoszlawionych kobiet na świecie.

Stasia popatrzyła na obie, krew jej uderzyła do twarzy i nozdrza się rozděły na hasło swobody, ale po chwili twarz się skurczyła, stwardniała i odparła szorstko:

- Nie będzie za mnie nikt matki pielęgnował.

- Otóż właśnie ja będę - z gniewem rzekła pani Taida. - Matka twoja potrzebuje dobrego powietrza, słońca, suchego mieszkania. Zresztą my możemy o sobie decydować bez ciebie, mam nadzieję.

- Moje dziecko, niech mnie Bóg broni, bym ci ciężarem miała być! - ozwała się uroczyście Ozierska.  
- Ja mam też względem ciebie obowiązki. Pojadę do Rudy i będę na ciebie oczekiwać.

Tu zaczęła płakać wzruszona nad sobą.

- To nie może być! - uparcie mruknęła Stasia. - Ja 136

nie potrzebuję łaski niczyjej.

Ale pani Taida nawet nie raczyła jej zburczeć, zaczęła praktycznie projekt omawiać.

- Zabawię trzy dni, moja droga - mówiła do Ozierskiej. - Będzie dość czasu na upakowanie. Mieszkanie zostawicie pod opieką Włodzia, niech je wynajmie z meblami, on już to załatwi. Będzie ci wygodnie jechać, bo Irena wraca ze mną, więc będziesz miała obsługi dosyć. W

Rudzie już dla ciebie mieszkanie przygotowane, Kazio przyjedzie na stację, na rękach cię do powozu zanieś.

Com rada, tom rada, że ciebie mieć będę; starej z młodymi zawsze niezupełnie swojsko i marzyłam o

towarzystwie.

- Moja droga, czym ja ci za tyle dobrego odwdzięczę. Mnie będzie z tobą jak w raju.

- Koszałki-opałki! Ja nic nie robię bez interesu.

Doprawdy! Widzisz, na jesieni zapewne Włodzio mi zabierze towarzyszkę. Taki już los mnie prześladuje.

Przyjdzie jesień słotna, zimowe wieczory, będziemy gawędziły przy jakiej ręcznej robocie. To ty mi łaskę robisz...

I uściskała ją.

Ozierska już się cieszyła z projektu.

- Ho, ho - rzekła żartobliwie - i na mnie bardzo nie rachuj. Za rok Stasia wróci z patentem i zabierze sobie chore matczysko! Prawda, Stasiu?

Dziewczyna pasowała się z sobą, ale przemogło dobre, pochyliła się do rąk matki i rzekła:

- Mamo, to się nie godzi tyle dla mnie robić. Jam tego niewarta!

- Moje dziecko, bądź szczęśliwa, to i ja będę -

odparła serdecznie Ozierska.

A pani Taida patrzyła na swoje dzieło z uśmiechem 137

na surowej twarzy.

Wszystko się stało tak nagle, tak niespodziewanie, że Stasia ani się obejrzała, jak pewnego południa odprowadziła matkę na kolej, oddała ją pod opiekę pani Taidy i panny Ireny, ucałowała, uściskała i wróciła do pustego mieszkania. Przyszedł też z nią Włodzio, rozpromieniony, roztargniony, żądny łaskawego ucha, by się zwierzać.

Kochał świat cały, rad był, wesół, gotów do wszelkich usług i ofiar, byle mógł się wygadać. Stasia, rozejrzawszy się po pustym mieszkaniu, zaczęła sprzątać i zbierać swe książki. I jej było wesoło; krzątając się nuciła.

- Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus! -

zawtórował Włodzio basem, ale wnet zmienił melodię na oberka:

Trzy latam się przypatrywał twojej urodzie...

Trawka na wodzie, dziewczyno, trawka na wodzie!



- Panno Stasiu, żenię się przed adwentem, czy panią to cieszy? - zawołał.

- Cieszy! - powtórzyła roztargniona, przeglądając książki.

- Chciałaby pani być na moim miejscu? - nudził

dalej. - Mieć narzeczonego, kochać, być kochaną...

- Kocham, kochasz, kocha, kochamy, kochacie, kochają. Konjugacje dawno mam za sobą, na piątym kursie tego nie przechodzimy.

- Jak to? Ja zacząłem od trzeciej klasy i uprawiam ten przedmiot dotychczas.

- Słyszałam, że pan i w czasie pisania rozprawy tym się zajmował.

- Ten plotkarz Kazio! A pani myśli, że on lepszy.

Jak tu był wracając z zagranicy, to szalał za jakąś Francuzką. O tym pani pewnie nie opowiadał?

- Nie - odparła uśmiechając się.

- No, panno Stasiu, szczerze proszę odpowiedzieć.

Marzy pani też niekiedy o miłości?

- Cóż znowu! Ma mnie pan za pannę na wydaniu?

Nie marzę nigdy! Żebym była mężczyzną, nie ożeniłabym się, gdyż nie znalazłabym odpowiedniej kobiety, a żem kobieta, nie wyjdę za mąż.

- Dlaczego?

- Bo żaden mężczyzna nie szuka w żonie człowieka, ale żeczy wygodnej. Ja zaś rzeczą niczyją nie byłam i nie będę. Pół życia się kształcić, myśleć, rozwijać samodzielność, żeby drugie pół życia zapominać nauki, oduczyć się myśleć, działać i sobą rządzić, to jest zawsze pół życia tu czy tam zmarnowane. Ja zaś zanadto drogo kupiłam sobie to pierwsze pół życia, żeby je poświęcić dla marzeń!

- To się tak mówi, a potem przychodzi piorun i "jeśli pierś z lodu, namiętność ją spali, a jeśli z głazu

roztrzaska".

- Piorunów się nie boję. Widywałam dość wokoło siebie tych pożarów i roztrzaskań. Wygląda to niby dramatycznie lub lirycznie, ale w rzeczywistości ani ładne, ani zabawne, ani wzniosłe!

- Przyznam pani, że i ja wolę miłość jak małżeństwo, ale gdy nie może być inaczej...

Stasia roześmiała się szydersko:

- Otóż właśnie. Mężczyźni dlatego się żenią i tak dobierają sobie towarzyszek życia. Że zaś ta racja wedle moich pojęć określa, czym kobieta ma być w małżeństwie, więc ja w te szranki nie staję!

- Ech, nie chciałbym z pani mieć mentorki dla panny Ireny. Pomimo wszystko ona będzie ze mną szczęśliwa.

- Najzupełniej wierzę. Jest panną na wydaniu, na to ją chowano, nawet może pana wodzić za nos, jeśli będzie zalotna, choć głupia. Ale gdy będzie zbyt czuła, choć rozumna, to się panu prędko sprzykrzy. To wynik tej racji, dla której się pan żeni.

- Czy pani zawsze do wszystkiego używa skalpelu?

- Zawsze, to moja broń!

- Winszuję, ale nie zazdroszczę - nadąsał się Włodzio. - Z tymi pojęciami musi pani być najprzyjemniej w prosektorium.

- A panu w balecie! - rzuciła pogardliwie.

Pogniewali się zupełnie. Włodzio stracił ochotę do zwierzeń i wpadłszy w humor kwaśny, poszedł do domu.

- Rzebym tydzień pobyl z tym cudakiem, obrzydziłaby mi wszystkie kobiety - mrucał do siebie. -

Co za cynizm! Ohyda!

Zamyślił się jednak, zastanowił i dodał w duszy:

- Co prawda, w niejednym ma słusność, ale cóż z tego. Jak jest - jest wygodniej, łatwiej, przyjemniej i Boże broń od uczonych kobiet. Tę dopiero była nuda i fatyga, jeszcze w domu mózg suszyć, żeby z nią mówić i rezonować! Kobieta w głowie powinna mieć rozsądek -

reszta zbytek.

## V

Pani Taida przeżyła jeszcze jeden pracowity rok.

Ożeniła Włodzia, postawiła na nogi Ozierską maściami i ziołami cioci Dysi a swoim staraniem, i ona, co miała mieć w synu wyręczyciela, musiała wyręczać Kazia.

Tak, bo Kazio otrząsnął się z apatii i dzikości, zaczął

bywać u sąsiadów, agitować na zjazdach ziemiańskich, propagować kulturę Zachodu, brać czynny udział w ekonomicznym i społecznym życiu okolicy. Rozwijał się w nim człowiek czynu i inicjatywy, zawsze pierwszy z pomocą, z radą, z przykładem.

Poczęto się z nim rachować, wzywać w każdej publicznej sprawie, był członkiem różnych instytucji, zabierał głos na zebraniach i wskutek tego częściej był na gościńcu niż na łanie.

Ruda jednakże prosperowała i na okolicę była wzorem dobrego gospodarstwa, świetnych urodzajów.

Poczęli ludzie o niej mówić, podziwiać, chwalić:

- Jak to jednakże znać męską rękę.

- Pani Taida, co prawda, utrzymywała fortunę, ale jak wiadomo, nie na kobiecą głowę taki duży majątek.

Ledwie młody się wziął, jak to zaraz naprzód poszło, co za fornalka, jakie zboża. Ho, ho, ten Skarszewski grubo się dorobi.

A Skarszewski między jedną jazdą a drugą wpadał

do matki i dowiadywał się, co się robi na polu i gumnie.

Ręce jej całował, dziękował i ani krytykując, ani doradzając, poczynął opowiadać jej, gdzie był, co uradzono, gdzie znowu jedzie, dla jakiej sprawy, i pytał jej o zdanie. A ona, mądra doświadczeniem, długimi laty nauczona taktu i cierpliwości, hamowała go w jednym, 141

napędzała w innym, przypominała to i owo.

I tak przez tyle lat samodzielna i samowolna, usunęła się z pierwszego szeregu na drugi, uznanie nawet i chwałę ludzką oddając synowi. Byłaż bo przecie tylko kobietą.

W jednym tylko Kazio ją martwił. Nie chciał się żenić. Zrazu, gdy się tak rozruszał, była pewna, że lada dzień wyzna jej, że się zakochał, ale czas biegł, on się zapalał do buraków, do wzajemnego ubezpieczenia, do taniego kredytu, do szczepień ochronnych inwentarza, ale nigdy nie wspominał o żadnej pannie.

Zagadywała go nieraz:

- No, jakże ci się podobały panny w Jeziornej?

- Przystojne! Cały dzień grają w krokieta i kłócą się po angielsku.

- A Marynia Brzezińska! To zuch dziewczyna.

- Ale zuch - do much. Jeździ wprawdzie konno, ale do ciemnego pokoju boi się sama wejść. W ogrodzie u nich wilki się lęgną.

- Mój drogi, doskonałości nie znajdziesz.

- Ja też nie szukam ani wybieram panien.

- To źle, trzeba i o tym pomyśleć. Mnie coraz ciężiej, emeryturę już wysłużyłam w Rudzie.

Kazio całował ją po rękach, dziękował, wzdychał i zagadywał o czym innym.

Drużbował bratu i wtedy jakoby się zajął kuzynką bratowej, odwiedził nawet braterstwo w karnawale, zabawił

tydzień, ale wrócił posępny.

Ozierska wypytała się przecie, że mu panna zbrzydła lataniem po wieczorach i flirtach coraz to z kim innym.

- Taka kobieta to dla mnie nie człowiek! - rzekł

niechętnie. - Wstyd mi było za nią.

- Aleś wymagający! - trzęsła głową Ozierska. -

Przecie młoda dziewczyna musi się wybawić, wyszumieć, wyśmiać. Powinna się podobać, ludziom pokazać na wieczorze! Tyle jej swobody, co jeden, dwa karnawały -

potem klamka zapada i koniec. Przychodzą ciężkie obowiązki!

- Pewnie, że ciężkie, jeśli się do nich tańcami przygotowuje i zalotnością! - mruknął. - Zresztą ja tam świata nie odmienię, ale jeśli mam żonę wybierać z tańca i balu jak z targu, to się cofam od progu. Dawno pani miała list od Stasi?

- Onegdaj, oto jest, przeczytaj.

Listy od Stasi przychodziły regularnie co tydzień i on je zawsze odczytywał. Pisywała do matki i do pani Taidy, rzadko do niego. On donosił jej o swych czynach i zamiarach dość często, nie zrażony tym, że odpisywała ledwie co miesiąc. Dla Ozierskiej był pełen troskliwości.

Znajdował czas grać z nią w bezika, czytywać głośno gazety, rozmawiać wieczorem; cieszył się i śmiał z uciechy, gdy około Nowego Roku poczęła po troszę chodzić. Gdy wiosna nadeszła, Ozierska już się ruszała żywo, już się krzątała po domu, wyręczała panią Taidę.

Wtedy to pewnego dnia jakieś przeczucie, podejrzenie przemknęło przez głowę matki.

Wracali we dwoje wieczorem z pola piechotą i ujrzeli z dala Ozierską, jak już bez pomocy laski szła ku nim przez ogród. Kaziowi zabłysnęły oczy radością tak wielką i tak z serca rzekł:

- Mój Boże, a to będzie Stasi pociecha!

Pani Taida spojrzała na niego uważnie i spytała nagle:

- Wiesz, ty! Chyba się ty kochasz w tej Stasi!

Kazio oczy wbił w ziemię i milczał. Potem spojrzął

na matkę i szczerze odparł:

- Nie wiem. Nigdy nie analizowałem mych uczuć do niej, ale przywykłem o niej myśleć, bo się rozumiemy i tyle lat rywalizowaliśmy z sobą, kto lepiej, kto prędzej.

Takeśmy się zżyli, ale to chyba nie kochanie, bo o zespoleniu naszych losów nie marzę ja - tym bardziej ona.

- Są to także jakieś nowe wymysły! - zamruczała pani Taida. - Dawniej ludzie i ich uczucia były proste i naturalne, a teraz dziwolągi!

- I to prawda! - odparł. - Ludzie się wypaczają i koszlawią, bo umysły się rozrastają, duch postępuje, a prawa i zwyczaje stoją na jednym miejscu od wieków.

Kalectwa są winą niezdrowych warunków częściej niż natury.

- Czyli, że i ty jesteś zwolennikiem emancypacji i rewolucji!

- Mnie osobiście przeciętna, tak zwana dobrze wychowana panna nie wystarczyłaby jako towarzyszka życia. Wymagam więcej ścisłego wykształcenia i wytrawnego, poważnego umysłu. Ale przecie i to pojmuję, że taka niechętnie przyjąłaby rolę żony w obecnym ustroju społecznym i towarzyskim. Świata nie zmienię, ale też dla niego nie zrobię ofiary ze swych wymagań domowego szczęścia i pierwszej lepszej panny nie poślubię. Lepiej być zupełnie samotnym, niż mieć za towarzyszkę lalkę, kurę lub synogarlicę.

- Dziękuję ci za komplement w imieniu wszystkich kobiet! - oburzyła się pani Taida.

- Przepraszam mamę, ale gdyby ojciec żył i mama kurą by musiała zostać. Taki jest porządek społeczny i towarzyski. Mus, nieszczęście uczyniło z mamy człowieka, 144

ale ojciec by tego nie oglądał.

Pani Taida milczała zachmurzona; wreszcie rzuciła gniewnie:

- Ale i to prawda, że tak rezonując i analizując do reszty się wykrzywicie; świat nie zmienicie, a sami się zmarnujecie. Jeśli tak myślisz, właśnie siężeń i wykształć sobie towarzyszkę, rozwiń jej umysł, zainteresuj poważnymi, ścisłymi przedmiotami...

- Moja mamę, a któraż zechce, która jest do tego choć trochę przygotowana, której to nie znudzi? Przecie te, które znam, śmieją się ze mnie prawie w oczy i drwią, i nazywają pedantem. Nie mamu u panien, przekonałem się nieraz, bom brzydki, źle tańczę, nie umiem żartować. Ale za to jakie ma powodzenie Staś Jaczyński, który czego nie przegrał w karty, to przehulał, którego

siedemnastoletniego z drugiej klasy wypędzono, ale który doskonale prowadzi tańce! Dusza zebrań i zabaw.

Kiedyś, na wieczorze u Brzezińskich, podsłuchałem niechęcy zwierzeń panieńskich. Była o mnie mowa, taksowały Rudę - nie mnie, byłem dobrą partią, ale Staś to był dopiero ideał tych serduszek!

- Mój drogi, niby mężczyźni nie taksują także przede wszystkim i jedynie tylko majątku.

- Tak jest, i takim niech się chowają kury i lalki.

Warci siebie. Ja zaś majątek, dzięki mamie, posiadam; jeśli dorobię, to tylko własną głową i rękami, i kwestii pieniężnej do uczuć nie mieszam.

- To są teorie. Żebyś się zakochał...

- Chyba już nie. Za mało mi zostało iluzji - odparł

apatycznie.

Westchnęła pani Taida.

- Jeszcze nie wiesz, co to jest samotność i pustka w 145

domu - zakończyła rozmowę.

Troską to jej było codzienną odtąd, ale już syna więcej nie nagabywała, tylko o Stasi myślała z niechęcią.

Ona to widocznie przewróciła w głowie chłopcu, poddała mu te absurdy i skrajności dziwaczne. Postanowiła rozmówić się z dziewczyną ostro, listownie nie chciała kwestii dotykać.

Czas biegł, a wieści z Genewy zupełnie ustały, wreszcie przyszła depesza, jedno słowo: "victoria!"...

potem list, gryzmołony gorączkowo, ledwie czytelny.

Patrzyła pani Taida na syna, gdy czytał, widziała na twarzy jego zapał i wielkie uradowanie i zachodziła w głowę, co też to jest za uczucie.

A on list złożył, odetchnął, jakby jej triumf dzielił, i rzekł:

- I postawiła na swoim. Ot człowiek.

- Jeszcze egzamin państwowy! - jęknęła Oziarska. -

A jakże ona musi wyglądać, to się bez choroby nie obejdzie; mój Boże, widać z listu, że już i pióra nie ma siły prowadzić i słowa się płaczą. A o powrocie ani słowa; co ona sobie myśli? Żeby litość



nad sobą miała i chciała wypocząć. Napiszę, ale czy ona mnie usłucha. A może leży chora już.

- Zatelegrafuję w pani imieniu! - rzekł Kazio.

- Dodaj ode mnie, że ją tu czekamy! - po sekundzie wahania ozwała się pani Taida.

Wysłał Kazio depeszę, na którą nie było odpowiedzi.

Tymczasem zaludniła się Ruda, bo zjechali Włodziowie na lato, tak szczęśliwi i z siebie zadowoleni, że aż pani Taida patrząc na nich zapomniała swej troski o Kazia.

A Kazio prawie gościem był znowu w domu, zajęty wiosenną serią własnych i cudzych spraw.

Pewnego wieczora wracał z powiatu, gdy na drodze spotkał bryczkę pocztową z tak rozbitym dzwonkiem, że aż spojrzał, kto by cierpliwy to znosił. Spojrzał i krzyknął:

- Stój! - furmana za ramię biorąc.

Na bryczce jechała Stasia.

Chłopak zeskoczył i zbliżył się do niej rozpromieniony.

- Nareszcie! - zawołał. - Czemuś nie odpowiedziała na depeszę? Matka twoja schnie z niepokoju.

- Wysłałam list, który zapewne zginął. Żeby nie matka, nie zrywałabym się tak do wypoczynku, ale teraz każde jej życzenie spełnię, więc jestem. No, druhu, dotrzymałam ja - a ty?

- Jakem ci obiecał. Wołem nie zostałem. Opowiem ci wszystko, com zaczął, a ty powiedz, ciężko było?

- Już nie pamiętam. Mam dyplom "cum laude".

Krajowy egzamin fraszka! Zdobyłam szklaną górę.

- Odpraw pocztę i jedźmy razem.

- Nie chcę; ty możesz na moją brykę się wgramolić.

- Pod warunkiem, że ten przeklęty dzwonek odrzucę.

- Dzwonek? Nawet nie wiedziałam, że jest. No, jeśliś nerwowy, to każ go zdjąć.

Ruszyli tedy razem i zaraz Stasia spytała:

- Cóż, namówiłeś sąsiadów do tego ubezpieczenia?

- Ba, ty myślisz, że to tak łatwo. Co jednego przekonam, to trzech odpadnie. No, a ty co myślisz dalej robić? Osiąść w Warszawie?

- Jeszczem się nie zdecydowała. Za granicę mnie ciągnie! Schonemann namawia, bym wróciła do jego 147

kliniki chorób kobiecych! Namyślę się, jak trochę odetchnę.

- Fijolski dogorywa. Żebyś nie chciała sławy, tutaj miałabyś chleb i zasługę.

- Winszuję, zęby rwać, pijawki stawiać, rany opatrywać, gorączki leczyć i w rutynie się zagrzebać.
- Ba, to zależy od punktu widzenia. Bo jakieś mi kiedyś cytowała: nie ma marnych stanowisk, są tylko marni ludzie...
- Daj mi z tym spokój w tej chwili. Nie mam głowy do filozofowania, muszę czas jakiś tylko spać, jeść i próżnować. Nawet do dysputy nie mam myśli.
- Ale pójdziesz na kaczki? - spytał wesoło.
- Może, jeśli matki to nie zgorszy.
- Zamienili cię w Genewie?
- No, nie, ale matce nie zapomnę ofiary, którą uczyniła.
- A nam? - żartował dalej.
- Wam także! - odparła poważnie.

Spojrzał na nią tęsknymi, smutnymi nagle oczami.

Od chwili, gdy ją spotkał tak niespodzianie, po radości, jaką odczuł na jej widok, zrozumiał swe uczucie tyloletnie. Rozmawiał, pytał i odpowiadał, ale w duszy i myśli miał inne słowa, a w sercu wrzenie i bicie młodej krwi.

Więc to - to było kochanie. Dlatego tak obojętnie mijał wszystkie kobiety. Człowieka chciał. "Wam także!" odparła poważnie. Gotowa była im płacić za dobroć i pomoc. Tedy nie można się zdradzić. Ładne to było zakończenie. Wymagać od niej poświęcenia ideału, triumfu, powołania. Popatrzył na nią i umilkł. Smutno mu było, ale przecie dobrze, tylko rad by milczał i myślał tak

razem z nią, ukołysany, rozmarzony pierwszy raz w życiu.

Ona, zmęczona ogromnie, nie odzywała się także długą chwilę. Wreszcie przeciągnęła się i ziewnęła.

- Czy to jeszcze daleko? - spytała.
- Tylko ten gaj miniemy. Ale wiesz, są Włodziowie u nas.
- Cóż ona? Zdrowa?
- Zdrowa, różowa, biała, trochę utyłła. Kochają się na umór. Włozio jak zawsze kpiarz.
- Dobrze mu idzie praktyka?
- Nie wiem, nigdy o tym nie mówi.
- Rzemieślnik! - mruknęła.

Kazio się zawahał i spytał jakoś nieswoim głosem:

- Czy ty sobie nie przykrzysz, że my sobie dotąd mówimy “ty”?

- Bo co? Aha, Włodzio się z tego śmieje! Bo prawda, matka mi to zawsze wytykała, że nie wypada.

Trzeba by przejść na pan i pani, ale czy będę pamiętała -

nie rękę.

- Tylko przy ludziach.

- O, co to, to nie. Miałabym jeszcze myśleć, kiedy, co? Ładnie bym pomieszała! Ha, no, trudno, trzeba zapomnieć studenckich zwyczajów. Daj mi papierosa.

Wjechali w gaj wonny od rosy, księżyc wschodził.

Rozejrzała się Stasia wokoło i rzekła:

- Ładnie jest tutaj, jakby człowiek zdrowie i siły połykał z powietrzem. Ej, chyba przekonam mamę i wybiorę się z tobą na kaczkę. Masz tobie, i znowu “ty”!

Przekłete ceregiele światowe. Mówi mi pan pani, bo zapomnę. Co ci znowu? Śpisz?

- Ja, nie! - westchnął. - Szkoda mi studenckich czasów i naszego koleżeństwa.

- No, tego nie cofam!
- Ale ja czuję, że się skończyło i nie wróci! Otóż i Ruda.
- Dzięki Bogu! Cztery doby jadę bez wytchnienia.

Zajechali przed ganek. Kazio wyskoczył, lecz zamiast wejść razem do domu, ruszył wprost do swojego pokoju, tam się rozebrał i nie zapalając światła, rzucił się w fotel.

Sam nie zdawał sobie sprawy, ani co myślał, ani ile czasu tak przebył w ciemności, wtem wpadł Włodzio:

- Co ty tu robisz? Śpisz! Czekają na ciebie z kolacją.

Mama mówi, żeś pewnie zajęty, a ten śpi. Wiesz, uważałeś? Stasia wyładniała. Prawi wciąż o Schonemannie.

Gardło dam, że się zakochała w Niemcu. Oczy jej się świecą.

- Świecą się ze zmęczenia. Cztery doby w drodze, to ją tylko nerwy trzymają.
- Ciebie nie trzymają, śpiochu. Chodźże, my się wybieramy na spacer po kolacji.

Gdy weszli do jadalni, wszyscy już siedzieli u stołu.

Kazio znalazł swe miejsce obok Stasi i w milczeniu zniósł żarty brata o ospalstwo.

- A żeby tak jutro o świcie na kaczkę? - zaśmiała się Stasia.

- Źle by było, żebym panią wziął na słowo! - odparł.

- No, no. Proszę nie wyzywać.

- Na litość Boską! - zaprotestowała Ozierska.

- Niech pani będzie spokojna. W nocy wyjeżdżam na kolej - odparł.

- Gdzie znowu? - spytała pani Taida.

- Do Złotopola na próbę ekstyrpatorów. Zjedziemy się z Jezierskim i Brzezińskim. Nie wrócę aż dziesiątego, jeśli o Warszawę nie zawadzimy, na wystawę.

- Ej, wróć na wigilię świętego Jana - wtrąciła Irenka.
- Przecie mamy nocować w lesie szukając kwiatu paproci i palić sobótki.
- A będziesz śpiewała w lesie, na rosie?
- Będę.
- Ano, to wrócę.
- Mój drogi - wtrąciła pani Taida - a nie zapomnij o imieninach radcy. Oczekują tam na pewno Włodzów i ciebie. I ciotka ma żal, żeś tak dawno nie był.
- Zdaje mi się, że i panna Maria ma żal! - zaśmiał się Włodzio.
- To niech sobie ma! - mruknął Kazio. - Nie mam czasu zachwycać się jej konną jazdą i kostiumami sportowymi.
- Kto jest panna Maria? - zagadnęła Stasia.
- Domniemana moja bratowa! - odparł Włodzio.

Spojrzała na Kazia z drwiącym półuśmiechem. Ale on w tej chwili podniósł na nią oczy i odparł:

- On stworzony na żydowskiego swata, który gotów swatać gęś z prosięciem, byle handel szedł.
- No, bardzo proszę panny Marii nie porównywać do gęsi ani do prosięcia. A ty nie bądź tak pyszny i wzgardliwy. Beze mnie się przecie nie obejdziesz, gdy moment przyjdzie...

Kazio ruszył ramionami.

- Ani będziesz wiedział, gdy przyjdzie, ani gdy odejdzie. Sam sobie dam radę.
- Oho, czy nie gore! - zaśmiał się Włodzio.

Pani Taida dała hasło powstając i wnet całe towarzystwo przeszło do salonu.

Ozierska zabrała zaraz Stasię, pani Taida ziewała, Kazio milczał. Włodzowie poszeptali i sami cichaczem 151

wynieśli się do ogrodu.

Stasia, jak to sobie obiecywała, przez dni parę tylko jadła i spała, potem przysłała do pani Taidy, pokazała swój dyplom, ucałowała jej ręce i podziękowała tak wzruszona, że łzy miała w oczach. Rozczuliła tym panią Taidę, że zapomniała, jako jej miała prawić kazanie.

- No cóż myślisz robić teraz ze sobą? - spytała zdejmując okulary po przeczytaniu dyplomu.

- Myślę wyjechać za granicę, do Szwajcarii. Mam już tam stosunki, znajomych, utartą drogę. Matka się zgadza ze mną tam zamieszkać i nawet rada, że mi to oszczędzi kucia tu znowu do egzaminu. Mam dwadzieścia trzy lata, czas by było szkolarstwo skończyć. Zresztą tutaj na doktora-kobietę patrzą jeszcze z lekceważeniem i niedowierzaniem, o praktykę będzie trudno, a tam inny duch, lżej się oddycha. Więc wszystko rozważywszy, wrócę pod skrzydła mojej Almae Matris.

- A tutejszą opuścisz! Nie dziw, od nędzarki wszyscy uciekają. Niech dogorywa samotna!

- Już jej sił i życia nie wrócę.

- Bardzo wygodny argument dla samolubstwa i materializmu! Bardziej rada, że tych twoich zasad Kazio nie słyszy.

- Dlaczego?

- Boś pod względem małżeństwa najdziksze mu wmówiła teorie, a on jest pod twoim wpływem niestety i powtarza lekcję jak papuga.

- Nigdy nie było między nami mowy o małżeństwie

- zaprzeczyła energicznie Stasia. - Doprawdy, ja sama nigdy o żadnych teoriach w tej kwestii nie myślałam.

- No, przecie jesteś przeciwniczką małżeństwa?

- Osobiście tak jako kobieta, ale on mężczyzna -

niech się żeni. Co mi tam!

- Jestem pewna, że nie kto inny, a tylko ty mogłabyś go do tego przekonać. Powinna byś nawet to uczynić dla mnie.

- Gotowam spełnić, co tylko pani sobie życzy.

- No, wątpię, a raczej nie mam prawa życzeń moich ci narzucać. Czyń wedle swej woli. Masz swoje ideały, ja swoje. Nie rozumiemy się.

- Owszem, ja panią rozumiem.

Założyła ręce na kolana, pochyliła głowę i zamyśliła się głęboko. Pani Taida nie przerywała jej, pisała na biurku list.

W tej chwili lokaj drzwi otworzył i rzekł:

- Proszę pani, Hanna przyszła.

- Wprowadź ją do kancelarii.

Po chwili rozległ się płaczliwy głos starej chłopki:

- Proszę pani, ja po radę. Mój stary już od postu rany na nogach ma i zagoić nie można.

- Moja kochana, zaraz ci tu doktora przyślę.

- Pani myśli młodego pana! Jużem go sama prosiła, ale on mówił, że nie ma czasu. Wiadomo, odpocząć do domu przyjechał, a dopiero co widziałam, z młodą panią popłynęli do pasieki.

- A gdzież ten twój stary? W chałupie?

- Przywiozłam go. Na wozie leży, tu, za bramą.

- Stasiu! - zawołała pani Taida. - Obejrzyj rany tego chłopca.

Dziewczyna ocknęła się z myśli i weszła.

- Jakiego chłopca? - spytała.

- Mego starego, panienczko! Od postu na nie leży!

- poczęła stara obejmując ją za nogi.

- Chodźmy! - rzekła pani Taida biorąc kapelusz.



Poszły we trzy za bramę, gdzie na wozie chłop leżał

wymizerowany okropnie.

- Jakże go tu opatrzę? - rzekła Stasia. - Żeby go gdzie w pokoju umieścić.

- Każę otworzyć szpitalik Dysi - odparła pani Taida.

Po chwili stara dozorczyńni otworzyła im do stanczyjek pustych i chłodnych i bardzo uradowana posłała łóżko, otworzyła okno i szafę apteczną, a przypomniawszy zwyczajnie cioci Dysi, podała Stasi uroczście fartuch i miskę czystej wody.

- Zaraz przyniosę ciepłej, a karbol tu stoi...

A stara Hanna, układając na łóżku chorego, rzekła wzdychając:

- Mój Ty Boże! Gdzie te czasy, gdy tu nieboszczka jako anioł chodziła ciało i duszę lecząc! Oj, proszę pani, u Boga ona po prawicy króluje, a my bez niej sieroty!

Milczała i Stasia, i pani Taida, ale obie myślały jedno. Widzenie i zielnik. Tak bo dziwnie się złożyło, że po latach pierwsza Stasia przypasała fartuch i zajęła w posiadanie szpitalik. A jak prędko i zgrabnie brała się do dzieła, jak lekką miała rękę! Chłop leżał spokojnie, przygotowany na długą operację i ból, i aż zdumiał, gdy się podniosła od łóżka, mówiąc:

- Gotowe. Teraz by trzeba mu leżeć spokojnie i dwa razy na dzień opatrunek zmieniać. Pojęcia nie miałam, żeby mogła być rana tak źle utrzymana.

- Zostawcie go tutaj, Hanno! - rzekła pani Taida.

- Proszę pani, pokornie za łaskę dziękuję. Teraz taki czas roboczy. Leży biedaczysko sam w chałupie, nawet mu wody nikt nie poda. Cóż, zostaniesz, Bazyl?

- Oj, mnie byle się nie ruszać. Jak pomyślę nogi spuścić na ziemię i na wóz się gramolić, to już lepiej  
154

skonać od razu. Daj, Boże, pani i panience niebo.

A dozorczyńni, odbierając od Stasi fartuch i podając jej wody do rąk, recytowała uradowana:

- Już ja wiem, panienko. Dobrego rosółku mu trzeba i ziółek tych oto dać pić. Ja pamiętam, jakby mnie wczoraj nieboszczka uczyła. Stancję wywietrzyć, choremu usłużyć, trochę pogawędzić, a w nocy parę razy wstać. Oj, oj, ja tu obok mieszkam i wszystko wiem! Ale to ludzie gadają, że panienka prawdziwy doktor, to może by panienka posłuchała mnie w piersiach i od duszności coś dała.

Odbyła się tedy druga porada. Auskultacji przyglądała się Bazyłowa dziwując się bezmiernie.

Stasia przejrzawszy apteczkę dała dozorczyńni kropli i wyszła wreszcie.

- Jak się słuch po wsi rozniesie, że szpitalik otwarty, jutro łóżek zabraknie! - rzekła do niej pani Taida z uśmiechem.

A Stasia, już porwana zapałem, odparła:

- W takim razie trzeba odnowić i dokompletować aptekę i trochę narzędzi, choć najniezbędniejszych, dostać.

Szkoda, że Kazio wyjechał, prosiłabym, żeby mi moje przywiózł, które w Warszawie zostawiłam u znajomych w przejeździe.

- Napisz do znajomych, niech ci pocztą wyślą. Za tydzień odbierzesz.

- Napiszę zaraz.

Sprawdziły się słowa pani Taidy. Bazyłowa wieść o szpitaliku rozniosła po wsi i gdy nazajutrz Stasia przyszła opatrzyć chorego, znalazła się i stancję dozorczyńni zapchaną ludźmi.

Było kilka kobiet z dziećmi, wyrostek zielony od długiej febry, chłop z rozrąbaną ręką, dwóch pacjentów z 155

dyzenterią - cały komplet.

Stasia wróciła ledwie na obiad, cała zajęta swym fachem, i wnet natarła na panią Taidę:

- Jak pani przepowiadała, już pełno w szpitaliku, ale teraz z lekarstwami bieda. Nie mam jeszcze prawa podpisywać recept, a w apteczce wszystkiego brakuje.

Zwróciła się do matki

- Wie mama co? Zmieniłam projekt. Zabieram się kuć egzamin. Co tam! Jeszcze trochę cierpliwości.

- Więc kolega już praktykę rozpoczął! - śmiał się Włodzio. - A wolno będzie pacjentów zobaczyć? A może złożymy małe konsylium, a może razem operacyjkę utniemy. Przeegzaminuję kolegę z łaciny.

- Dobrze! Niech pan przyjdzie po obiedzie! - odparła bez gniewu, owszem rada.

Poszedł Włodzio, obejrzał chorych, wysłuchał jej diagnozy, podpisał za nią kilka recept, żartował, śmiał się, ale za powrotem rzekł do żony:

- Wiesz, szalenie bystro obejmuje rzecz, decyduje śmiało i trafnie, jakby zęby na tym zjadła. Nigdy się nie spodziewałem, że w głowie kobiecej taki może być ład. Co prawda, o tym jednym śni i myśli. To jest dopiero powołanie.

- Po cóż drwisz i ośmieszasz ją bezustannie.

- Ba, żeby zbytnio zarozumienia nie nabrała. A łacinę różnie jak rzepę. Lepiej niż trzeba.

Od tej chwili Stasia znowu stała się dla towarzystwa mitem. Czas wolny od chorych spędzała nad stosami książek, pisząc, ucząc się późno w noc, obojętna na urok wsi i lata, nieobecna myślą przy rozmowie w czasie obiadu, usuwająca się od rozrywek i spacerów.

Gdy Kazio wrócił, opowiedziała mu swe zajęcie, 156

zaprowadziła do chorych, a gdy słuchał i patrzył

roztargniony - spytała zdziwiona:

- Co ci? Czyś nie chory? Wydajesz się nieswój.

- Bom też nie swój, a czyjś! - odparł z dziwnym uśmiechem.

Zastanowiło ją to powiedzenie i uśmiech i przypomniała sobie polecenie pani Taidy.

- Ale mam z tobą do pomówienia! - rzekła.

- Słucham!

- Ba, kiedy Włodziowie nadchodzą.

- To chodźmy jutro o świcie na kaczki! - szepnął.

- Dobrze.

- Przyślę cię zbudzić!

- Nie trzeba. Skończę pisać i wcale już spać się nie położę.

- Szkoda ciebie. Takaś znowu mizerna, Staśko! -

rzekł jakimś nieswoim tonem patrząc na nią łagodnie.

- Et, głupstwo! Albo mi to pierwszy raz. Przygotuj mi tylko lekką strzelbę.

Włodziowie nadeszli i zawrócili wszyscy do domu.

- Cóż! Palimy jutro sobótkę? - spytała Irenka. - Ale i pani z nami pójdzie, panno Stanisławo?

- Po paproć! Dobrze, jeśli nie zasnę, bo jutro do dnia idziemy na kaczki na błota.

- Winszuję! Pamiętacie kiedyś burę mamy? Co do mnie, wolę oglądać zachód słońca jak wschód.

Tu zwrócił się do Kazia:

- Powiedz mi, co się z tobą dzieje? Wyglądasz przytomny, ale nieobecny. Pokaż no język. Możesz chory?

Muszę ci serce przesłuchać. Coś mi bardzo patrzysz na zakochanego...

- No, a jeśli tak, to co? Przecie mi wolno.

- Ależ wolno, i owszem. Idź do mamy po soliter.
- Niestety, kocham mężatkę, ot tę tam gruszę przy lodowni.
- Za wysoko patrzysz - rozgniewał się Włodzio.
- A bo też dokuczasz każdemu - wtrąciła się Irenka -

i drażnisz bez ustanku.

- Ciebie nigdy!
- Doprawdy! Dwóch słów serio nigdy od ciebie nie słyszałam.

Stasia uśmiechnęła się i skręcając na boczny ganek rzekła półgłosem:

- Warto było po to iść za męż.

Nazajutrz jeszcze szary był świat, gdy Kazio, ubrany do polowania, obładowany dwiema strzelbami, zapukał do okna Stasi. Otworzyła mu okno i wyjrzała, jednocześnie składając książkę i gasząc lampę.

Kiwnęła mu głową w milczeniu, by nie zbudzić Ozierskiej w sąsiednim pokoju, i po chwili wyszła na ganek.

- Widzisz, zem nie zasnęła. Daj no mi strzelbę.
- Poniosę obie.
- Przecież mi nie będziesz usługiwał. Nie dziwacz.

Odebrała mu broń i pas z ładunkami i ruszyli przez ogród na łąki.

Świat się czynił srebrny i perłowy, bujna rosa leżała na trawach, wabiły się chruściele i przepiórki, zresztą jeszcze wielka była cisza.

Amik, pokurcz, specjalista od kaczek, uwijał się wesoło przed nimi, raz wraz spinając się z wielkiej uciechy na piersi Kazia.

Wtem spod nóg Stasi porwały się kuropatwy -

złożyła się i strzeliła.

- Pudło! - rzekła, gdy ptak zapadł w zboża.

- Przeznaczeniem twoim jest uzdrawiać, a nie uśmiercać! - odparł.

- Bodajbyś był prorokiem. Czego nie mogę w sobie wyrobić, to doktorskiej obojętności na śmierć. Pamiętam raz pod nożem Schonemanna zmarła młoda kobieta, której raka w gardle operował. Było nas kilkoro studentów przy tym. Nadrabiali miną, a może i naprawdę nic ich to nie obchodziło; Schonemann do okna podszedł, w szybę pobębnił i tylko ramionami ruszył. A mnie płakać się chciało, wolałabym sama kipnąć! Brr!

- Ten Schonemann stary, młody? - zagadnął.

- Niestary. Ot, to mistrz chirurg! Chciałabym tym być, co on!

- To ten, co Włodzio dowodzi, że się w nim kochasz?

- A ten - odparła obojętnie. - Nie lubił, nie cierpiał

studentek, nie dla żadnych uprzedzeń, wyższy jest nad to, ale dowodził, że do chirurgii brak im siły fizycznej. Bo to czasem bywają operacje, gdzie tylko siła coś znaczy, no i nerwy trzeba oswoić, by się nie wahać, ciąć, ciągnąć, gdy ciało z bólu aż, zda się, kurczy! Wtedy każdej studentce aż wargi zbieleją i ręka drży. Gniewał się i złościł, precz odpędzał i zawsze do mnie się zwracał: "Panna Oziarska -

sie sind doch Mensch - naprzód, tamte mi tylko zepsują robotę! No, pokaż pani siłę - zimną siłę". Przewali mnie nawet "zimna siła".

Kazio słuchał w milczeniu, idąc za nią.

Słońce wstawało, gwar ptaszy budził się po polach i łąkach wonnych, dochodzili błot, środkiem których ruczaj się wił; świat był bardzo piękny i chłopak był rozmarzony, a tu ona opowiadała o operacjach z zapalem i przejęciem.

Więc go ogarniała rozpacz i żal do niej.

- Ty byś i mnie tak pokrajała z satysfakcją, z zimną siłą, na pokaz temu Schonemannowi! - burknął rozdrażniony.

Obejrzała się.

- Czegoś ty taki zły? Naprawdę, Włodzio ma rację -

tyś się zmienił. O niczym z tobą nie można mówić.

- Jak to o niczym? Czy oprócz rzeźniczych popisów nie ma już więcej tematów? Co mnie może obchodzić twoje kokietowanie jakiegoś Schonemanna lancetem i skalpelem.

- Tyle, co mnie twoje simentalery, merynosy i sacki.

Słucham z zajęciem o twoim fachu.

- Niech lichy to wszystko zabierze!

- Będziemy zatem milczeli, bo ja o ludziach znanych mówić nie umiem, gazet politycznych nie czytam, nowin towarzyskich nie posiadam.

Zawstydził się swojego wybuchu.

- Ty mi wybacż! Jestem zdenerwowany i rozstrojony - rzekł.

- Cóż ci się stało?

- Ot, obmierzło mi wszystko. Pracuję, morduję się i po co - dla kogo?

- Widzisz to mi przypomina, com ci miała mówić.

Matka twoja uczyniła mi wymówkę, że jeśli się nie żenisz, to z winy mego zgubnego wpływu. Jeśliś jej to wmówił, toś skłamał. Kiedym ja ciebie odwodziła od małżeństwa?

Zwróciła się do niego i stanęła patrząc mu prosto w oczy.

- A czyś ty pomyślała kiedy, że ja się ożenię? -

odparł.

- Nie - rzekła szczerze. - Nigdy mi to do głowy nie 160

przyszło.

- A gdyby się to stało, nie byłoby ci przykro?

Zastanowiła się, zupełnie szczerze badając siebie.

- I to mi nigdy do głowy nie przyszło! - powtórzyła.

- Ale naprawdę, zwykłą koleją to przyjść musi.

- Może masz dla mnie partię? - spytał gorzko.

- Także przypuszczenie! Weźmiesz sobie jaką pannę ładną i posażną, jak każdy, i będzie wam dobrze.

- Bardzom ci wdzięczny za zdanie i radę, ale nie spełnię. Nie wezmę "jak każdy" pierwszej lepszej panny, bo mam jedną wybraną, a że ona mnie nie chce, więc zostanę sam.

- Czemuż ona ciebie nie chce?

- Bo za mało dać mogę i serca nie potrafiłem zdobyć.

Pokręciła głową.

- No, no, i zakochałeś się tak bardzo? Patrzcie no!

- Radaś temu? - zagadnął.

- Nie! - odparła szczerze. - Obcy mi się zdajesz i dalszy.

Ruszyła znowu zamyślona i po chwili się ozwała:

- Że też to każdy odbyć musi. Ciekawam, czy ja uniknę! Chyba! Żeby się zakochać, trzeba przecie mieć choć trochę iluzji, krztę ideału uchować na nagiej prawdzie, a ja zawsze tylko prawdę widzę. A ty jakże? -

kochasz ją, bo piękna?

- Nie - kocham, bo jest człowiekiem i w duszę mi wrosła.

- I nie pożadasz jej może? - rzekła ironicznie.

- Owszem, przecie homo sum. Alem ją ukochał dla duszy jej przede wszystkim.

- Chciałabym wierzyć, ale trudno - mruknęła.



- Powinieneś to wyznać matce! - rzekła po chwili -

niechby ze mnie winę zdjęła.

- Ja zwykłem zwierzać się tylko tobie, nikomu więcej.

- No, teraz to ci rady dać nie potrafię. Cierp sam.

- Ja nie cierpię. Ba! Żebyś wiedziała, jak dobrze jest kochać, tobyś mi zazdrościła. Takim bogaty jak monarcha.

Mam moją wybraną...

- Która ciebie nie chce.

- Ale innego nie kocha. Śpi jej serce jak królowna z bajki.

- Aż ją zbudzi jaki królewicz elegant.

- Nie. Ona takiego nie weźmie i taki się na niej nie pozna. Moja będzie albo niczyja.

- Wiesz, że pleciesz jak w gorączce.

- Oby i na ciebie przyszła taka gorączka. Wtedy ha, wtedy!

- Byłoby dwoje wariatów.

- Nie - byłoby dwoje szczęśliwych.

Spojrzała na niego, ruszyła ramionami. Zdumienie, gniew odbiły się w jej twarzy.

- Słowo daję, co z tobą się dzieje! Patrzysz na mnie taki rozpromieniony, jakbym ja była tą wybraną.

- Ano, naturalnie, że ty! Któż inny?

- Ja? Ty się kochasz we mnie?

- Czy mi nie wolno?

- A coś zapewniał zeszłego roku w Warszawie?

- Zapewniałem, bom nie wiedział, co czuję i jak. A teraz wiem.

- I oświadczasz się mnie?

- Nie.

- Ofiarujesz serce i rękę?

- Ręki nie. Serce tak. Twoje jest.

- Oszalał. Potrzebne ci to i mnie także! Miałam kolegę, bratnią duszę, a teraz czym ty jesteś dla mnie?

- Zostanę bratnią duszą!

- Dziękuję ci! Już nie wierzę.

Żachnęła się niecierpliwie.

- Słuchaj, ty się opamiętaj i wybij to sobie z głowy.

To jest taki absurd, że to ci minie, gdy się zastanowisz.

Spytaj, kogo chcesz, czy ja jestem panną do wzbudzenia miłości! Sam nie wiesz, co pleciesz. Wyobraź sobie, gdybyś matce to powiedział!

- Daj mi święty spokój. Nikomu nie powiem, ale też się nie zmienię. Co ci to szkodzi, alboż ja cię proszę o wzajemność. I owszem, niech cię nikt nie kocha ani ty nikogo. Dlatego cię upodobał sobie. Człowiek solidny jesteś i dumnym z ciebie. Idź swoją drogą, zdobyłaś ją, teraz przed tobą świat otworem. Trzeba mi było powiedzieć ci prawdę, żebyś nie dziwiła się, że czasem chimeryczny teraz i nieswój, ale już więcej nic nie powiem. Skończone -

stało się. Możesz sobie wyrzucić z pamięci całą rozmowę.

- Głupiś! Albo to można. Zabiłeś mi dopiero ćwieka w głowę. Wiesz, warto by Włodzowi szepnąć o tym. Ten by dopiero cię wyleczył!

- Jestem spokojny, że tego nie zrobisz.

- Dlaczegoż?

- Bom ci powierzył swe serce nie na zabawę, a tyś za poważna i zbyt rzetelna, żeby zdradzać czyjeś zaufanie dla żartów! Chodźmy na kaczki.

- Daj mi spokój. Właśnie mi kaczki w myśli.

Wracam do domu.

- Po co? Tu, za wierzbą, co dzień stado żeruje.

- To żeruj sam z nimi. Ja jestem zła i żebym się nie 163

hamowała, nagadałabym ci impertynencyj.

- Staśko, przecież cię nie obraził ani ubliżył.

- Et, idź szukać rozsądku, któryś zgubił. Mam cię za niepoczytalnego!

Zawróciła się i poszła ku domowi.

- Warto było lecieć o świcie na błota, żeby się takich głupstw nasłuchać! - mruzczała do siebie. - Co prawda, ten koleżka w Genewie, który z czymś podobnym wystąpił, lepiej zarobił, ale tegom nie mogła tak zwymyślać, bo żadnych propozycji nie robił. Ale w każdym razie głupie położenie. Trzeba będzie zbierać manatki i zmykać. A tobym się prędzej spodziewała, że gęsi będę paszała, niż takiej nowiny.

Wstąpiła wprost do szpitalika i po godzinie opatrywania chorych już nie myślała o wypadku.

Wydawało się to jej bardzo marnym wobec pacjentów i ich dolegliwości; a w reszcie zupełnie zapomniała.

Idąc na śniadanie spotkała Kazia wracającego z polowania. Miał dwie kaczki u torby i rękę okręconą chustką skrwawioną.

- Może i mnie opatrzysz? - zawołał. - Pies szarpał

kaczkę, odpędzałem go i strzelba mi wypaliła w rękę. Palce całe, ale dłoń poszarpana.

- Chodźże do szpitala.

Powstał rumor w całym dworze. Pani Taida pierwsza przybiegła i zastała już Stasię przy robocie.

Kazio, blady z bólu, milczał nie patrząc na swą rękę, ale na Stasię, która z wielką delikatnością dobywała ziarna śrutu oblepione krwią.

- Mój Boże, jeszcze rękę straci! Trzeba obudzić Włodzia - wołała w desperacji.

- Niech śpi! - zaprotestował Kazio. - Stasia to tak 164

dobrze reparuje, że mnie nie boli. A mam rękę stracić, to i Włodzio nie pomoże.

- Ręka zostanie, tylko szwy będą na pamiątkę -

odparła Stasia. - Nie słabo panu? Tam eter stoi.

Oho, panu! - pomyślał. - Jak jej to łatwo przychodzi.

Matka objęła go ramieniem za szyję i pocałowała w czoło zroszone potem. A wtem i Włodzio nadszedł

zaalarmowany przez służbę, zaniepokojony.

Chciał pomóc Stasi, ale brat nie dopuścił.

- Nie rusz mnie. Masz łapy ciężkie! - wołał.

- Patrzcie go, jaki wybredny. Doskonale, panno Stanisławo, teraz lodu i położyć sowizdrzała. Nic mu nie będzie, ale miesiąc się pocacka z tą kukielką. Próbowwała pani kości?

- Całe. Tylko piąty palec będzie sztywny...

- No, mniejsza z tym. Idź do łóżka.

- Ani myślę. Dziękuję pani, już mi lżej.

Założyła mu temblak, a on pomimo bólu rad był na myśl codziennych opatrunków.

Nie położył się, ale się ulokował na werandzie, gdzie wszyscy go otoczyli służąc i dogadzając. Wobec tego trudno było Stasi wspomnieć o wyjeździe, zresztą coraz mniej pamiętała o tych niespodziewanych oświadczeniach, a Kazio, wierny przyrzeczeniu, ani wspomniał o tym, ani się zdradził słowem lub spojrzeniem.

Tymczasem już nie z samej Rudy, ale ze wsi okolicznych poczęli chorzy ściągać. Była to istna procesja do "panienki, co to jest prawdziwy doktor". Zapracowana po dniach całych, była w swym żywiole.

- Tylko proszę mnie objaśnić, jak ten stary wasz Fijolski daje sobie rady tak olbrzymiej praktyce? - spytała raz Kazia zmieniając opatrunek.

- On! Alboż on by chciał takiej praktyki! - rzekł

Włodzio. - Ładne utrzymanie! Chłop wymaga bezpłatnej porady, bezpłatnego lekarstwa, a że doktor żaden na to się nie zgodzi, więc oni do doktora nie chodzą. Fijolski obsługuje dwory, miasteczko, Żydów, urzędników, tych, co mu chleb dają, a resztę czasu gra w karty. Ładnie by wyszedł, gdyby zechciał leczyć chłopów.

- Opowiedział mi raz - rzekł Kazio - że chłop za poradę dał mu rubla i prosił o resztę. Ile? - pyta. - Sześć złotych - odrzekł chłop. - Parę razy, gdy wyszedł na chwilę z gabinetu, zostawiwszy pacjenta chłopca, ten mu ściągnął

jakiś drobiazg z biurka. Tak go to zniechęciło, że teraz na próg nie wpuszcza.

- Więc któż ich leczy? - spytała Stasia.

- Trochę dwory, trochę felczerzy Żydzi, najwięcej znachory i baby. Zmierzają też gęsto! - odparła pani Taida wzdychając. - Nie można rady dać!

Ot, pole do pracy. Nie dbać o sławę i chleb i temu się poświęcić! - pomyślała Stasia.

Kazio patrzył na nią badawczo, ciekawy, dlaczego nagle umilkła, a pani Taida rzekła:

- Trudno od ludzi żądać nadzwyczajnych cnót.

Fijolski jest jak każdy. Żyje ze swego fachu jak i nasz proboszcz. Bierze jeden pieniądze za lekarstwo, drugi za modlitwę. Zapewne, że w idealnym pojęciu tak jedno, jak i drugie jest strasznym dysonansem, ale harmonii nie ma na świecie i walka o byt zabiła w nas nawet poczucie ideału i ofiary. Sławy jeszcze pożądamy, ale chwały prawie nikt...

I na to Stasia nic nie odparła. Spuściła głowę i myślała, myślała. Wreszcie zerwała się i poszła do siebie kuć egzamin.

Po paru tygodniach prawie zgoiła się ręka Kazia i 166

opatrząc go Stasia rzekła:

- No, jutro już wyjeżdżamy.

Pobladł mocno na tę wiadomość.

- Już! - powtórzył żałośnie.

- Zadłużyłam się względem was bez miary.

Postaram się odpłacić ile sił! - mówiła zamyślona. - Dziś się jeszcze z pana matką rozmówię.

- O czym? - spytał niespokojnie.

- O wszystkim! - odparła ogólnikowo.

Rad był dalej badać, ale weszła Ozierska i zawołała ją, by zebrała książki do kufierka, więc się Kazio nic nie dowiedział.

Wieczorem pani Taida, już na pół rozebrana, pisała w swej szarej księdze, gdy zapukano do drzwi i weszła Stasia.

Była, jak już od pewnego czasu, zamyślona i poważna i rzekła siadając na stołeczku u nóg staruszki:

- Przyszłam do pani z gotowym planem przyszłości, po sankcję.

- A jeśli zamiast sankcji trafisz na krytykę?

- Nie. Jestem spokojna.

Podparła brodę pięściami i zaczęła:

- Czy pani mnie pamięta, gdym tu po raz pierwszy przyjechała z matką, okrzyczana, i słusznie, za istotę bez czci i wiary, za najgorszą córkę i materiał na awanturnicę?

A wie pani, że prawie pewno skończyłabym w kozie lub w domu wariatów, gdyby nie pani!

Pani nie pamięta, co wtedy mówiła, a ja to mam w uszach jakby dzisiaj. Każdy starszy był w moim pojęciu kretyńcem i wrogiem, każdy morał i perswazja przedmiotem do drwin bezczelnych, a pani słowo jedno trafiło mi do duszy. Co tam był za chaos i pożar! Zastanowiłam się i 167

ujrzałam przed sobą cel. A potem ukradkiem przeczytałam tę księgę szarą pani i postanowiłam być bohaterem.

- Szalona głowa! Tobie i teraz jeszcze w niej się pali

- wtrąciła pani Taida.

- Pali się, ale już nie pożoga, ale pochodnia. Wtedy pierwszy zwrot nastął we mnie, dzięki pani.

- Ładny zwrot, żeś z domu uciekła. Może i to dzięki mnie?

- A tak. Musiałam iść przebojem do celu, jak pani w życiu nieraz szła. Potem przyszły na mnie złe terminy, straciłam wiarę w Boga, szacunek dla ludzi, byłam w biedzie okropnej, o pół kroku od samobójstwa. Nie mówiłam tego pani; wtedy gdy ciocia Dysia do mnie przyszła, nie uczyłam się, ale miałam przed sobą szklankę z trucizną i patrzyłam w dogorywającą lampkę czekając, aż zgaśnie, aby wtedy z sobą skończyć. No i ona przyszła, a nazajutrz poszłam do kościoła, wieczorem dostałam korespondencję i byłam znowu uratowana dzięki wam. A potem te sto rubli, był to jeszcze jeden szczebel do triumfu.

Dzięki pani tylko jestem tym, czym jestem!

- Mogę ci zaręczyć, że mi wcale nie sympatyczna wasza emancypacja i tylko twoja szalona głowa może wysnuwać z moich czynów takie wnioski. Zawszem była nierada z twego kierunku...

- Ale mi pani zmarnieć nie dała. A wreszcie zeszłego roku w Warszawie kto mnie zrozumiał i dał możliwość skończenia nauk?

- To już, doprawdy, nie moja zasługa, ale Kazio mnie namówił. No, boś też tyle lat się męczyła, że aż żal było zmarnowanego czasu. Ja bo nie znoszę nie dokończonych roboty.

- A nie pomyślała też pani nigdy, że świadczyła 168

dobrodziejstwa niewdzięcznicy?

- Ho, ho, co za frazesy! Po pierwsze, żadnych dobrodziejstw nie świadczyłam. To mój zasadę, że kogoś ustrzec od zmarnowania albo pomóc w potrzebie to żadna osobliwość przed Bogiem i sumieniem, to elementarny obowiązek; i jak ty kiedy go spełnisz, to ani z tego chluby nie szukaj, ani wdzięczności wyglądam. Ludzie zrobili z tego cnotę, a u Boga, wierz mi, to nie ma liku. A wdzięczność - za co? Oto właśnie, to wyglądam nagrody, zapłaty pokazuje, jak ludzie wykoszlawili pojęcie obowiązku.

- Toteż ja nie będę pani ani dziękować, ani płacić, ale przez pamięć pani, przez cześć, jaką mam dla niej, pójdę za panią tą samą ścieżką. Sławy nie chcę i jak mi pani była mistrzem wszelkiej mądrości, tak ideał pani będzie moim celem. Nie wdzięczności mojej dla pani, ale zasodom pani będę służyła. Jadę jutro, zdam egzamin, a od Nowego Roku sprowadzę się z matką do miasteczka i tak będę swe powołanie spełniała, jak je pani rozumie.

Pani Taida pochyliła się do niej, wzięła w obie dłonie gorejącą głowę dziewczyny i przycisnęła do piersi.

Była tak wzruszona, że nic na razie nie rzekła, dopiero po chwili się ozwała:

- A gdy ci to wystarczy, bądź pewna szczęścia, bo nie ma marnych placówek ani obowiązków - są tylko marni ludzie.



## VI

Gdy Ozierskie osiadły w miasteczku, zawrzało w okolicy, jakby kto kij wetknął w mrowisko. Od razu wszyscy dali sobie słowo, że u “baby” leczyć się nie będą.

Rzecz dziwna, że najbardziej oburzone były kobiety, jakby je spotkała osobista obelga i hańba, jakby Stasia okryła wstydem całą płęć kobiecą. Naturalnie też drwiny i różne niesmaczne żarty i koncepty wychodziły od Fijolskiego, a stamtąd mężczyźni kolportowali po całej okolicy.

Kumoszki miejskie z panią Klarą Wawelską na czele poczęły znowu szkalować Stasię, opowiadać o niej skandale, wymyślać niestworzone rzeczy na jej obyczaje.

Jednym słowem, wrzało jak w garnku, tylko one same najmniej o tym wiedziały, zajęte urządzaniem się na nowej siedzibie.

Za parę tysięcy rubli nabyła Ozierska opodal rynku mały domek z dużym ogrodem, resztę swych kapitałów powierzyła Kaziowi i zachwycona taniością życia, własnością ziemską oddała się cała uprawie ogrodu i doprowadzeniu do porządku domu.

Procent wystarczał im tutaj do zupełnie wygodnego życia, o byt tedy były bez troski.

- Tylko pacjentów nie będzie! - śmiali się wszyscy.

Ale zaraz pierwszej niedzieli chłopci, przybyli na targ ze strony Rudy, poczęli czegoś szukać, chodzić od domu do domu, rozpytywać i choć ich zbywano fukaniem lub drwinami, trafili do “panienki”.

Aptekarz zdumiał, gdy mu tegoż dnia trzech chłopów przyniosło recepty ze śmiałym podpisem “Dr Stanisława Ozierska”.

W aptecce dużo ludzi było, był też i Fijolski. Obadwa 170

obejrzel recepty podrzuwając, a aptekarz rzekł do jednego z chłopów:

- To od kaszlu dostałeś lekarstwo?

- Nie, to od febry.

- Tu stoi krople od kaszlu.

Poczęto się śmiać i ktoś spytał:

- A dużoś dał za poradę? - Nic! - odparł chłop. - A krople niech mi pan da. Ja pewny, że pomogą. My tę panienkę już znamy. Ona jest chłopski doktor, od progu nie odpędza nikogo, a że pomocna, to wiemy.

Aptekarz z doktorem poczęli z sobą szeptać, ale farmaceuta w końcu głową potrząsnął.

- Nie można! Straszno! - z cicha rozmowę zakończył

i wziął się do sporządzenia lekarstw, a Fijolski wyszedł

namarszczony.

Mieszczanka zbliżyła się do chłopów, za nią przysunęło się paru Żydów ciekawych.

- Naprawdę mówicie? Darmo leczy? - zaczęto pytać.

- A jakże? Grosza nie bierze, a człowieka tak osłucha, opatrzy, rozpyta jak rodzonego. A na drugiego ledwie spojrzy i wnet nie pytając powie, co mu dolega.

Takie oczy jakieś mądre ma, a dobra!

- A jakby “reperację” trzeba robić, toby nie potrafiła! - szepnął Żyd. - Alboby też kazała płacić.

“Reperacja” to drogi interes! - i westchnął.

- Mnie to się nie przytrafiło - odparł chłop - ale jedna kobieta od nas, jeszcze przeszłego lata, leżała miesiąc u pani z Rudy, w szpitalu nieboszczki panny Dysi, a miała wrzód jak bochen chleba, a to ją nie kto wyleczył, a panienka.

- Wrzód? Ja właśnie “jego” mam! - jęknął Żyd.

- No, to idźcie do niej! - zakończył chłop, biorąc lekarstwo i wychodząc.

- Niesłychane bajki. Darmo leczy! - mruzczała mieszcanka zdumiona, zabierając się też do domu.

Po ubogich domkach i kletkach żydowskich gruchnęła wieść bajeczna. Ktoś nie brał pieniędzy za poradę. Wskutek tego już po południu zjawilo się kilka Żydówek do dworku Ozierskiej. Nie wierzyły one w doktora-kobietę, bały się Fijolskiego obrazić, więc prawie po kryjomu przysły, ale pokusa bezpłatnego leczenia była nad wszystko mocniejsza.

I oto po kilku dniach tłok pacjentów miała Stasia.

Co prawda, pacjenci ci nie przyjeżdżali własnymi powozami, a nawet nie byli obuci, a Ozierska patrzyła ze zgrozą na tę wystawę łachmanów, łat, dziur, brudu i dzikości, ale Stasia nie zdradziła ni razu wstrętu ani niechęci. Z największą cierpliwością i poświęceniem opatrywała najnędzniejszych, tę tylko czyniąc między nimi różnicę, że kto miał koszulę, dostawał receptę do apteki, kto takowej nie posiadał, dostawał gotowe lekarstwo za jej pieniądze. W ten sposób pewna była sława i wzięcie; jako też po tygodniu musiała przybić na drzwiach kartę z wymienieniem godzin przyjęcia, bo chorzy nie daliby jej chwili czasu ani na jedzenie, ani na sen, ani na czytanie.

- Dzięki Bogu, pozbyłem się fetoru i robactwa! -

rzekł Fijolski szyderczo. - Muszę nowemu koledze w spódnicy złożyć wizytę z podziękowaniem, że to sobie raczyła zabrać.

Ale Stasia widocznie nie uśmiercała więcej niż inni doktorowie, bo liczba pogrzebów się nie wzmogła, a zyskała poparcie w aptekarzu, który począł zbierać żniwo od hołoty, której dotąd żaden szanujący się lekarz nie 172

chciał nawet widzieć.

Skorzystał raz niby z nieczytelności recepty i przyszedł do Ozierskich.

Powodzi jego komplementów słuchała Stasia obojętnie, a on wodził chciwymi oczami po ścianach i sprzętach, to znów oglądał ciekawie ją samą, zbierając materiał do wieczornej gawędy u sędziego lub geometry.

Bo pomimo ostracyzmu każdy był ciekawy, jak mieszka, żyje, wygląda taka osobliwość, doktor-kobieta.

Toteż wieczorem aptekarz był bohaterem zabawy.

- Czy prawda, że ma włosy obcięte jak rekrut, że pali papierosy? - pytały się damy.

- Włosy ma długie, warkocz czarny, a papierosy pali bardzo dobre, długie, paliłem je.

- A ładna?

- Przystojna, zgrabna, wysoka, tylko snadź ostra i pyszna i wielkie ma w sobie rozumienie. Gdym jej winszował praktyki, popatrzyła z góry, domyśliła się, że żartuję, i powiada:

- Owszem. Rada jestem z moich pacjentów, takich właśnie sobie życzyłam.

- Ale to państwu powiem, że ma szafę z narzędziami

- cudo! W Warszawie najpierwszy chirurg taką by się szczycił. Książek też pełno i pism w różnych językach.

Widać, że dobrze się mają. Mówiła mi, że konia mieć będzie, żeby po wsiach jeździć.

- Musi ktoś za to wszystko płacić - rzekła zjadliwie pani Klara Wawelska, która, o ile sama szczyciła się swą cnotą niegdyś, o tyle teraz obgadywała każdą.

- Et, lichy wie, co pleciesz! - wtrącił jej mąż. - Po pierwsze nikt tam taki nie bywa, a po drugie pani Skarszewska taką by się nie opiekowała.

- Opiekuj się i pani Skarszewska, i pan.

- Kto znowu? Pan Kazimierz! A któż go tam widział? Opamiętaj się, kobieto!

- Właśnie, że go nikt nie widział, to zły znak. Cnota nie boi się jasnego dnia i oka ludzkiego, a występki czai się w nocy.

Wawelski wybuchnął śmiechem.

- To on po nocach ma bywać! Cztery mile z Rudy lecieć tu i na powrót. Już też wymyśl kogo bliższego.

- Co wiem, to wiem! Jawnogrzeznica jest, w kościele nie bywa, ma cukiernicę z trupiej głowy podobno, w piątek nie pości, żyje źle z matką. A kto to wie, może się i nie spowiada nigdy. Progu tego moja noga by nie przestąpiła, ale czy u nas jest opinia! - westchnęła.

Wawelski machnął ręką i zasiadł do winta, wiedząc, że żony nie przegada.

Rzeczywiście, Kazio raz tylko z matką odwiedził

Ozierskie na nowej siedzibie i potem więcej się nie pokazał. W ogóle stosunek między nimi się zmienił, a i Kazio nie był już ten, co dawniej. Spoważniał, zeszywniał, nie wyciągał jej po dawnemu na zwierzenia i sam nic o sobie nie mówił, prowadząc rozmowę ogólnikową, jakby czymś znudzony czy zmęczony. Pani Taida stękała przed Ozierską, że coraz jej ciężiej podołać obowiązkowi gospodarskiemu, a że syn ani daje sobie wspomnieć o małżeństwie, zacinając się na wzmiankę o tym w posepnym milczeniu.

Utyskiwały potem obie nad tym, ale żadnej nawet na myśl nie przyszło, że chłopak krył w sobie uczucie bez nadziei, gryzł się i cierpiał, ale ani go zapomnieć chciał, ani zmienić. Zacinał się w swej stałości i wyborze, żadnej innej nie chciał ani tej nie opuszczał, tylko bojąc się zdradzić, 174

osłabnąć, nie dotrzymać danej obietnicy milczenia, na stosunki szczere i częstsze już sobie nie pozwalał.

I tak mijały Stasi miesiące w pracy i spokoju.

Nadszedł dżdżysty, zimny marzec, coraz więcej było roboty, poczęto ją wzywać do wsi okolicznych, grasował

bowiem wszędzie krup i dyfteryt, dzieci marły jak muchy, a Fijolski zapadał na swe reumatyzmy i ruszał się chyba na wezwanie najlepszych znajomych.

Pewnej nocy zachorował synek pani Klary Wawelskiej, jedynaczek pieszczony i cackany.

Wawelskiego nie było w domu, wyjechał na robotę, pani Klara, nieprzytomna z rozpacz, posłała

służącą po Fijolskiego. Na dworze była pora straszna, deszcz ze śniegiem padał, wichur wył, z nóg obalał, błoto po kolana w nie brukowanej miejscinie.

Po długim, strasznym oczekiwaniu służąca wróciła z niczym. Fijolski ją odprawił, nagryzmoliwszy jakąś receptę na niewidziane, bo sam chory, przyjść nie mógł - powiadał.

Pani Klara poczęła sobie włosy drzeć, płakać i złorzeczyć, dzieciak rzeził i gorączkował.

- Chyba iść do panienki? - rzekła nieśmiało służąca, która знаła drogę do Stasi i u niej się leczyła po kryjomu przed swą chlebodawczynią.

- Idź, pros! Niech mi dziecko ratuje! Ale i ona nie zechce, mój Boże! - jęczała pani Klara rzucając się przy dziecku na kolana.

- Bylebym ją zastała w domu, bo teraz to ją rozrywają na wsze strony.

- Mój Boże! Może do mnie przyjść nie zechce.

Powiedz, że ją na klęczkach błagam, albo nie mów do kogo, aż w drodze. Idź, idź.

Służąca poszła i znowu minuty zdawały się wiekami 175

dla matki.

- Nie przyjdzie! Nie zechce! Wie pewnie, com o niej mówiła, łaskawi pewnie donieśli. Teraz się zemści! O, ja nieszczęśliwa! Mój skarbie, mój Konrasiu śliczny!

I patrzyła z zawiścią na troje pasierbów, którzy w sąsiednim pokoju spali zdrowi.

Ale oto skrzypnęły drzwi sieni, pani Klara wybiegła naprzeciw służącej.

- A co? Nie zechciała przyjść! - krzyknęła.

- Owszem! Jestem! - odpowiedziała Stasia, podnosząc latarnię i rozglądając się.

A gdy oniemiała Wawelska stała jak słup, zdjęła ze siebie ociekający wodą płaszcz gumowy i dodała swobodnie:

- Pozwoliłam sobie posłać pani służącą wprost do apteki dla pośpiechu. Dziecko ma krup?

- Ach, proszę pani, jeśli by miało umrzeć, ja tego nie przeżyję. A tu doktor, ten bez sumienia, nie chciał przyjść!

- Nie tyle bez sumienia, ile bez nóg! - odparła Stasia.

- Cóż robić, musi się pani zadowolić moją poradą. Chwilę muszę się ogrzać. Czy dziecko dawno zapadło?

- Od wieczora! Ach, pani! Dla matki to wieki. Jeśli je pani mi uratuje, co mam, oddam z wdzięcznością.

Proszę, proszę do salonu...

Stasia weszła i rozcierając ręce rzekła swobodnie: -

Doktor Fijolski nie w porę zachorował. Przy tej epidemii i trzech lekarzy byłoby tu za mało.

- To dla pani pomyślnie! - rzekła pani Klara.

- Dlaczego? Przeciwnie, bo nie jestem w stanie podołać.

- Ale Finansowo pomyślnie.

- Myli się pani. Ja leczę tylko bezpłatnie.

- Wszystkich? Jakże to być może?
- Szczęściem nie potrzebuję leczyć, aby żyć. Zatem żyję, żeby leczyć! Ale otom gotowa. Możemy przejść do chorego. Śpieszno mi, bo już na mnie czekają konie.
- I pani pojedzie za darmo na taki czas?
- Nie mogę czekać na pogodę.

Weszły do sypialni i Stasia umilkła zajęta tylko dzieckiem. Obejrzała je troskliwie, zbadała gorączkę, stan płuc i gardła. Wtedy zwróciła się do matki i rzekła:

- Nie obejdzie się bez operacji.
- Boże! Chce mu pani sama, bez konsylium gardło rozcinać?
- Cóż znowu! - ruszyła ramionami i dobywając z torebki igłę i flakonik dodała, odkrywając kołdrę z dziecka:
- niech mi pani poświeci!
- Pani go zabije! - jęknęła Wawelska - Mój Boże, a tu ja sama nieszczęsna. Ani męża, ani doktora!

Stasia popatrzyła na nią surowo, chciała coś ostro rzec, ale się pohamowała na głośniejsze chrapanie dziecka; sama wzięła świecę, ustawiła ją wygodnie i zastrzyknęła surowicę; zanim się Wawelska obejrzała, operacja była skończona.

W tej chwili wróciła służąca z lekarstwem.

- Po panienkę przyszły konie z Rudy! - rzekła. -

Szukały po całym mieście i z apteki tu furman zajechał.

Tam podobno u ekonoma dwoje dzieci zmarło, a trzecie dogorywa.

Stasia wzięła z jej rąk miksturę i pierwszą łyżkę sama dała dziecku, potem pogładziła je po główce i spojrzała na panią Klarę:

- Będzie zdrów, niech pani sama się uspokoi i zaśnie, lekarstwo dawać co parę godzin, jeśli nie będzie

177  
 spał! Proszę być dobrej myśli!

Skinęła jej głowę i wyszła. Wawelska, zawstydzona, rzuciła się za nią do sieni, ale już nie zastała nikogo.



Do rana chłopak był uratowany, a pani Klara coraz bardziej zawstydzona i z siebie nierada. Wobec odwiedzających kumoszek poczęła napadać na Fijolskiego:

- Udaje próżniak chorobę, żeby się nie fatygować. Z

łez naszych i nieszczęść fortunę zebrał, a teraz ani dba o chorego. Musiałam sprowadzić Ozierską.

- Aaa! - zdziwiły się kumoszki. - No i jakże?

przyszła? Rozumie też cokolwiek?

- Przyszła zaraz. Bóg się nade mną ultował, bo ona mało co dała. Mówiła o operacji, alem nie pozwoliła, więc mu tylko pod skórę zastrzyknęła zapewne morfiny na sen i zostawiła miksturę. Ale co gadali, że ona taki dziwoląg, to bajki. Taka sobie zwyczajna, ale zawsze co kobieta, to kobieta. Małeństwo pogładziła, delikatnie obejrzała, że nawet się nie przełękło.

- A pieniądze wzięła? - ktoś spytał.

- Nie miałam głowy. Mówiła, że darmo leczy, ale przecie my łaski nie potrzebujemy. Gdy tylko mąż wróci, odeślę pieniądze.

- Naturalnie. My nie żebraki - zawtórowały panie.

A właśnie wózek Wawelskiego pokazał się za oknem, a po chwili on sam wszedł.

- Jakże dziecko? - zagadnął niespokojnie.

- Dzięki Bogu, lepiej - odpowiedziano mu chórem.

- Któż ci doniósł, że chore? - spytała żona.

- Spotkałem Fijolskiego. Powieźli go do hrabiego: szlag go trafił! Przepraszał, że do nas przyjść nie mógł, gdyż go wezwała.

- Nie mógł, nie mógł! A do hrabiego to może!

- Ba, przysłali powóz. A panna Ozierska przysłała, daj jej Boże zdrowie, no i pomogła. A widzisz, obgadywałaś ją, kobieto, i wstyd teraz!

- Nigdy nie obgadywała. Powtarzałam, com słyszała. To Fijolski wymyślił. On ją szkalował przez zawiść.

Kumoszki, widząc, że się zanosi na scenę małżeńską, poczęły się wysuwać nieznacznie.

Gdy zostali sami, Wawelski spytał:

- A byłaś też grzeczna, uprzejma dla niej?

- Myślisz, że się znaleźć nie umiem! - obraziła się pani Klara. - Zapominasz, z jakiego domu pochodzę.

- Dość mi często przypominasz, żebym nie zapomniał, ale że cię znam, więc pytam.

- Z pośpiechu tylko nie dałam jej honorarium.

Trzeba odesłać.

- To lepiej sama tam pójdz i podziękuj. Pieniędzy nie dawaj, bo nie bierze.

- Ale ja jej łaski nie potrzebuję i odeślę.

- Jak sobie chcesz! - mruknął zły Wawelski i poszedł do chorego dziecka.

Pani Klara po południu wystylizowała piękny list, włożyła do środka trzy ruble i posłała służącą do Ozierskich, ale że Stasi nie było, odesłano jej list nietknięty. Następnego dnia powtórzyło się to samo, nareszcie na trzeci dzień odebrała pani Klara odpowiedź, a w niej trzy ruble.

“Żadnego honorarium za poradę nie biorę - pisała Stasia - mam dość wielką nagrodę w tym, że chłopak pani zdrów, jak mi to mówi służąca. O ilem go poznała, organizm ma silny i powinien się pani zdrowo chować”.

Na to pani Klara uczuła się zupełnie upokorzona, 179

rozczulona nawet i poszła sama do Ozierskich.

Zastała Stasię czytającą głośno matce, która szyła.

Przyjęto ją uprzejmie, a Stasia zaczęła wnet swobodną rozmowę widząc zakłopotanie gościa.

- Przyszłam podziękować pani - rzekła wreszcie pani Klara. - Pani postawiła mnie w przykrej pozycji. My, dzięki Bogu, mamy się dostatnio, więc nie możemy korzystać z bezinteresownej porady;

to nas upokarza względem ludzi.

- No, ludzie wiedzą, że pani mnie wezwała tylko w ostateczności! - uśmiechnęła się Stasia. - Bardzo mi przykro, że panią uraziła, ale nie mogę wyjątku zrobić ze swych zasad i postanowień. Leczę tylko bezpłatnie, spełniając legat siostry pani Skarszewskiej, dzięki której zostałam doktorem. Zresztą, jeśli pani jeszcze przykro, proszę te pieniądze złożyć w aptecę na lekarstwa dla ubogich i niech się pani nadal tym nie trapi.

- Żeby to opisać, toby nikt nie uwierzył, że doktor, prawdziwy doktor nie bierze pieniędzy.

- Bardzo mi przykro za kolegów, ale trzeba im to darować. Uważają medycynę jako środek utrzymania, rzemiosło lub karierę. Nie moja zasługa, że tak nie czynię.

Matka mnie chlebem karmi i utrzymuje, żyję na jej łasce, więc mogę ideałom moim dogadzać.

Przechyliła się do matki i pocałowała ją w rękę.

- Dajże spokój, bredzisz! - broniła się Oziarska. - Ot, nawlecz mi igłę, bo niedowidzę. To, pani łaskawa, są bajki, co ona plecie. Całe życie chorowałam i kwękałam, a teraz dzięki jej, jestem zdrowa, a wie pani dlaczego, bo mam teraz dopiero naprawdę robotę.

- Panie mają śliczny ogród! - wtrąciła pani Klara.

- Otóż to jeszcze. Na starość przyszłam do własności 180

ziemskiej. Jest z tym zajęcie, a przy tym żeby pani wiedziała, ile to jest nędzy i biedy, i nagości w takiej małej mieścinie. Córka to wszystko leczy, a ja, o ile mogę, karmię i odziewam. Nauczyłam się krajać i szyć i doprawdy tyle jest roboty, że nie mam czasu chorować. Od czasów młodych nie pamiętam, żebym była taka zdrowa i ruchliwa. Dobrze nam jest.

- Że też pani wytrzymała takie nauki! Sama wśród mężczyzn! Mój Boże! Mnie krew stygnie, gdy o tym pomyślę. Powiadają, że oni tam żadnej delikatności dla kobiet nie mają i jest się wciąż narażoną na najgorsze obejście.

- To przesada. Co prawda, ja bywałam zajęta tylko swoją nauką i nie myślałam o niczym innym, nawet o niebezpieczeństwie od mężczyzn. Delikatności też od nich nie wyglądałam ani opieki. No i nikt mnie nie zaczepił.

Westchnęła pani Klara.

- Gdy zostałam sierotą, marzyłam też o pracy samodzielnej. O, jakże była gorzka i ciernista! Bóg mnie nareszcie doprowadził do bezpiecznego portu. Mąż mój wprawdzie nie jest z naszego stanu, ale potrafił mnie poznać i zrozumieć, więc mu wiele wybaczam. Zresztą, gdy zostałam matką, dla dziecka robiłam ofiarę z moich tradycji.

Stasia zgryzła usta i odwróciła twarz, po której uśmiech latał. Oziarska, szczęściem, wybawiła ją z kłopotu dalszej rozmowy:

- Pani była w Rudzie czas dłuższy?

- Aż do zamążpójścia. Tam poznałam mego męża!

Jakże zdrowie pani Skarszewskiej? Godna to osoba.

Zawsze się wybieram ją odwiedzić, ale gdy się ma dziecko, nie należy się do siebie.

- Pani Skarszewska zdrowa - odparła Stasia. -

Onegdaj tam byłam u chorych dzieci ekonoma, alem tylko jedno uratowała. Okropny tam w całej wsi krup panuje.

- A pan Kazimierz się nie żeni? - zagadnęła pani Wawelska, ciekawie na nią patrząc.

- Nie wiem. Nie było o tym mowy, bo i on był nieobecny.

- To dziwne, że się nie żeni. Taki majątek! Tu mówiono, że się stara o pannę hrabiankę Wandę. Mój mąż go tam spotkał parę razy.

- Chyba nie - odparła Oziarska - bo zeszłej niedzieli była u nas pani Skarszewska i nic nie mówiła.

Nie, temat ten ich nie zajmował. Poczęła tedy pani Klara pytać, czy znają proboszcza. Owszem, znała go Stasia.

- Jakże się pani podobał? - badała ciekawie.

- Zdrow jest i żyłby sto lat, gdyby mniej palił cygar.

- Ale ja się pytam, jak się pani podoba z rozmowy.

- Wcalem z nim nie rozmawiała, bom się śpieszyła do innych chorych. Właściwie ja nikogo tu nie znam. Nie mam czasu.

- Bardzo świątły kierownik i spowiednik.

Chciała w ten sposób zbadać, czy Stasia bywa u spowiedzi, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi, a że w tej chwili przyszła Żydówka z chorym dzieckiem, uznała za stosowne zakończyć swą wizytę. Potem opowiadała znajomym zawsze jeszcze pod wpływem urazy do Fijolskiego:

- Zupełnie przyzwoita osoba, a wszystko, co gadano, to ten stary rzeźnik wymyślił. Ja nawet powiem, że gdybym, broń Boże, zachorowała, do niej pójde. Zawsze śmielej z kobietą się rozmówić. Tylko to żenujące, że 182

pieniędzy nie bierze.

Wszyscy się tym gorszyli, ale pomimo to klientela Stasi rosła. Postanowiła kupić konia i pewnej niedzieli zabrawszy matkę, pojechała do Rudy, by tam sprawunek załatwić.

Co prawda też, kampania dyfterytowa wymęczyła ją bardzo i chciała wypocząć dni parę w towarzystwie pani Taidy.

Gdy zajęwały przed ganek, Kazio wyszedł na ich spotkanie i powitał milczeniem, pomagając wsiąść.

- Mój drogi, musiałyśmy wam jakie projekty pokrzyżować, bo wyglądasz bynajmniej nie zachwycony naszym widokiem! - rzekła mu Oziarska szczerze.

Poczerwieniał jak rak. Jemu tak bardzo zabiło serce radością, że aż się słowem zdradzić obawiał.

Jał protestować:

- Takem się zdziwił. Panie niegdy nie bywają.

Żadnych nie mam projektów. Matka się bardzo ucieszy.

- Dziw, że pana zastałyśmy! - rzekła Stasia. -

Przywiozłam panu pieniądze z prośbą o kupno konia i jakiej dryndulki.

- Tak dobrze idzie? A Włódzio wciąż narzeka na brak praktyki i ciężkie czasy.

- Ja tylko na brak czasu narzekam. Dostanie mi pan szkapę i wasąg?

- Choćby dzisiaj. Wszystko będzie. Matka w pasiece zajęta. Zaraz ją sprowadzę.

Ale już pani Taida szła ku nim trzęsąc głową.

- Nie masz Boga w sercu, dziewczyno, trząść matkę żydowską furą pięć mil. Było napisać o konie.

Ucałowała Oziarską, pogładziła Stasię po głowie.

- Rozgoście się u Dysi w pokoju. Zaraz wam jeść 183

przygotuję. Bo u mnie zawsze po dawnemu: przybywa lat, a nie ubywa roboty. A ten - wskazała na syna - dawniej, gdym wspomniała o żonie, milczał, a teraz do oczu mi skacze, jakbym go do występku namawiała.

- Ależ, proszę mamy...

- Może raczysz milczeć. Ja dobrze pamiętam scenę, którąś mi dziś urządził.

- Fe, panie Kazimierzu! - pogroziła palcem Oziarska.

- Czego mama ode mnie chce! - wybuchnął z żałością. - Pracuję, zbieram, szcędzę, błagam matki, by wzięła kogo do pomocy, niech to tysiące kosztuje, zapracuję na nie, ale przecie nie mogę wbrew woli się żenić i kogoś okłamywać.

- Więc się żeń, z kim chcesz. Ja ci swej woli nie narzucam.

Ruszył ramionami milcząc.

- Oto masz zwykłe zakończenie rozmowy - rzekła gniewnie pani Taida, pokazując go Ozierskiej.

Stasia nie mieszała się do rozmowy.

- Czy mam co do roboty w szpitaliku? - spytała.

- A dajże pokój choć dzisiaj - zaprotestowała pani Taida. - Poświęć ten dzień nam, zdrowym.

- Może byśmy poszli konie obejrzyć - zaproponował

Kazio. - Mam cztery do wyboru.

- Wczoraj odesłałam je na Poręby - rzekła pani Taida. - Chyba po obiedzie popłyniecie tam łodzią. Dobrze ci zrobi spacer, Stasiu, boś zmizerniała i schudła.

- Nie znam się na koniach i na wybór pana się zgadzam, ale łodzią chętnie popłynę - odparła Stasia.

Kaziowi pojaśniała twarz uciechą; wyszedł, by dać stosowne rozporządzenie, a gdy wrócił, rozmawiał wesoło 184

z Ozierską, dowiadując się o tryb ich życia, potrzeby, interesy.

Tylko raz wraz na zegarek spoglądał i zaledwie skończyli obiad, zwrócił się do Stasi:

- Jeśli pani sobie życzy, możemy zaraz jechać.

Zajmie to nam godzin kilka.

- Ruszajmy tedy. Ale da mi pan wiosło.

Poszli przez ogród ku rzece. Łódka już czekała na nich i chłop z dwoma wiosłami.

- Przecie damy radę sami - rzekła Stasia. -

Zawsześmy sami wiosłowali.

- Możesz wracać, Michale! - rzekł Kazio podając jej rękę.

Usiadł potem sam u steru i odbili.

- Pod prąd płyniemy. Będzie ciężko pani! -

zauważył.

- Pod prąd całe życie płynęłam. Przywykłam.

- Wracać za to lżej będzie.
- Jak zwykle, gdy się do celu dobrnęło.
- Pani już teraz zupełnie szczęśliwa?
- Zupełnie, dzięki wam! - Ale mam troskę: pana.
- Mnie? - zdziwił się.
- Ano tak. Dlaczego pan się nie żeni? Robi taką przykrość matce?
- Bo mam wstręt do wszystkich kobiet.
- Do wszystkich? Więc i do mnie? Zdejmuje mi pan ciężar z sumienia.
- Sumienie pani może być spokojne. Cóż pani temu winna!
- Czemu znowu?
- Po co się pani pyta? Ja już nie powtórzę mej spowiedzi. Będę milczał do śmierci.



- Opętanie! - mruknęła. - Niechże pan się raz opamięta!
- A po co? - ruszył ramionami. - Mnie tak dobrze, nie zmienię się.
- Ale w jakim położeniu mnie pan stawia? Ja chyba to powiem matce pana.
- Jak pani chce! Ja nie powiem nikomu.
- Więc czegoż pan chce? Żebyś spłacając dług wdzięczności wydała się za pana? Do tego mnie pan chce doprowadzić! - wybuchnęła.
- A pani czego chce? Ja się pani nie narzucam ani pokazuję, nie żądam ani proszę. Unikam, by pani nie spotkać, nie dokuczam. Co więcej mogę uczynić? Chyba umrzeć. Ale kochać, pożądać, myśleć mi wolno.
- I cóż za wynik z tego?
- Lata przejdą, ostygnie krew, włosy zbieleją, kark się zgarbi. Wtedy może stanę się znowu przyjacielem pani, jakem był w dzieciństwie.
- Pan już teraz siwy na skroniach! Ile pan ma lat?
- Dwadzieścia siedem! Jeszcze drugie tyle i osiągnę swój cel.
- Co za brednie! Ładna perspektywa! Nie zazdroszczę.
- Słusznie zarobiona za karę, żem pani nie potrafił zdobyć ani zjednać. A pani szydzi, a przecie też nie inaczej życie urzęda.
- O bardzo przepraszam. Żebyś kochała, tobym zdobyła swe kochanie.
- Doprawdy! Nawet na moim miejscu?
- Na pana miejscu powiedziałabym: nie ta, to druga.
- Winszuję, ale według mnie to nie kochanie.
- Otóż ja zapowiadam panu, że jeśli pan matce nie 186 dogodzi i nie ożeni się, to ja wychodzę za mąż za pierwszego lepszego. Wtedy pan sobie te mrzonki i brednie wybije z głowy.
- Nie, bo wtedy już bez wyjątku wstręt będę miał do wszystkich kobiet.

- No, no, zobaczymy. Ja już syta jestem przykrości wobec matki pana i uczynię raz koniec!

Nic nie odpowiedział, więc się obejrzała.

Błądy był i taki ból i smutek miał w twarzy, że może po raz pierwszy w życiu uszanowała uczucie i przykro jej się zrobiło za niego.

Zapatrzony przed siebie na wodę, po chwili walki odparł krótko:

- Wola pani. Ja nie proszę ni skarżyć się nie będę.

Długi czas płynęli nic nie mówiąc, wreszcie Stasia rzekła niecierpliwie:

- Żeby się pan zastanowił, jaka by ze mnie była żona i gospodyni! Nie byłam nigdy nikomu uległa, nie spełniałam niczyjej woli, tylko swoją, o żadnym praktycznym zajęciu nie mam wyobrażenia, nawet rachunków nie umiem prowadzić, jestem roztargniona, niedbała, zajęta tylko moim fachem. Prowadzić dom, przyjmować gości, bywać w sąsiedztwie to wszystko nie dla mnie. Miałby pan w gospodarstwie ruinę, w domu nieład, ze mną piekło. Żeby tak można na próbę rok spędzić, tobym rada. Ręczę, że pan by miał dosyć.

Jemu ogień przeleciał po twarzy i objął ją spojrzeniem rozkochanym.

- Ja za taki rok życie bym dał! - rzekł głucho.

- Co z panem się dzieje?

- Pani wie! Miłuję. Pierwszy i ostatni raz w życiu.

Dlaczego pani tę rozmowę wszczęła? Ja bym milczał, jak 187

już milczę dwa lata. Nikt się po mnie nawet nie domyślił, jakie mam w duszy kochanie. Pani wolno drwić, proszę.

- Ja nie drwię. Żebym przypuszczała, że to jeszcze trwa, nie odezwałabym się słowem. Chciałam wpłynąć na pana, widząc, jak matka pana cierpi. I teraz doprawdy w rozpacz jestem, że to z mej przyczyny, a rady nie widzę.

Żeby ciocia Dysia żyła!

- Żeby żyła! - powtórzył. - I mnie by lżej było, bo zrozumiałaby mnie i umiałaby może z losem pogodzić.

- Co mam robić, co mam robić! - zamruczała Stasia naprawdę strapiona.

- Po co się pani troska? Niech woda płynie - odparł

już znowu spokojny.

- Dobrze panu mówić. Pan się uparł jak muł. Pan nie ma jak ja długów wdzięczności.

- To i cóż z tego! Może pani być pewna, że ja tych mniemanych długów odbierać nie będę. Choćby mi pani za nie siebie ofiarowała, tobym odrzucił. Nie ma o czym mówić. Oto i dopływamy. Zaraz każę konie przyprowadzić.

Przybyli do brzegu, wyskoczył i podał jej rękę.

Wysiadła też zamyślona, roztargniona i smutna.

- Dziękuję - rzekła, opierając się na jego ramieniu. -

Wie pan, wolałabym być na pańskim miejscu niż na swoim. Mam chaos w głowie.

- Gniewa się pani na mnie?

- Nie. Cóż pan winien! - odparła łagodnie. - Szkoda, wart pan kogoś lepszego.

Od tej chwili począł duch Kazia chodzić jej po głowie jak strach w starym domu. Zaimponował jej swą stałością i powagą uczucia.

Patrzała na niego z zajęciem, jakby dopiero go poznała. Podobało się jej, że się niczym nie zdradzał, że jej 188

się nie zalecał, nie usługiwał, nie ścigał oczami. Zabawiły w Rudzie trzy dni, a on na chwilę nie wyszedł z powagi i panowania nad sobą, nie szukał zbliżenia sam na sam.

Jakby ten spacer łódką snem był, tak do tamtego był

niepodobny.

Gdy odjeżdżały, przeprowadził je konno wiorst parę od folwarku i dopiero gdy się pożegnał, a Stasia raz jeszcze się obejrzała, zobaczyła, że patrzył za nimi tak jak wtedy na łódce, smutno i gorąco, wiedział bowiem, że znowu się nie zobaczą prędko, pomimo że na zaproszenie Ozierskiej obiecał je odwiedzić, gdy tylko czas znajdzie.

Ale czasu widocznie nie znalazł, bo lato całe przeszło, a on się nie pokazał, ilekroć zaś Stasia przyjeżdżała do chorych w szpitaliku, jego nie było w domu. A że przyjazdy jej miały z góry oznaczony termin, wiedziała, iż wyjeżdżał umyślnie, by się z nią nie spotkać.

Pomyślała sobie tedy pewnego razu:

Co prawda, moc ma i charakter i zuch cały. Ten się nie rozmyśli łatwo, no i szkoda mi go.

- A gdyby się rozmyślił?... - spytała siebie.

- Szkoda by było! - odparła szczerze i rozgniewała się.

Nierada była z siebie.

## VII

Pewnego słotnego październikowego wieczora konny posłaniec przyjechał z Rudy z listem od Kazia. Pani Taida zachorowała na zapalenie płuc, stan był groźny, konie wysłano w ślad za posłańcem.

Ozierska, posłyszawszy wieść, załamała ręce.

- Ona z tego nie wyjdzie, zobaczysz. Ona nigdy nie chorowała! To będzie koniec!

Stasi ścisnęło się bólem serce, poczęła rozpytywać posłańca. W Rudzie panował groźny popłoch. Posłano konie na wsze strony. Po nią, po księdza i po Włodzia.

Zaraz też Stasia się zebrała i Ozierska też ruszyła z nią, płacząc i modląc się na przemiany.

Przyjechały pod wieczór, wyszedł na ich spotkanie Kazio i na zapytanie o chorą uczynił ruch rozpaczny.

- Ja nie wiem. Nie wydaje się bardzo chora, ale od razu zapowiedziała, że umrze. Cały dzień daje mi rozporządzenia, dyktuje, co dalej czynić, co komu się należy, co komu przeznacza - wszystko najprzyciemniej!

- Chciała nas widzieć? - spytała Ozierska.

- Tak. I księdza, i Włodzia.

- Pójdę do niej! - rzekła Stasia.

Zawahał się sekundę i westchnął.

- Proszę pani - rzekł smutno.

Poszli we dwoje na palcach, cichutko. U drzwi sypialni zatrzymał ją za rękę.

- Niech mi pani daruje. Pytała mnie, co mi jest, musiałem wyznać. Wie wszystko - szepnął.

- To dobrze! - odparła spokojnie. - Proszę wejść i spytać, czy mnie chce widzieć.

Otworzył z cicha drzwi. Chora nie spała.

- Czy to ksiądz przyjechał, Kaziu? - spytała.
- To panie Ozierskie, mamó. Panna Stanisława chce wejść.
- A to dobrze. Niech przyjdzie.

Leżała jakby zdrowa, nie zmieniona, tylko dyszała mocno. Uśmiechnęła się do Stasi.

- Widzisz, zabieram się w drogę. Chcesz mnie opukać? Niech i tak będzie dla waszego spokoju, żeście ratowali, jak mogli. Ale ja umrę, moje dzieci, na to się przygotujcie. Dysia już po mnie przychodziła.

Stasia wdrygnęła się.

- Pani ma trochę gorączki - rzekła, przyklękając u łóżka do badania.

Oparty o poręcz Kazio śledził jej ruchy. Pani Taida cierpliwie dała się osłuchać i opukać.

- Trochę lewe płuco zajęte, ale doprawdy nic groźnego - rzekła Stasia powstając. - Bańki zaraz pani postawię i zrobię miksturę. Z tego jeszcze nikt nie umarł.

Dlaczego pani nas straszy?

- Moje dziecko, ty rób swoje - ratuj. Ja też swoje zrobię, przygotuję się do drogi. A gdzież twoja matka?

- Jestem! - ozwała się Ozierska za drzwiami.

- No, mam opiekę. Dziękuję wam, żeście przyjechały. Weźże, Kaziu, klucze i zajmij się domem. One przy mnie posiedzą. Włodzio nie przyjedzie aż jutro.

Była najzupełniej spokojna, tylko nic jeść nie chciała ani spać i znać było, że się śpieszyła z mową, z poleceniami, jakby się bała nie skończyć.

O północy kazała iść spać Ozierskiej i Kaziowi mówiąc stanowczo:

- Ty nie masz zdrowia i sił na nocne czuwanie, a on jeszcze ma przed sobą wiele niespokojnych dni i nocy.

Idźcie sobie. Stasia przy mnie zostanie, póki nie zasnę.

Mnie się już spać chce.

Ale gdy odeszli, otworzyła zaraz znowu oczy i spojrzała na siedzącą obok łóżka dziewczynę.

- Moje dziecko, mam prośbę do ciebie - rzekła.

- Co pani każe, uczynię!

- To o Kazia chodzi, wiesz? Dzisiaj on mi wyznał, że ciebie kocha i że ty go nie chcesz. Ja się tobie nie dziwię, ja ciebie rozumiem. Nie trzeba sobie psuć losu ani powołania. To już jego niedola, że ciebie wybrał i nie potrafił zdobyć wzajemności. Ale ja o niego się troskam.

Dwóch ich mam, a tacy różni. Tamten idzie, gdzie lżej i wygodniej - ten tam, gdzie sobie postanowił, choćby najciężej i najmozolniej. Teraz zostanie sam, a że nie będzie szukał ni rozrywki, ni towarzystwa, zdziczeje i zmarnieje w samotności. Więc ja cię proszę, zaopiekuj się nim trochę, bądź życzliwa, napędzaj go do pracy i myśli.

On ci nigdy o uczuciach nie wspomni, nakażę mu to, ale pozwól, bym mu poleciła, żeby u was bywał i ciebie słuchał.

- Ja wszystko spełnię, co pani każe! - odparła Stasia wzruszona. - Ja już dawno biję się z myślami. Ja powinnam zostać jego żoną za wszystko dobre, com od pani doświadczyła.

- Bredzisz! Bredzisz! Ani ja tego pragnę, ani on na to się zgodzi. O tym mowy być nie może. Bądź mu siostrą i opiekunką tylko, bo widzisz, on ze mną najwięcej pochowa.

Umilkła na chwilę, jakby ją fala smutku objęła, i zaczęła mówić znowu, tylko już ciszej, jakby do siebie:

- Człowiek, żeby najlepiej czynił całe życie, nic trwałego nie pozostawi. Żeby najmocniej budował, próżno 192

rachuje, że po nim co zostanie. Żeby najściślej rachował, nie obrachuje przyszłości. Bardzo marne i próżne są wszystkie plany i zabiegi, bardzo nieużyteczny mózół. Oto życie mi się skończy i widzę, że budynek mój lichy jest i wątły, bo mnie nie przetrwa. Kochałam ją, tę Rudę, wydzwignęłam jak z topieli. Kochałam chłopców, chowałam, jak rozumiałam najlepiej. Teraz oto Ruda po mnie osierocieje, nie będzie tym, czym była. Nie będzie komu zająć się małym i starym, i słabym. Wszystko się zmieni. A chłopcy! Starszy niewiele ma aspiracyj, niewiele ludziom ni czemu wielkiemu usłuży. Będzie dobry mąż i ojciec - nie więcej. A młodszy nie będzie szczęśliwy.

- A o mnie pani nie pamięta? Ja jestem także dzieło pani.

- I na ciebie przyjdą jeszcze gorzkie dni, i tobie niejedno nie dopisze, omyli. Teraz jeszcze cieszysz się triumfem i młodością. Ale przed tobą jeszcze dużo walk, gorszych niż te, co minęły! Kto wie, czy dopomagając ci w twych zamiarach utorowałam ci drogę do szczęścia! W nie utartych torach ciężko iść!

- Zawsze do pani po radę przyjdę!

- Mnie już wtedy nie będzie, ale zostawię ci po sobie pamiątkę. Nie jestem uczona ani sławna, ale stara i doświadczona. Gdy umrę, Kazio ci odda tę szarą książkę moją, takie pospolite dzieje i troski, i pociechy. Rozumu tam niewiele znajdziesz, ale może czasem zdrową radę.

Przeczytaj ją sobie; za mnie się pomódl, gdy ci się co w niej spodoba, a jakbyś za mąż szła, to zwróć Kaziowi.

- Pani, ja za mąż nie pójdę, chyba za niego -

szeptała Stasia.

- Pójdiesz za tego, kogo pokochasz. Po co się wzdrygasz, to nie obelga ani obraza, ani upokorzenie.



Byłabyś bardzo biedna i nieszczęśliwa, gdybyś bez uczucia życie przeszła. Mam wiarę w ciebie i spokojna odchodzę, że pokochasz godnie.

Stasia milczała nie śmiejąc jej przeczytać, a w tej chwili szmer się uczynił u drzwi i wsunął się Kazio.

- Mama nie śpi? - szepnął smutno.

- Nie śpię, gawędzimy ze Stasią. Lepiej mi jest i już spokojniej. Pokończyłam moje sprawy.

Usiadł przy jej łóżku, naprzeciw Stasi, i milczał.

Pani Taida położyła mu rękę na głowie.

- Nie trzeba się tak troskać, moje dziecko. Wszystko ziemskie ma swój kres i ja się zużyłam. Bogu dzięki, zem nie została niedołączna, ciężarem dla was. Bardzom się też bała chorować długo. Tak dobrze się stało.

- Mamo, po co mi mama czyni taki ból - jęknął.

- Żebyś gotów był na rozstanie. A proszę cię, nie zapomnij, żeś ty dziedzicem moim, pamiętaj, com ci poleciła. Zawsze dla kogoś żyj i dla czegoś - nigdy dla siebie. O tobie Bóg pomyśli i ja, jeśli łaski Jego dostąpię.

Stasia też ciebie nie opuści, będzie ci dobrą siostrą, zastąpi ci mnie. Bądźże spokojny, biedaku.

Nigdy tak łagodnie, słodko nie mówiła, więc go jeszcze gorszy ból targał i głowę objawszy dłońmi, zapłakał. Stasia, rozdrażniona, wstała i skryła się we framugę okna, czując, że ją także łyzy duszą.

A chora wreszcie usnęła. Lampka nocna ledwie oświetlała kąt pokoju, Kazio usiadł na kanapce zmożony i oparłszy głowę o ścianę patrzył w krąg światła, zaciskając zęby, by nie jęczeć.

Cichutko podeszła do niego Stasia; byli znowu zbratani - cierpieniem. Usiadła obok, wzięła go za rękę i nie umiając pocieszać, tak ręka w rękę czuwali milczący.

Rano pani Taida spytała o godzinę, poprosiła Ozierską, by jej czytała "Listy św. Pawła", i zamknawszy oczy czekała na księdza.

Przyjechał około południa, przyjął sakramenty, a potem rozmówił się z księdzem o pogrzebie tak spokojnie jakby nie o swoim.

Gdy ksiądz odjechał, dawała jeszcze różne polecenia Kaziowi, a potem ułożyła się jakby do snu.

Doczekała się przyjazdu Włodzia z żoną wieczorem.

Przywitała ich radośnie, rozmawiała, a wreszcie o północy rzekła:

- Zostańcie wszyscy ze mną. Zasną.

Włodzio zbliżył się do Stasi i szepnął:

- Badała ją pani? Przecie to nic groźnego?

- Nie. Przecie i pan badał! Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Ale ona może wie, czego my nie widzimy. Wobec jej pewności ja oczekuję najgorszego.

Włodzio począł płakać.

Ciężko minęło parę godzin. Stasia nie spuszczała oczu ze śpiącej i nagle drgnęła, chwytając Kazia za ramię.

Pani Taida otworzyła oczy, podniosła rękę, twarz jej się skurczyła.

Rzucił się do niej Włodzio i runął u łóżka z jękiem.

Nie było matki.

Paraliż serca! - pomyślała Stasia.

Ozierska zapaliła gromnicę, Irenka zemdląła, Włodzio łkał rozpacznie, tylko Kazio milczał czując, że mu dusza drętwieje, że się stacza w przepaść, że chyba także umiera.

Stasia zajęła się cuceniem Irenki, wyprowadziła ją z pokoju, a potem wróciła i pochyliła się nad klęczącym Kaziem.

- Mój biedaku! - szepnęła. - Zapłaczże, lżej ci będzie.

Pomimo bólu zdziwił się niesłychaną łagodnością jej głosu i spojrzał żałośnie.

A ona przyklękła obok niego i powtarzała półgłosem modlitwę odmawianą przez matkę.

A wtedy i Kazio zapłakał.

## VIII

Była znowu jesień, listopad czarny, wieczór, na dworze wicher ze śniegiem pognębiał dusze ludzkie. W

saloniku u Ozierskich siedziała Stasia sama u kominka, beczynn timer. Opuściła czytana książkę na kolana i zapatrzyła się w płomienie.

Dwa lata minęło od śmierci pani Taidy, rok od pogrzebu Ozierskiej. Stasia zyskała sławę i uznanie; nie miała już niechętnych i krytyków, lubiana i poważana była ogólnie.

Ale dziś, w ten wieczór listopadowy, nie wzywano jej nigdzie, była wolna, z perspektywą długich godzin samotności, rozmyślań i milczenia.

Wzięła z szafy pierwszą lepszą książkę, spostrzegła, że były to niemieckie poezje, rzuciła je z gniewem, ale po chwili, jakby się leniąc wstać po drugą, wzięła na powrót do rąk i zaczęła czytać.

Skąd się taka książka wzięła u mnie? - pomyślała wreszcie.

Prawda - kiedyś przed laty, odwiedzając ją w Genewie, Kazio przywiózł, kupił na dworcu jakimś i zostawił wyjeżdżając. Potem zapomniała o niej i leżała w szafie tyle lat.

Opuściła Stasia książkę na kolana, zapatrzyła się w płomień i poczęła w myśli przypominać te lata - wspomnienia.

Wtem zadzwoniono do drzwi. Drgnęła, zbudzona z myśli, i słuchając kroków służącej przypomniała sobie, do kogo ją też mogą wzywać.

Ale zamiast służącej gość wszedł - Kazio.

Stasi na chwilę pojaśniała twarz, ale natychmiast się

zasepiła; nie wstając podała mu rękę.

- Z domu jedziesz pan? - zagadnęła.

- Nie. Od marszałka. Wstąpiłem po drodze, by pani wręczyć procent. Wczoraj był termin, alem się spóźnił.

- I dziś nie jest już bardzo wcześnie. Dawno pan z Rudy?

- Dziesięć dni.

- To bardzo chwalebne. I przez dziesięć dni grał pan w karty?

Usiadł naprzeciw niej i dobywając pieniądze z pugilaresu, milczał. Od pewnego czasu rzeczywiście zaczął

dużo i drogo grać; gadano już o tym i nie pierwszy raz ona mu to wymawiała.

- Grał pan! Czy pan chce zginać? - rzekła.

Podał jej pieniądze i ruszył ramionami.

- Gram, prawda. Cóż mam robić? Pić nie mogę, hulać nie chcę, jak gram, nie myślę o sobie i nie siedzę w domu. To darmo, nie mogę w tej pustce wytrzymać.

- A jakże ja wytrzymuję?

- Zazdrozczę pani. Ja nie mogę.

Oparł łokcie o kolana i patrzył w ogień.

Spojrzała na niego. Wychudł, rysy mu się zaostrzyły, włosy na skroniach zbieleły, oczy były smutne.

- Chciałem z panią pomówić - ozwał się po chwili. -

Mam zamiar sprzedać Rudę.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę wydołać. Majątek duży, spraw i obowiązków tysiące, pomocy i wyręczenia nie mam.

Powoli się dużo rzeczy opuszcza i idzie na marne. Ja zaś podjąłem się tylu obowiązków ogólniejszej natury, tyle mam roboty po świecie, że ledwie z grubszego mogę Rudą zarządzać. Należy tedy wybrać - własny zagon albo 198

publiczny.

- Jedno i drugie. Czyż pan sprzeda pracę swej matki? Ona przecie dawała radę wszystkiemu.

- To co innego. Dawniej miała ciocię Dysię, potem mnie.

- No, ciocią Dysią ja mam być dla pana.

- Tegom dotąd nie zauważył. Pociechy i dobroci nigdy od pani nie dznał. Zawsze krytykę i morały.

- Bo nic więcej nie był pan wart. Przez te dwa lata nie pogodził się pan nawet z losem, nie nauczył się pan sam sobie wystarczać.

- Bo się godzić nie chcę ani chcę być samotny. Będę do śmierci malkontentem.

Stasia wstała, poprawiła ogień, zadzwoniła o herbatę.

- Głodny pan? - spytała.

- Tylko zziębnięty i zdrożony. Filiżankę herbaty wypiję z przyjemnością, bo mnie głowa boli.

Spojrzała na niego i dotknęła czoła.

- Pan się jeszcze gotów rozchorować na uwieńczenie trosk i kłopotów, które mi pan sprawia.

Uśmiechnął się.

- Nie chcę chorować, za nic - nie dam się. Moja gospodyni, stara Anna, umorzyłaby mnie swym niedołęstwem i głuchotą. Pani nie ma pojęcia, do czego ten dom teraz podobny. Istne bezkrólewie! Podziwiam, jak u pani jest czysto, cicho i porządnie.

- Zrobiłam się z musu praktyczną. Nie lubię tego wydziału gospodarstwa, ale jeszcze więcej nie cierpię brudu, zgiełku i nieładu.

Podano herbatę, ogień strzelił jasnym płomieniem.

Kazio sięgnął po otwartą książkę, spojrział na tytuł.

- Że też biedna poezja dostąpiła zaszczytu znalezienia się w rękach pani! - zdziwił się.

- I na fizyków deszcz pada! - odparła z uśmiechem.

Przerzucał kartki, odczytując to i owo.

- Naprawdę, bawi to panią, zajmuje? - rzekł

zdziwiony.

- Ano, tak. Poznaję nowe siły. Matka pana była wielkim mędrce i prorokiem.

- W czym mianowicie?

- Przepowiedziała mi, że nie skończyła jeszcze z sobą sprawy. Że mi do śmierci nie wystarczy triumf z osiągniętego celu. Tak się stało.

- Co się pani stało! Pani chce stąd wyjechać? -

zawołał niespokojnie.

- Cóż znowu! Tylkom się potknęła o taki, zda się, marny kamyczek.

Roześmiała się i westchnęła zarazem.

- Jak tak dalej pójdzie w mej głowie, samodzielności mocno się skrzydła podetną.

- Pani wyjdzie za mąż? - spytał nieswoim głosem.

- Może być! Jeszcze nie jestem zupełnie zdecydowana, ale już o tym myślę. To zły znak.

- Dlaczego? Pani będzie szczęśliwa.

- Ho, ho! Tak pan tego pewny, bo ja wcale nie. Po pierwsze to będzie dezercja - podła rzecz.

- A nie! Przecie pani swego fachu nie zaniedba.

- Biedny fach zejdzie na drugi plan, o ile czasu zbędzie. Po drugie - bardzo wątpię, że wypełnię sumiennie obowiązki przeciętnej kobiety. Za staram, żebym się giąć i łamać...

Kazio wstał i przeszedł się parę razy po pokoju.

Potem stanął przed nią.

- Co się pani stało? - zawołał.

Ruszyła ramionami.

- Zdaje mi się, że rzecz arcypospolita, której nie raczyłam nawet rachować w swych projektach.

Zakochałam się jak pierwsza lepsza panna.

Bez tchu patrzył na nią.

- A kogóż pani znalazła godnego siebie tutaj?

- Nie myślałam nad tym, kto kogo niegodny lub godny. Stał mi się miły i drogi, zaczęłam o nim myśleć i troszczyć się, cieszyć się, gdy przyjeżdżał, martwić się, gdy go nie było, a wreszcie pewnego dnia zastanowiłam się: cóż u licha, a toć mi coś umiera w duszy, fucz - spokój!

Czy to tak wygląda miłość - wie pan?

Jemu krew uderzyła do twarzy - wziął za czapkę.

- Żegnam panią.

Zdziwiła się.

- Pana co ukąsiło? No, no, ja cierpliwiej słuchałam zwierzeń pana.

- Jam pani nigdy takich nie czynił. Nie miałem okazji, prawda, ale i sumienia bym nie miał torturować kogoś tak bezlitośnie.

- Człowieku, przeżegnaj się lewą ręką! Ja torturuję pana?

- A cóż? Może mi pani myśli sprawiać rozkosz opowiadając o swych uczuciach?

- Rozkosz może nie, ale chyba wielką przyjemność.

- Mnie?

- A komuż by? Przecie od X lat piłuje mnie pan swoimi.

- Ale ja panią tylko kochałem.

- A ja kogo? Przecie tylko pana!

- Stasiu!



Poskoczył ku niej i wywrócił stolik z herbatą, usunęła się żywo, brzęk stłuczonych filiżanek sprowadził

służącą. Zajrzała przerażona.

- Jezus, Maria! Wszystko w sztuki! - jęknęła.

- Sprzątnij i podaj nam jeszcze herbaty! - rzekła Stasia śmiejąc się z miny sprawcy, który chciał być strapiony, a cały promieniał.

Pozbierano skorupy, zostali sami i Kazio do kolan jej padł, ręce chciał całować. Usunęła się:

- Siadaj no spokojnie, zbierz zmysły, po rękach mnie nie całuj i nie dziękuj, bo nie ma za co! Pokochałam cię, to prawda, ale nie na oślep. Jeśli już koniecznie mam skończyć jak wszystkie kobiety - iść za męża, to trzeba bardzo rozważnie tę kwestię przedyskutować.

- Po co, ty dyktuj swe prawa i wolę - ja będę spełniać. Ja całym życiem będę ci płacił, będę służył, będę dogadzał. Takim szczęśliwy!

- Widzisz, oto i dysputa gotowa. Ty sobie sprawy nie zdajesz, jak bredzisz. Ja nie chcę, byś mi służył i dogadzał. Wyobraź sobie, że do dzieła i pracy bierzesz sobie pomocnika mającego wiele dobrych chęci, a żadnej wiedzy. Przygotuj się nie do służenia i dogadzania, ale do kształcenia i nauki. Nie dostaniesz sprzętu do domu ani zabawki, ale człowieka, który weźmie na swój kark połowę twych ciężarów. Będzie rzetelnie pracował, to rękę, ale długi czas minie, zanim zajęcia swe zrozumie praktycznie.

Gwałtu, ilu ja nowych przedmiotów muszę się uczyć!

Przygotuj się, że niemało ci przyczynię strat i kłopotów z początku. Zawszem ci mówiła, żeś głupi wybór zrobił. No, ale stało się.

- Za rok ja od ciebie będę się uczył.

- No, no, nie pochlebiaj, bo tego nie cierpię. A teraz 202

posłuchaj moich warunków i namyśl się ostatecznie. Będę z tobą wspólnie myślała, pracowała i cierpiała, ale nie wymagaj ode mnie trzech rzeczy: strojów balowych, bo to niehigieniczne, stosunków towarzyskich z głupimi i zabaw bezmyślnych. Wyrosłam z tego, a kurczyć się nie potrafię.

A trzy rzeczy sobie zastrzegam: praktykę, o ile będę miała czas, szpital w domu i wybór towarzystwa.

- Zgoda na wszystko, a co do ludzi, wątpię, czy ich zapragniemy kiedykolwiek. Nie będzie na to czasu.

- Czas musi się znaleźć. Dom twój musi się stać dużym ogniskiem. Ja ci drzemać nie dam.

- A kiedyż ślub? - zagadnął Kazio prosząco.

- Kiedy chcesz. Na wiosnę może?

- Bój się Boga, jeszcze się rozmyślisz.

- Lepiej przed niż po. Ale ja już się nie rozmyślę -

nie! Gwałtu! Żeby mi kto powiedział, że i ja skończę na kądzieli jak każda przeciętna kobieta!

- I cóż w tym strasznego? Ja jestem pewny i szczęśliwy, że będę przez ciebie zawojowany, chociaż niby de jure będę się rachował głową domu. Staśko, ale nam chyba dobrze będzie z sobą!

Wyciągnął do niej rękę.

Wstała i pogładziła go po głowie.

- Zobaczymy - odparła z uśmiechem. - Zrobimy próbę, czy z uczonej kobiety może być dobra żona.

Chociaż wątpię, czy twój przykład znajdzie naśladowców.

Mężczyźni tego gatunku nie lubią. Wyobrażam sobie, jak Włódzio skoczy, gdy mu powiesz, co się stało.

- Co mi Włódzio! Ja myślę, jak się matka ucieszy tam!

- Jutro pojedziemy na mszę za nią. Jeśliś rad i szczęśliwy, jej dziękuj. Jej życie, jej przykład, jej szara 203

księga przekonały mnie, że być żoną, gospodynią, matką nauce nie ubliża, godności człowieczej nie umniejsza, posłannictwem nie jest podrzędnym.

Uśmiechnęła się pocziwie i pochylając się nad nim pocałowała go w oczy.

- Byle kochanie! - dodała serdecznie.

Usunęła się, gdy ją do serca chciał przygarnąć, i rzekła już żartobliwie:

- Rozdmuchaj no ogień w kominie. Wyglądasz tak, że nawet z popiołów wydobędziesz płomienie. A ja ci przeczytam jeden ustęp z szarej księgi, który sobie za zasadę biorę.

Przyniosła stary gruby tom i otworzyła na założonej poprzednio stronicy.

“Miałam znowu list od Ozierskiej z troską o Stasię.

Ogólny prąd emancypacji ogarnia od dawna świat. Była emancypacja Murzynów, chłopów, teraz

kolej na kobiety.

Nie potępiono Murzynów i chłopów, nie trzeba potępiać kobiet. Niech nie będzie niewoli, niech każdy ma drogę otwartą. Ale myli się ten, kto sądzi, że zmiana prawa zmienia postać rzeczy. Będzie triumf, gdy nie litera prawa, ale człowiek sam się wyemancypuje. Ale na to nie trzeba wiele gadania, pisania, narad i debat - na to trzeba każdemu siebie tylko pilnować.

Nie chcą kobiety szyc i zajmować się spiżarnią, dzieci niańczyć i dom prowadzić. To wszystko im za małe, za niskie, za marne, to im ubliża, to niewola. Ale żadna zastanawiać się nie chce, czy te obowiązki umie, pojmuje, czy je dobrze spełnia.

Nie ma małych prac - są tylko marni pracownicy.

Żeby kobiety rozumiały, jak źle spełniają swe obowiązki, żeby rozumiały, jak wielkie są i trudne, wtedy byłyby 204

dopiero emancypowane.

A matki, które chowają córki, czego ich uczą? -

Niczego! Czy dziewczyna wie, jakie ją obowiązki czekają, czy jest do nich przygotowana? Nic a nic! A przecie na jej głowie jest dom cały, jest służba i ład, jest mąż i dzieci.

Mężczyzna, gdy jest profesorem geografii, nie jest lekarzem, gdy jest inżynierem, nie jest sędzią.

A taka kobieta zamężna musi się znać i na pedagogii, i na higienie, na rachunkowości i na chemii.

Musi często być sędzią w swym małym świecie i spowiednikiem młodych serc, i dyplomata w stosunkach z mężem i światem.

Tym wszystkim powinna być, i żeby najpilniej i najgorliwiej pracowała, nieraz rady nie da. A wzwyż wszystkiego słabości jej dał Pan Bóg siłę kochania. Nie romanse jakieś ani poezje, ale kochanie. Ona powinna umieć kochać i kochania uczyć. Kochania Boga i ziemi, i obowiązków, i cierpień, i bliźnich, jak Pan Jezus kazał!

Jeśli kobieta to zrozumie i spełni to wszystko -

wtedy taką ja nazwę emancypantką”.

Przestała Stasia czytać i przez stół wyciągnęła do Kazia obie dłonie.

- Tak chcę być razem z tobą! - rzekła.

- Daj nam, Boże! - odparł uroczyście Kazio.



# Table of Contents

[Rozpoczni](#)